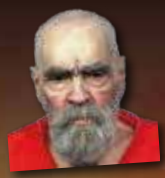

Tajemnica sekty Mansona
Dlaczego zamordowali żonę Polańskiego?

Zagadka śmierci Wieniawy
Kulisy samobójstwa adiutanta Piłsudskiego

Wołyń jak Rwanda
Szokujące podobieństwa dwóch ludobójstw

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 10(104)/2021 PAŹDZIERNIK 2021

HISTORIA DO RZECZY

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

Okupacja niemiecka
GEHENNA POLSKICH WSI

TYGODNIK POLITYCZNY DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 4f09b4a2df

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski,
Włodzimierz Zakrzewski
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska,**
Przemysław Traczyk
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem:
Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr,**
Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Paweł Zdziarski

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212,
02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi
w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA,
notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Monika Doroś
tel.: 539 953 631, 508 040 664
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803
lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

2021 r. / Mauzoleum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie

Miejsce upamiętnienia ofiar niemieckich pacyfikacji

FOT. PIOTR ZYCHOWICZ

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Ofiary gorsze i lepsze

W dniach 12–13 lipca 1943 r. niemieckie oddziały SS i policji spacyfikowały Michniów w gminie Suchedniów. Wieś została zrównana z ziemią, ponad 200 jej mieszkańców zostało zamordowanych. Był to bestialski odwet za wsparcie, którego mieszkańcy wsi udzielali oddziałowi AK por. Jana Piwnika „Ponurego".

Zagłada Michniowa stała się symbolem gehenny polskiej ludności wiejskiej. Niedawno w miejscowości tej stanęło nowoczesne Muzeum Martyrologii Wsi Polskiej. Miałem okazję je odwiedzić – ekspozycja sprawia porażające wrażenie. Szczególnie duża mapa Polski z zaznaczonymi na niej spacyfikowanymi wsiami. Punktów tych jest kilkaset.

Palenie wsi i mordowanie ich mieszkańców – mężczyzn, kobiet i dzieci – było podstawowym sposobem niemieckiej „walki z partyzantami" na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Nie mogąc dopaść leśnych oddziałów – które łatwo wymykały się z obław – formacje SS, policji i żandarmerii mściły się na ludności cywilnej.

Mechanizm tego krwawego szaleństwa opisał w swojej książce „W cieniu Auschwitz" Daniel Brewing. Według tego niemieckiego badacza pacyfikacje polskich wsi na trenie GG pochłonęły od 25 do 40 tys. ofiar. Mimo to wiedza na temat tej tragedii jest wśród współczesnych Niemców znikoma. Pamięć o zbrodniach popełnionych przez III Rzeszę całkowicie zdominował Holokaust.

„Tendencja do przemilczania prześladowań innych grup – pisze Brewing – występuje w szczególnym stopniu w odniesieniu do losów polskiej ludności cywilnej podczas okupacji niemieckiej. W cieniu Holokaustu jej cierpienia są słabo dostrzegane. Polacy mają znaczenie tylko jako »sąsiedzi«, którzy brali udział w prześladowaniu i mordowaniu polskich Żydów".

Według niemieckiego badacza Polak kojarzy się na Zachodzie głównie ze szmalcownikiem lub „szczerbatym chłopem z dokumentalnego filmu »Shoah«, który ze szklanym wzrokiem bełkocze antysemickie brednie przed kamerą Claude'a Lanzmanna".

Ta „niepamięć" o zbrodniach na narodzie polskim to wielka niesprawiedliwość. Ofiar nie wolno bowiem dzielić na „lepsze" i „gorsze" w zależności od tego, z jakiego narodu się wywodziły. Wszystkie ofiary III Rzeszy zasługują dokładnie na taki sam szacunek i takie samo upamiętnienie. ©℗

eprasa.pl 4f09b4a2df

/ TEMAT NUMERU

.06 PIOTR WŁOCZYK
Masakra wśród Lasów Janowskich

.10 PIOTR ZYCHOWICZ
Terror jest ślepy

.14 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Potwór Krüger

.18 PIOTR WŁOCZYK
Płonął jak pochodnia

.69 PIOTR SEMKA
Dysydenci wyglansowanych butów

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Prawda prymasa Wyszyńskiego

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Tyzenhauz: wzlot i upadek wizjonera

/ CZASY I LUDZIE

.20 SŁAWOMIR KOPER
Tajemnica śmierci Wieniawy

.28 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Kenijscy Mau Mau

.32 MACIEJ ROSALAK
Ze słownika Października

.36 TOMASZ STAŃCZYK
Repliki: cenne, utracone i odtworzone

.40 JAKUB OSTROMĘCKI
Celtomania nad Sekwaną

.44 PIOTR ZYCHOWICZ
Sezon maczet i sezon siekier

.48 MIKOŁAJ IWANOW
Czekista w Polsce

.52 MAREK GAŁĘZOWSKI
Z powstania pod Akropol

.56 PIOTR SEMKA
Teoria munduru

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Poeta niedoceniony

/ FELIETONY

.66 JACEK BARTOSIAK
Strategia w erze astropolityki

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Syndrom Salieriego

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK
Długi Marsz Mao

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Bokser za drutami

eprasa.pl 4f09b4a2df

NOWOŚCI, BESTSELLERY, ALBUMY, KOMIKSY, GRY

WSZYSTKO Z 30% RABATEM!

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

DO ZOBACZENIA!

III WIRTUALNY KIERMASZ KSIĄŻKI IPN

4-10 PAŹDZIERNIKA 2021

ipn.poczytaj.pl

eprasa.pl 4f09b4a2d

2 lutego 1944 r. / Jedna z największych zbrodni przeciw polskiej wsi

Masakra wśród Lasów Janowskich

Niemieccy żołnierze w pacyfikowanej wsi

FOT. NAC

Piotr Włoczyk

Sześć sąsiadujących ze sobą miejscowości Niemcy zmietli z powierzchni ziemi. Zamordowali ponad tysiąc osób, a setki wywieźli na roboty przymusowe i do obozów koncentracyjnych

Każdy, kto może chodzić, niech ucieka! Idą Niemcy, wsie w lesie stoją już w ogniu, kto nie ucieknie, ten zginie!" – krzyczał z ambony ks. Władysław Stańczak do wiernych zgromadzonych w kościele w Borowie. Za chwilę miała się rozpocząć msza św. 2 lutego 1944 r. przypadało akurat święto Matki Boskiej Gromnicznej. Wierni z Borowa i sąsiednich przysiółków przynieśli ze sobą do kościoła świece, które chcieli poświęcić, by uchronić się na cały rok od piorunów i ognia…

Ksiądz Stańczak obchodził tego ranka okolicę „po kolędzie", gdy z przerażeniem zorientował się, że na horyzoncie widać dym pożarów. Wkrótce dotarła do niego wstrząsająca informacja: Niemcy palą sąsiednie miejscowości i mordują ich mieszkańców. Kapłan pędem ruszył więc do swojej parafii, by ostrzec wiernych, którzy za moment mieli wziąć udział we mszy św. celebrowanej przez proboszcza ks. Stanisława Skulimowskiego. Słysząc dramatyczny apel ks. Stańczaka, wierni rzucili się do ucieczki.

„Kto natychmiast uciekł, do partyzanckich lasów albo nad porośnięte szuwarami brzegi Sanny, z jej wysepkami

eprasa.pl 4f09b4a2df

i licznymi odnogami, miał szansę przeżyć. Ci, którzy zostali, bo chcieli jeszcze wypuścić bydło z obory albo ostrzec swoich, a może po prostu dlatego, że nie stracili jeszcze całkiem wiary w ludzi, przeważnie zginęli tego samego dnia" – pisze Konrad Schuller w swojej reporterskiej książce „Ostatni dzień Borowa", która powstała na podstawie rozmów z ostatnimi żyjącymi świadkami masakry.

Tuż po apelu ks. Stańczaka również w Borowie rozpoczął się szał zabijania. Niemcy spędzali mieszkańców na placyk przed kościołem i pod dzwonnicą dokonywali egzekucji. Dochodziło wówczas do scen z piekła rodem. We wspomnieniach osób, które przetrwały zagładę Borowa, przewijają się opowieści o matkach, które przed kościołem błagały na klęczkach Niemców, by zabili je, ale oszczędzili życie ich dzieciom. Żadne apele jednak nie skutkowały, a wręcz przynosiły odwrotny skutek. Niemcy zabijali bowiem najpierw małe dzieci, a dopiero potem ich matki.

„Każdy zaczął uciekać i kryć się – wspominała tuż po wojnie Stefania Olender z Borowa. – Mój ojciec i brat uciekli, a ja z mamusią zaczęłyśmy wynosić rozmaite rzeczy, widząc, że Niemcy palą wieś. Gdy już zaczęło się blisko palić, zaczęłyśmy uciekać na cmentarz. Gdzie zgromadzone były przeważnie kobiety z dziećmi. Niemcy przyszli, zabrali nas wszystkich w stronę mieszkania, gdzie chcieli nas wszystkich wystrzelać. Nowacki z bratem zaczęli się szarpać z Niemcami, a my, kobiety i dzieci, zaczęłyśmy uciekać przez pole w stronę lasu".

Kilku świadków zagłady Borowa wspominało zgodnie o oporze, jaki stawił Jan Nowacki wraz ze swoim bratem. Dzięki chwili zamieszania grupie mieszkańców wsi udało się uciec przed niechybną egzekucją.

Oddajmy głos samemu Janowi Nowackiemu, który cudem przeżył zagładę swojej rodzinnej miejscowości: „W tym dniu było święto. Każdy z nas poszedł więc do kościoła. Około godziny 11.00 artyleria zaczęła ostrzeliwać budynki. Dano nam znać, że Niemcy otaczają wieś. Młodzież zaczęła się kryć, gdzie kto mógł. Ja, widząc, że wieś się pali, wynosiłem z mieszkania, co się dało. Później pobiegliśmy z bratem w stronę cmentarza, gdzie gromadziły się kobiety z dziećmi. Wkrótce przyszła kompania Niemców, wzięli nas z cmentarza do pobliskiego mieszkania. W drodze komendant oddziału kazał mi się wykręcić tyłem, chcąc do mnie strzelić z tyłu. Ponieważ nie chciałem tego uczynić, zaczęliśmy się szarpać na drodze. Ranił mnie z krótkiej broni w prawe ramię. Rzuciłem się do ucieczki, a on wciąż strzelał z broni maszynowej i ranił mnie w lewe ramię. Zaciął mu się jednak karabin i zdążyłem uciec. W tym czasie kobiety rozbiegły się, a mojego brata zastrzelili".

Tej grupie kobiet udało się uciec spod topora, ale setki innych nie miało tyle szczęścia. Początkowo mieszkanki Borowa nie zamierzały uciekać, ponieważ zakładano, że Niemcy przyszli tylko po mężczyzn. Szybko okazało się jednak, że nikt nie jest bezpieczny, a śmierć od karabinowej kuli to przywilej – ocalali mieszkańcy wspominali, że napastnicy ze śmiechem wpychali niektóre ofiary do ich płonących domów. Taki los spotkał m.in. Lucynę Jaśkie-

Egzekucja w Polsce okupowanej przez Niemców

FOT. NAC

eprasa.pl 4f09b4a2df

wicz, którą dwóch żołnierzy złapało za ręce i nogi i huśtając, wrzuciło do chałupy stojącej w płomieniach.

„Doprowadziwszy nas do mego domu, kazali wszystkim położyć się na podłodze twarzą do ziemi – zeznawała w 1949 r. Marianna Mazurek. – Zaczęłam prosić, ażeby mnie nie zabito, tłumacząc, że mam 14-letniego chłopca, który potrzebuje jeszcze mojej opieki. W odpowiedzi na to jeden z wojskowych uderzył mnie karabinem w piersi z taką siłą, że upadłam na wznak. Zaledwie na rozkaz tegoż wojskowego zdążyłam odwrócić się twarzą do ziemi, jak rozległy się strzały. Poczułam, że jestem ranna w lewe ramię, a prawą rękę mam przestrzeloną. Udając zabitą, widziałam, jak wojskowi podpalili pościel na dwóch łóżkach i wybili okno. Po ich wyjściu dom stanął w płomieniach. Ja jedna wyczołgałam się z niego i skryłam w schronie".

Poza Borowem Niemcy zaatakowali tego dnia pięć innych wsi w Lasach Janowskich: Szczecyn, Wólkę Szczecką, Łążek Chwałowski i Łążek Zaklikowski oraz Karasiówkę. Napastnicy zamordowali wówczas 917 osób znanych z imienia i nazwiska, ale w sumie liczbę zabitych szacuje się na ok. 1,2 tys. osób. Tylko w Borowie zamordowano niemal 300 ludzi. We wsi tej ocalay jedynie kościół oraz gajówka. Ponad 200 gospodarstw spłonęło.

Zemsta za podziemie

Eksterminacji polskich wsi w Lasach Janowskich dokonały niemiecka żandarmeria, Wehrmacht i SS, a także członkowie SS-Galizien. W sumie ponad 3 tys. żołnierzy, czyli mniej więcej tylu, ilu mieszkańców liczyły zaatakowane wsie.

Cmentarz ofiar niemieckiej pacyfikacji Borowa FOT.EPEGEIRO/WIKIPEDIA

Jako pierwszy poszedł pod nóż Szczecyn. Jak wspominała w rozmowie z Konradem Schullerem Maria Baran, która była wówczas nastolatką, podczas ucieczki matka kazała jej patrzeć tylko pod nogi, by córka nie widziała całego rozgrywającego się dokoła pandemonium. Ona jednak w pewnym momencie podniosła wzrok i ujrzała widok, który prześladował ją do końca życia. Maria Baran zobaczyła, jak sąsiadka Marianna Ufniarz klęczy przed niemieckim żołnierzem i wyciąga ku niemu swoje małe dziecko, błagając go o litość. Ten podniósł niemowlaka za nogę, zamordował, a następnie zastrzelił kobietę.

Niemiecki dziennikarz przyznaje w swojej książce, że początkowo z dystansem podszedł do tej relacji, widząc w niej pewien uniwersalny symbol barbarzyństwa. Schuller podejrzewał, że jego rozmówczyni mogła niechcący zlać w jeden obraz rzeczywiste sceny oraz to, co usłyszała później na temat okrucieństw popełnionych przez Niemców gdzie indziej. Autor „Ostatniego dnia Borowa" zmienił jednak zdanie, gdy w jednym z tomów akt powojennego śledztwa w sprawie zagłady wsi przeczytał zeznanie świadka masakry Teofila Danielewicza: „Widziałem, jak jeden z Niemców zastrzelił Mariannę Ufniarz, a jej 6 mies. dziecko przebił bagnetem".

KONRAD SCHULLER „OSTATNI DZIEŃ BOROWA"
ŚWIAT KSIĄŻKI

Do podobnych scen dochodziło tego dnia również w sąsiednich wyrzynanych wioskach. W Wólce Szczeckiej żyła Maria Jagiełło, która po wojnie zeznawała: „Widziałam, jak jakiś wojskowy niósł za rączkę nieduże dziecko ubrane w łachmanki, a drugi czymś (czym, nie zauważyłam) rozciął to dziecko, poczem rzucono je do palącego się domu".

Setki pojmanych mieszkańców zaatakowanych wsi zostało następnie wywiezionych do obozów koncentracyjnych i na roboty przymusowe.

Dlaczego Niemcy postanowili zniszczyć sześć miejscowości wraz z ich mieszkańcami? Najbardziej oczywistym wyjaśnieniem jest działalność na terenie Lasów Janowskich silnego oddziału Narodowych Sił Zbrojnych pod dowództwem mjr. Leonarda Zub-Zdanowicza. Borów, udzielający partyzantom dużego wsparcia, znany był jako „stolica NSZ". Kilka miesięcy wcześniej właśnie pod Borowem ludzie mjr. Zub-Zdanowicza rozstrzelali ok. 30 członków Gwardii Ludowej, których uznano za zdrajców.

Atak Niemców miał być odwetem za aktywność polskiego podziemia. Niestety w momencie krwawej pacyfikacji w pobliżu zaatakowanych wsi stacjonowały bardzo szczupłe siły partyzanckie, które w obliczu miażdżącej przewagi Niemców nie były w stanie podjąć skutecznej interwencji.

„Befehlsnotstand"

Następnego dnia po akcji eksterminacyjnej do komendanta policji porządkowej dystryktu Lublin wpłynął raport o następującej treści:

„2.2.1944 wielka akcja na terenie miejscowości Borów, Wola Szczecka, Szczecyn i Łążek [...], dokonana przez silne oddziały policji, Wehrmachtu i policji bezpieczeństwa w celu zniszczenia zaobserwowanej tam bolszewickiej bandy, rzekomo liczącej 600 osób. Podczas niszczenia gniazd oporu za pomocą dział przeciwpancernych i granatników w/w wsie stanęły w ogniu i wskutek szalejącej wichury spłonęły. [...] Można było usłyszeć silne detonacje wskazujące na duże zasoby amunicji. [...] Według dotychczasowych, jeszcze niepełnych raportów, zastrzelono 480 bandytów i podejrzanych podczas wymiany ognia bądź podczas ucieczki. Ponad 300 członków rodzin odtransportowano i przekazano do dyspozycji urzędów pracy. Wśród zastrzelonych było kilku mężczyzn w polskich mundurach podchorążych".

eprasa.pl 4f09b4a2df

W raporcie podkreślono, że znaleziono też broń: trzy pistolety, trzy karabiny, jeden rewolwer i trzy granaty…

W ten sposób Niemcy zrobili z chłopskich rodzin „bolszewicką bandę" i „bandytów", a z ich chałup „gniazda oporu". Wykaz znalezionej broni mówi sam za siebie, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażona była niemiecka ekspedycja.

Biorącym udział w masakrze za darmo wyświetlono następnego dnia w lubelskim kinie Deutsche Lichtspiele film pt. „O diese Männer".

Do dziś nie wiadomo, kto konkretnie zlecił zagładę wsi w Lasach Janowskich. Po wojnie zachodnioniemiecka prokuratura prowadziła śledztwa wobec członków jednostek, które pacyfikowały te miejscowości.

Późniejszy policjant, Karl G. z Mönchengladbach, służący w czasie wojny w 316. Batalionie Policji, tak wspominał akcję eksterminacyjną z 2 lutego 1944 r: „Tworzyłem wraz z innymi tyralierę strzelców, którzy otoczyli wieś. Pod dowództwem mojego szefa kompanii, kapitana E., małe grupy, liczące po dwóch, trzech ludzi, podpalały domy. Chodziło o małą, starą wieś, liczącą ok. 20 parterowych chat krytych słomą […]. Grupy te wchodziły najpierw do niezamkniętych domów, w których ludzie jeszcze prawdopodobnie spali. Po chwili słyszeliśmy w domach krzyki przerażenia i serie z pistoletów maszynowych. Dopiero potem żołnierze podpalali chaty. W niecałą godzinę wieś zrównano z ziemią. Tyraliera strzelców byłą tak szczelna, że absolutnie niemożliwe było, by ktokolwiek mógł opuścić wieś w czasie akcji […]. Przyjmuję, że zastrzelono wszystkich mieszkańców, zanim ich spalono".

Peter S. z Suchteln podczas przesłuchania w Krajowym Urzędzie Kryminalnym Nadrenii Północnej-Westfalii w 1960 r. zeznawał: „Kto natychmiast nie wyszedł na podwórze, tego zabijano pośród zamieszania w domu, zwłaszcza że niektórzy się bronili. Większość mieszkańców rozstrzeliwaliśmy przed domem z karabinów […]. Razem z moją grupą musiałem rozstrzelać mieszkańców trzech lub czterech domów […]. Były to dzieci i kobiety oraz starcy, bo mężczyźni młodzi i w sile wieku dawno już uciekli […]. Na pytanie, czy ofiary przed zastrzeleniem błagały nas o łaskę, potrafię odpowiedzieć tylko tyle, że było mi strasznie żal tych ludzi, bo miałem już wtedy żonę i dziecko, ale co mogłem zrobić innego, niż wykonać ten okropny rozkaz?".

„Befehlsnotstand" (stan wyższej konieczności wywołany rozkazem) był w powojennych Niemczech częstym mechanizmem do seryjnego uniewinniania podejrzanych o dokonanie zbrodni. Podobnie stało się z szeregowymi zbrodniarzami Borowa, Szczecyna, Wólki Szczeckiej, Łążka Zaklikowskiego, Łążka Chwałowskiego i Karasiówki.

Jak podkreśla Konrad Schuller, czytelnicy na Zachodzie nie mają pojęcia o skali brutalności Niemców wobec polskich wsi. Zagłada francuskiego Oradour-sur-Glanes (642 zamordowanych mieszkańców w odwecie za zabicie jednego esesmana) czy czeskich Lidic (340 ofiar w akcie zemsty za zamach na Reinharda Heydricha) stały się powszechnie znanymi symbolami cierpienia pod nazistowską okupacją, podczas gdy blisko 800 spacyfikowanych polskich wsi, gdzie w każdym przypadku zabito co najmniej 10 osób (w sumie ofiar było minimum 19 tys.) kompletnie nie przebiło się do świadomości Europejczyków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

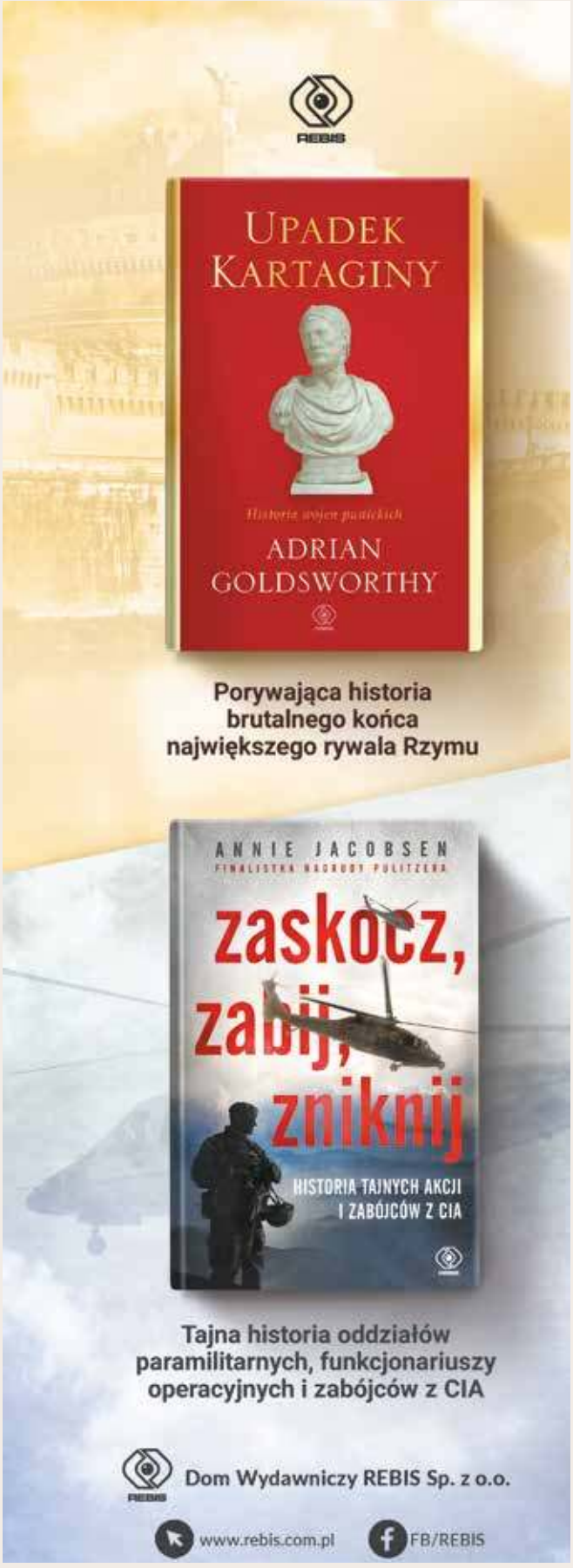

eprasa.pl 4f09b4a2df

Piotr Zychowicz

1939–1945

Terror

Podpalony dom Władysława Materka w Michniowie

FOT. IPN

Niemcy w ramach „zwalczania partyzantki" pacyfikowali polskie wsie. Było to nie tylko zbrodnicze, lecz także idiotyczne i kontrproduktywne

Niemieckie siły okupacyjne w trakcie drugiej wojny światowej spacyfikowały 769 polskich wsi. W masakrach tych zginęły 19 792 osoby. A według niemieckiego badacza Daniela Brewinga z Politechniki w Akwizgranie liczba ofiar mogła być nawet większa i oscylować między 25 a 40 tys. Nawet jeżeli przyjmiemy te niższe szacunki, to okaże się, że martyrologia polskiej wsi była tragedią porównywalną ze zbrodnią katyńską.

Polskie wsie były areną erupcji masowej przemocy w wykonaniu funkcjonariuszy SS i policji. Rozstrzeliwania, palenie ludzi żywcem w podpalonych chałupach, pastwienie się nad bezbronnymi, gwałty, grabieże, deportacje do obozów. Życie polskiego chłopa w oczach przedstawicieli „rasy panów" nie miało żadnej wartości. Zbrodnie takie jak w Borowie (300 ofiar) czy Michniowie (200 ofiar) szokują do dzisiaj.

W Polsce – z oczywistych przyczyn – patrzy się na nie z perspektywy ofiar. Daniel Brewing w książce „W cieniu Auschwitz" proponuje inne spojrzenie: z perspektywy katów. Dzięki analizie niemieckich dokumentów, wspomnień i powojennych zeznań udało mu się przedstawić motywy, którymi kierowali się Niemcy. Były to:

1) Pogląd o wyższości rasowej Niemców nad Polakami.

2) Przekonanie, że na „dzikim wschodzie" wolno więcej niż u siebie w kraju.

3) Pragnienie zemsty za krwawą niedzielę bydgoską i marsz do Łowicza.

4) Wojenna radykalizacja i brutalizacja.

5) Strach.

Co ciekawe, ten ostatni motyw wydaje się być decydujący. Aby zrozumieć ten paradoks, należy cofnąć się do 1 września 1939 r., gdy niemiecka armia przekraczała granice Polski. Niemieccy żołnierze w tygodniach poprzedzających wojnę zostali nafaszerowani antypolską propagandą. Z jednej strony przedstawiała ona Polaków jako słowiańskich „dzikusów", ale z drugiej – jako podstępnych, brutalnych partyzantów.

Niemcy byli przekonani, że szybko poradzą sobie ze słabo uzbrojonym i zapóźnionych technicznie Wojskiem Polskim. Spodziewali się jednak, że będzie to dopiero początek kłopotów. Polacy – zgodnie z tradycją konspiracji i powstań z XIX w. – będą bowiem prowadzić partyzancką wojnę podjazdową. Strzelać zza węgła, dokonywać skrytobójczych mordów na Niemcach, aktów sabotażu.

Taka wizja wywoływała przerażenie w aparacie SS i policji. Jak bowiem utrzymać bezpieczeństwo na tak wielkim terenie jak Polska przy użyciu skromnych sił okupacyjnych? Himmler i inni przedstawiciele „czarnego zakonu" mieli na to prostą odpowiedź, odpowiadającą prymitywnemu sposobowi myślenia narodowych socjalistów: w Polsce należy rządzić za pomocą bezwzględnego terroru. Tylko rządy silnej ręki pozwolą utrzymać autorytet niemieckich władz i kontrolę nad podbitym terytorium.

Dlatego już jesienią 1939 r. na ziemiach wcielonych do Rzeszy przeprowadzono masową operację eksterminacyjną – Intelligenzaktion. Jej ofiarą padło kilkadziesiąt tysięcy przedstawicieli polskich elit. W chorej logice dowódców SS było to działanie „prewencyjne". Uderzenie w warstwy społeczne, które mogłyby stanąć na czele konspiracji.

„Hubal"

Strach przed pojawieniem się partyzantów był w niemieckim aparacie okupacyjnym powszechny. Zgodnie z wytycznymi Himmlera każda forma zbrojnego oporu polskiego społeczeństwa miała być tłumiona przy użyciu najbardziej radykalnych środków. To właśnie te wytyczne doprowadziły do prawdziwej gehenny Polaków mieszkających na terenach wiejskich.

eprasa.pl 4f09b4a2df

SS kontra polska ludność cywilna

jest ślepy

Karta pocztowa upamiętniająca dzień niemieckiej policji w Generalnym Gubernatorstwie

FOT. GENERALGOUVERNEMENT.PL

„Masakry – pisze Brewing – bywają dokonywane z reguły przez państwa, których władza jest rozmyta, rozproszona, niepewna sama w sobie lub obawiająca się, że jest wyłącznie iluzoryczna lub wymyka się spod kontroli. To właśnie zbrojne wystąpienia polskich partyzantów wywołały wśród niemieckich okupantów uczucia strachu i zagrożenia, które znalazły swoje ujście w przekonaniu, że sytuacja jest krytyczna, co stworzyło presję na podejmowanie agresywnych działań i stanowiło impuls do popełnienia niezliczonych masakr".

Preludium krwawego dramatu rozegrało się wiosną 1940 r. Do tej pory sytuacja na terenach wiejskich Generalnego Gubernatorstwa – w porównaniu z ziemiami wcielonymi do Rzeszy – była stabilna. Wszystko zmieniło się w momencie, gdy SS i policja przystąpiły na Kielecczyźnie do akcji wymierzonej w oddział partyzancki mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala".

Był to jeszcze czas, gdy ZWZ trzymał się arcymądrej, rozsądnej zasady, aby powstrzymywać się od zaczepnych działań zbrojnych. Wypływało to z troski o życie i mienie obywateli. Chodziło o to, aby nie narażać ich na brutalne akcje odwetowe okupanta. „Hubal" nie zamierzał jednak składać broni. Liczył, że doczeka w lesie do wielkiej, wiosennej ofensywy Francji.

Wiosną atak rzeczywiście nastąpił, ale nie przeprowadzili go Francuzi, tylko Niemcy. 29 marca 1940 r. z rozkazu wyższego dowódcy SS i policji na Wschodzie Friedricha Wilhelma Krügera rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę operacja mająca na celu zniszczenie oddziału „Hubala". Zakończyła się ona kompromitacją Niemców.

Doskonale znający teren Hubalczycy bez trudu wymykali się obławie złożonej z niedoświadczonych esesmanów i policjantów. Kolejne niemieckie uderzenia trafiały w próżnię. W efekcie – jak ujął to Daniel Brewing – operacja zamieniła się w pogoń za widmem.

Wywołało to frustrację i poczucie bezradności zarówno w kręgach dowódczych SS, jak i wśród funkcjonariuszy w terenie. Jedni i drudzy za wszelką cenę chcieli wykazać się wynikami, których nie byli w stanie osiągnąć. Szukali przy tym wytłumaczenia porażki. Partyzanci są nieuchwytni – uznali – bo pomaga im ludność z okolicznych wiosek. Skoro więc nie możemy dosięgnąć samego „Hubala" – uderzymy w jego zaplecze…

W efekcie doszło do serii masakr. Wsie były palone, a mężczyźni między 16. a 60. rokiem życia – rozstrzeliwani jako rzekomi współpracownicy „Hubala". W sumie niemieccy policjanci i esesmani w trakcie tej akcji zgładzili 937 osób. Zaatakowali ponad 30 miejscowości, z których kilka zostało doszczętnie spalonych. W ten sposób policjanci mogli wyładować swą frustrację. Ale przede wszystkim w raportach wysyłanych do zwierzchników mogli wykazać się dużą liczbą unieszkodliwionych „bandytów".

W trakcie akcji oprawcom puściły wszelkie hamulce. Jak pisał jeden ze świadków: „Strzelano do kobiet i do wron, do wszystkiego, co znalazło się w zasięgu wzroku". Niemieccy policjanci zastosowali haniebną zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Nikomu z zamordowanych nie udowodniono bowiem wspierania partyzantów.

Mało tego, nie jest tajemnicą, że ludność chłopska – delikatnie pisząc – na ogół nie przepada za partyzantami, którzy zaopatrują się przecież w żywność i inne potrzebne materiały w wioskach. Podobne „niuanse" nie interesowały jednak esesmanów. Zgodnie z logiką „wojny rasowej" za czyny jednych Polaków musieli zginąć inni Polacy.

Policyjna operacja wymierzona w „Hubala" nie przyniosła więc żadnego

eprasa.pl 4f09b4a2df

Niemcy przed akcją w Michniowie
FOT. IPN

skutku oprócz orgii dzikich mordów i podpaleń. Major Dobrzański grał na nosie Niemcom. Jego epopeja skończyła się dopiero wtedy, gdy do akcji wkroczył Wehrmacht, zirytowany niekompetencją SS. Niemieckie wojsko szybko uporało się z polskim zagończykiem. „Hubal" poległ 30 kwietnia 1940 r. pod Anielinem.

Władze ZWZ oczywiście potępiały niemieckie barbarzyństwo, jednocześnie jednak wskazywały na brak wyobraźni samego „Hubala".

W Końskiem niepoczytalne wystąpienie „Hubala" – pisał dowódca ZWZ płk Stefan Grot-Rowecki do gen. Kazimierza Sosnkowskiego – który dwukrotnie nie usłuchał rozkazu rozwiązania partyzantki i zainicjował wystąpienie zbrojne, krótkotrwałe, okupione życiem wielu chłopów, rozstrzelanych w okolicznych wioskach. „Hubala" ścigam, chcę go wysłać za granicę, w przyszłości oddam pod sąd.

W kolejnym raporcie „Grot" dodawał:

Duże trudności miała organizacja w związku ze sprawą Hubala. Ten dzielny, choć niesforny oficer, wbrew rozkazom Kmdy Gł. rozpoczął na własną rękę walkę partyzancką z Niemcami. W następstwie został rozbity, a później sam zginął w ucieczce. Następstwa tego: krwawy terror, zniszczenie całkowite kilkunastu wsi i rozstrzelanie 700 chłopów, przyczyniły się do odstręczenia ludzi od organizacji.

Stefan Grot-Rowecki wychodził wówczas z założenia, że ewentualne zyski z działań partyzanckich nie są warte kolosalnych kosztów. Trudno nie odmówić mu racji.

Niemcy brną

Przez kolejne dwa lata na terenach wiejskich Generalnego Gubernatorstwa panował względny spokój. Polskie podziemie nie tworzyło oddziałów partyzanckich. Okupant nie dokonywał odwetowych pacyfikacji. Sytuacja zmieniła się drastycznie w 1942 r., gdy Niemcy zaczęli realizować swoje obłędne, a jednocześnie utopijne plany rasowe.

Po pierwsze – Holokaust. Po drugie – głodzenie i eksterminacja jeńców sowieckich. Po trzecie – wysiedlenia polskich chłopów z Zamojszczyzny. Wszystko to przyniosło efekt nietrudny do przewidzenia. Masowe powstawanie leśnych oddziałów.

Uciekinierzy z gett i transportów tworzyli żydowskie grupy przetrwaniowe. Zbiegli jeńcy tworzyli sowieckie oddziały partyzanckie.

Polacy – w geście samoobrony przed niemieckimi deportacjami – zaczęli tworzyć własne formacje leśne ZWZ/AK.

W efekcie sytuacja bezpieczeństwa na terenie Generalnego Gubernatorstwa w błyskawicznym tempie uległa drastycznemu pogorszeniu. Wywołało to prawdziwe przerażenie wśród Niemców, ale należy podkreślić, że było to skutkiem ich własnych działań. W efekcie Krüger – jak to zwykle bywa w systemach socjalistycznych – musiał rozwiązywać problemy, które sam stworzył.

W 1942 r. aparat SS i policji znowu musiał się zmierzyć z problemem partyzantów. Szybko okazało się, że Krüger – podobnie jak inni dowódcy SS – nie wyciągnął żadnych wniosków z fiaska operacji przeciwko „Hubalowi". Jedyną jego odpowiedzią na działania leśnych było jeszcze większe wzmożenie terroru wobec cywilów. A więc zastosowanie tych samych środków, które już raz nie przyniosły żadnych efektów. Tylko na jeszcze większą skalę.

Być może stanowi to obecnie dla nas także ostrzeżenie, że nie możemy rządzić dzikim krajem w białych rękawiczkach – pisał do Himmlera szef Urzędu Głównego SS Gottlob Berger. – Lepiej rozstrzelać o dwóch Polaków za dużo niż o jednego za mało.

Zgodnie z tą zasadą gorliwi kaci Hitlera przystąpili do swojego krwawego procederu. Pierwsza wielka operacja antypartyzancka rozpoczęła się w maju 1942 r. w dystrykcie lubelskim. Kierował nią jeden z głównych wykonawców Holokaustu – Odilo Globocnik. Wyjątkowo sadystyczny narodowy socjalista nazywany „Globusem". Po tej operacji nastąpiły kolejna i kolejna. Aż do zakończenia okupacji.

Niemal wszystkie te akcje zakończyły się spektakularną klapą. Tak jak w 1940 r. partyzanci okazywali się nieuchwytni. Zamiast walczyć z realnym wrogiem Niemcy mordowali więc zwykłych, Bogu ducha winnych, chłopów. W ten sposób SS chciało odciąć „tlen" partyzantom.

Krüger w swoich rozkazach wprowadził specjalną kategorię „pomocników i osób wspierających bandy", których należało „bezwzględnie unicestwić". O tym, kto jest tym „pomocnikiem", decydowali na miejscu oficerowie niższego szczebla i zwykli funkcjonariusze. Oni również mieli zdecydować, jakich środków należy użyć, aby przywrócić „porządek i spokój".

Rozkazy te doprowadziły do kolejnych eskalacji przemocy. Ponieważ partyzantka jest formacją nieregularną, nieumundurowaną – każdy mężczyzna schwytany w rejonie operacji był przez esesmanów traktowany jak wróg. W ich oczach całkowicie zatarła się granica między partyzantem a cywilem. Strzelali do każdego, kto się ruszał.

Chodziło o środek represji i odwetu, ale jednocześnie o niepodejmowanie zbędnego ryzyka. Lepiej z miejsca zastrzelić napotkanego chłopa – rozumowali niemieccy funkcjonariusze – niż samemu dostać kulę w brzuch, jeżeli okaże się on partyzantem. Dochodziło przy tym do takich absurdów, jak zabicie trzech samotnych, mieszkających na skraju wsi kobiet. Bo one „na pewno" karmiły partyzantów i świadczyły im usługi seksualne…

Bez cienia przesady można uznać, że niemieckich funkcjonariuszy ogarnęła prawdziwa psychoza. „Operacje antypartyzanckie" w rzeczywistości nie miały nic wspólnego ze swoją nazwą. „Na odcinku II pluton strzelców motocyklowych rozstrzelał łącznie 45 pomocników i uciekinierów. Pluton nie wszedł w kontakt z wrogiem" – czytamy w jednym z meldunków.

„Muszę przyznać, że choć przez całe trzy dni przeczesywaliśmy lasy, nie spotkaliśmy ani jednego partyzanta" – mówił po wojnie jeden z uczestników takich akcji. Uważna lektura meldunków niemieckich oddziałów nie pozostawia wątpliwości co do prawdziwej natury tych operacji. Z reguły kończyły się one podobnymi podsumowaniami: „200 partyzantów i ich pomocników zastrzelonych. Strat własnych – brak"… Do Niemców, mimo że się tego panicznie bali, na ogół nikt nie strzelał. Partyzanci zawczasu bowiem opuszczali zagrożony teren. A na miejscu pozostawali bezbronni cywile.

Do dużych operacji wymierzonych w leśne oddziały należy dodać olbrzymią liczbę punktowych uderzeń pacyfika-

eprasa.pl 4f09b4a2df

cyjnych. W przypadku tych ostatnich scenariusz był na ogół podobny. Oddział partyzancki wysadzał tory lub dokonywał ataku na niemiecki urząd. Po czym „odskakiwał" w lasy. Nazajutrz na miejsce przybywał oddział SS i pacyfikował najbliższą wioskę. Zgodnie z zasadą, że za śmierć jednego Niemca należy zabić 50–100 Polaków…

Spirala terroru

Jakie były skutki „zwalczania band" zgodnie z takimi założeniami? Oczywiście dokładnie odwrotne od zamierzonych! Niemieckiemu aparatowi bezpieczeństwa działającemu na polskich terenach wiejskich przyświecały bowiem dwa główne cele:

1) Utrzymanie spokoju i porządku poprzez stłumienie w zarodku wszelkiego oporu.

2) Zabezpieczenie sprawnego funkcjonowania gospodarki rolnej i leśnej.

Efekty morderczych wybryków SS i policji były tymczasem opłakane. Straszliwe pacyfikacje i obławy wywoływały całkowity chaos w rejonach wiejskich. Młodzi mężczyźni ze spalonych wiosek masowo uciekali do lasu i tworzyli kolejne oddziały leśne. Pozbawieni domów i rodzin pałali żądzą odwetu i dokonywali kolejnych ataków na Niemców.

Historycy nazywają to zjawisko spiralą terroru. Niemiecki terror wywoływał kontrterror. Kontrterror

DANIEL BREWING
„NIEMIECKIE MASAKRY POLSKIEJ LUDNOŚCI CYWILNEJ 1939–1945"
INSTYTUT ZACHODNI

wywoływał terror. I tak w kółko, zgodnie z efektem kuli śniegowej. Im bardziej brutalni i bezwzględni byli Niemcy, tym w Polakach bardziej rosła żądza oporu. Im więcej pacyfikacji dokonywali Niemcy, tym bardziej pęczniały szeregi partyzantki.

Równie opłakane były skutki gospodarcze. Aż trudno uwierzyć, że dowódcy SS byli tak krótkowzroczni, że nie widzieli tej zależności. Spacyfikowane miejscowości oczywiście nie mogły dostarczać kontyngentów płodów rolnych. A powstające w wyniku niemieckich działań jak grzyby po deszczu oddziały partyzanckie niszczyły mleczarnie i tartaki. Zrywały mosty, blokowały drogi i linie kolejowe.

Niemcy na własne życzenie sparaliżowali więc sporą część zaplecza frontu wschodniego, jakim było Generalne Gubernatorstwo. W 1944 r. sytuacja bezpieczeństwa uległa bowiem załamaniu. Doszło do tego, że Niemcy utracili kontrolę nad całymi obszarami okupowanej Polski. Zamachy zaczęły się mnożyć kaskadowo, wśród urzędników okupacyjnej administracji zapanowało prawdziwe przerażenie.

Paradoks polega więc na tym, że niemiecki aparat bezpieczeństwa przez swoją głupotę i niekompetencję doprowadził do załamania bezpieczeństwa i całkowitej dezorganizacji życia gospodarczego na terenach wiejskich okupowanej Polski. Zamiast stabilizacji i porządku – wywołał chaos. Był to powód, dla którego pod koniec 1943 r. Hans Frank doprowadził do wyrzucenia Krügera ze stanowiska.

Dopiero w ostatnim okresie wojny do Niemców zaczęło dochodzić, jak bardzo kontrproduktywna i dysfunkcjonalna była taktyka stosowana przez aparat SS i policji. Do tego dochodziła, nasilająca się od czasu klęski pod Stalingradem, obawa przed poniesieniem konsekwencji karnych. W 1943 r. stało się bowiem jasne, że Niemcy wojny nie wygrają i prędzej czy później będą musieli Polskę opuścić.

Mimo to aż do końca wojny aparat bezpieczeństwa w Generalnym Gubernatorstwie nie był w stanie zmienić swojego postępowania na bardziej pragmatyczne i skuteczne. Ślepy terror pozostał jedyną odpowiedzią SS i policji na problem partyzantów. Formacje te trzymały się kurczowo raz obranego kursu. Nie potrafiły przyznać się do błędu oraz do własnej niemocy i słabości. „Raz jeszcze objawił się zdumiewający brak zdolności sprawców do uczenia się" – pisze Daniel Brewing.

Za ten „brak zdolności do uczenia się" życiem zapłaciły tysiące niewinnych Polaków. Gdy Niemcy w latach 1944–1945 opuszczali teren Polski – pozostawili za sobą morze ruin, zgliszczy i krzyży. Był to efekt okrucieństwa, ale również głupoty okupantów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 4f09b4a2df

Hans Frank i Friedrich Krüger (w hełmie) przyjmują defiladę niemieckiej policji, Kraków 1941 r.

FOT. BUNDESARCHIV BILD

GG / W cieniu Hansa Franka

Potwór Krüger

Grzegorz Janiszewski

Wilhelm Friedrich Krüger był jednym z najokrutniejszych niemieckich oprawców. To on odpowiada za masakry polski wsi

Generalne Gubernatorstwo było traktowane w niemieckich planach jako wojenny łup oraz obszar bezwzględnego wyzysku i eksterminacji. Skonfiskowane zakłady przemysłowe i warsztaty miały służyć potrzebom Rzeszy. Pociągi z zaopatrzeniem musiały przejeżdżać bez zakłóceń, dostarczając surowce z sowieckiej Rosji do Rzeszy, a potem żołnierzy i sprzęt w odwrotnym kierunku. Tutaj znajdowały się jedne z największych skupisk Żydów w Europie i doskonałe czarnoziemy Zamojszczyzny, na które łasym okiem spoglądał Himmler, chcąc osiedlić tam esesmańską forpocztę osadnictwa na wschodzie.

Aby zrealizować te plany, trzeba było całkowicie sterroryzować społeczeństwo. Wszelki opór miał być tłumiony przy użyciu najbardziej drakońskich metod. Polacy nie mieli jednak zamiaru biernie poddawać się woli okupanta. Zbrojne podziemie zaczęło się organizować, zanim jeszcze skończyła się wojna obronna.

Przed Niemcami stanęło trudne zadanie utrzymania porządku i bezpieczeństwa na okupowanym obszarze. Bezwzględnie utrzymać spokój w GG rozkazał sam Hitler, wiedząc, że od tego zależą jego dalsze wojenne plany. Jak napisał Martin Winston, GG stało się „mrocznym sercem Europy". Laboratorium, w którym Niemcy prowadzili eksperymenty z różnymi metodami okupacji i eksterminacji ludności. Również od ich wyników zależały dalsze losy Tysiącletniej Rzeszy.

Zaufany Himmlera

Kto odpowiadał za realizację owych szalonych planów? Utrzymanie bezpieczeństwa w Gubernatorstwie powierzono niemieckiej policji i pozostającej z nią w specyficznym związku SS. Dowódcy tych formacji na okupowanych terenach formalnie podlegali władzom cywilnym. Jednak Himmler widział ich jako udzielnych władców, realizujących jego plany kolonizacji wschodu Europy. Sprzyjał temu szeroki zakres ich kompetencji. Nieuchronnie prowadziło to do konfliktów.

Zwykle jako odpowiedzialni za niemieckie zbrodnie w GG wymieniani są Frank, Fischer, Kutschera, Hahn czy Stroop, a nawet pomniejsi funkcjonariusze warszawskiego gestapo, którzy szczególnie dali się we znaki mieszkańcom. Tymczasem tak naprawdę mózgiem aparatu represji, odpowiedzialnym za kilka milionów ofiar i grabież polskiego mienia w GG, był wyższy dowódca SS i Policji, Obergruppenführer Friedrich Wilhelm Krüger. Gorliwie pomagał mu

eprasa.pl 4f09b4a2df

SS-Gruppenführer Odilo Globocnik. Obaj byli protegowanymi i ulubieńcami Himmlera, gorliwie wcielającymi w życie jego szalone pomysły.

Realizację tych planów zaczęto od Żydów. Zamknięto ich w gettach, a pierwszy obóz pracy przymusowej w GG powstał w grudniu 1939 r. w Dystrykcie Lubelskim. Żydów zmuszano do niewolniczej pracy i skazywano na głodową śmierć. Przydziały żywności ostatecznie wynosiły 20 g chleba dziennie.

Polityczna decyzja o całkowitej eksterminacji Żydów zapadła w Wannsee w styczniu 1942 r. Tymczasem Krüger z Globocnikiem uzgodnili to z Himmlerem na konferencji w Kętrzynie już w październiku 1941 r. Ukryte w gęstych lasach na wschodzie GG obozy masowej zagłady w Bełżcu, Sobiborze i Treblince były już w marcu 1942 r. gotowe do operacji „Reinhardt", czyli wymordowania ok. 1,85 mln polskich Żydów.

W czasie trwającej do listopada 1943 r. akcji sprawcy osiągnęli największą skalę ludobójstwa w historii. Oszczędni Niemcy nie stracili przy tym ani jednej marki. Koszty, wynoszące ok. 4,7 mln reichsmarek, pokryli z odebranych Żydom kosztowności, pieniędzy i dobytku, których wartość według wyliczeń skrupulatnych księgowych z SS wyniosły 178,7 mln RM.

„Akcja A–B" i Zamojszczyzna

Kiedy Krüger obejmował stanowisko w październiku 1939 r., trwała jeszcze rozpoczęta na początku wojny akcja mordowania polskiej inteligencji – „Intelligenzaktion". Wymordowanie ok. 50 tys. osób głównie na terenach wcielonych do Rzeszy nie wystarczyło hitlerowcom. Wiosną 1940 r. odbyło się kilka konferencji i spotkań władz GG, dowódców SS, policji i Wehrmachtu, kiedy to sam gubernator Frank zauważył, że Polacy odżyli po wstrząsie związanym z klęską, a podziemny ruch oporu przybiera na sile.

Wkrótce rozpoczęła się „Ausserordentliche Befriedungsaktion", w skrócie nazywana „Akcją A-B". Wymierzona w „polskie warstwy przywódcze" – inteligencję, kler, oficerów, ale także kryminalistów wypuszczonych we wrześniu 1939 r. z więzień. Pochłonęła ona przynajmniej 6 tys. ofiar, zabitych w zbiorowych egzekucjach albo później w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Zamojszczyzna odgrywała ważną rolę w planach kolonizacji wschodniej Europy i zyskania tam Lebensraumu dla Niemców. Decydowały o tym żyzne ziemie i położenie w przedsionku przeznaczonych do zasiedlenia ziem na wschodzie. Już w lipcu 1941 r. wizytował ją Himmler, który wkrótce wydał zarządzenie o uznaniu tych terenów za „pierwszy obszar osiedleńczy w GG". Właściwą akcję wysiedleń rozpoczęto pod koniec listopada 1942 r. W czterech południowo-wschodnich powiatach Dystryktu Lubelskiego niemiecka policja i jednostki pomocnicze zaczęły otaczać wioski, wypędzając ludzi z chałup i kierując do wywózki. Mieszkańcy mieli godzinę na spakowanie, mogli zabrać do 30 kg dobytku i 20 zł. Rozdzielano rodziny, dzieląc ludzi według przydatności do pracy. Starców i inwalidów często zabijano na miejscu. Wysiedlonych kierowano do obozów przejściowych, gdzie masowo umierali pozbawieni podstawowych środków do życia.

Odebrane rodzicom dzieci, które nie spełniały niemieckich kryteriów rasowych, wysyłano na śmierć w obozach koncentracyjnych. Jadące pod opieką nielicznych starców masowo umierały w bydlęcych wagonach i na furmankach. Na dworcach kolejowych i przy drogach gromadzili się ludzie, udzielając im pomocy, próbując wykupić i wykradać. Pogrzeby zmarłych z zimna, głodu i chorób dzieci mimo zakazów Niemców zmieniały się w demonstracje. Polacy mimo panującego terroru byli na skraju wybuchu.

Po pierwszych wysiedleniach mieszkańcy zaczęli masowo porzucać gospodarstwa, często paląc zabudowania i zabierając inwentarz. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi koczowało po lasach, padając ofiarą głodu i chorób. W obliczu fizycznej eksterminacji ludności, AK i BCh rozpoczęły bezpardonową walkę. Palono zabudowania i mordowano osadników. Niemcy musieli chronić się w ufortyfikowanych osadach, nieustannie pełniąc straż.

Na początku 1943 r. Zamojszczyzna stała się terenem zaciętych walk, toczonych przez kilka tysięcy partyzantów z regularnymi oddziałami niemieckimi, wyposażonymi w ciężką broń maszynową, artylerię, a nawet pojazdy pancerne. Miejscowa ludność wyciągała ze skrytek ukrytą po wrześniu 1939 r. broń i przyłączała się do walki.

Niemieccy osadnicy uciekali ze świeżo zasiedlonych gospodarstw i chronili się w miastach. Dalsze prowadzenie akcji nie miało sensu. Dostrzegł to Frank i w lutym 1943 r. kazał ją zakończyć, stwierdzając, że przyniosła tylko zamęt. Krüger z Globocnikiem przystopowali, ale na wyraźne polecenie Himmlera z nową energią wznowili wysiedlenia latem. Ludność chroniąca się w lasach była ostrzeliwana przez artylerię, kierowaną z samolotów. Globocnik wpadł na pomysł, że osadników przed Polakami będą chronić sprowadzeni w tym celu uzbrojeni Ukraińcy.

Pistolet Parabellum P08 FOT. ARCHIWUM

Zamojszczyznę zaczęły przemierzać najeżone lufami karabinów karawany furmanek, z Ukraińcami szukającymi miejsca pod osiedlenie, nieustannie atakowane przez polskich partyzantów. Region położony na zapleczu szybko

eprasa.pl 4f09b4a2df

zbliżającego się frontu zaczął przypominać pustkowie. Pola zostały nieobsiane, nie można było zebrać plonów. Niemieckich osadników trzeba było przenosić gdzie indziej. Eksperyment okazał się całkowitym fiaskiem.

Życiorys nazisty

Sprawca tych nieszczęść, Friedrich Wilhelm Krüger, urodził się w 1894 r. w niemieckim wówczas Strasburgu. Jego ojciec i starszy brat byli oficerami w pruskiej armii. Krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej ukończył szkołę kadetów w Berlinie – Grosslichterfelde i wyruszył na front. Wyróżnił się podczas działań wojennych, był trzy razy ranny i odznaczony Krzyżem Żelaznym I i II klasy. Po wojnie, jak wielu demobilizowanych oficerów, zaangażował się w działalność Freikorpsów, a potem, już jako cywil pracował w wydawnictwie. Przełomem w karierze okazała się praca w berlińskim zakładzie oczyszczania miasta. Poznał tam głównego inżyniera wysypiska śmieci Kurta Daluege. Ten późniejszy szef policji porządkowej, obok szefa gestapo Heinricha Müllera i policji kryminalnej Arthura Nebego, był jednym z trójcy zbrodniarzy najwyższego szczebla, realizujących niemiecką politykę eksterminacyjną.

Odtąd kariera Krügera nabiera tempa. Dzięki protekcji służy w osobistym sztabie Ernsta Röhma, w wysokim stopniu SA – Gruppenführera. Powierzono mu ważną funkcję szkolenia ochotników na potrzeby przyszłej niemieckiej armii. Nie wiadomo dokładnie, co Krüger robił podczas nocy długich noży. Po powstaniu Wehrmachtu szkolenie ochotników nie było już potrzebne, a on sam w marcu 1935 r. przechodzi do SS. Chociaż cieszy się zaufaniem Himmlera, podejrzewany jest przez innych esesmanów o udział w wymordowaniu kierownictwa SA i pomimo zachowania wysokiego stopnia nie pełni ważnych funkcji.

Takie podejrzenia absolutnie nie przeszkadzają w wyznaczeniu go na stanowisko w GG. Już 4 października 1939 r. zostaje wyższym dowódcą SS i Policji Wschód, odpowiadającym za bezpieczeństwo w Gubernatorstwie.

Hans Frank wręcza Friedrichowi Krügerowi nominację na szefa policji w Generalnym Gubernatorstwie FOT. NAC

Polskie podziemie doskonale zdawało sobie sprawę, kto odpowiada za zbrodnie. Krüger był na drugim miejscu na liście niemieckich funkcjonariuszy przeznaczonych do likwidacji – zaraz za Hansem Frankiem. Zorganizowanie zamachu powierzono Organizacji Specjalnych Akcji Bojowych („Osa"/„Kosa-30").

20 kwietnia 1943 r. – w krakowskiej dzielnicy „niemieckiej" – na rogu ul. Wygoda i al. Krasińskiego, Tadeusz Battek „Góral" i Andrzej Jankowski „Jędrek" obrzucili samochód Krügera specjalnie wzmocnionymi „filipinkami". Granaty wybuchły za wozem, kiedy kierowca, widząc zamachowców, przyspieszył. Krüger został prawdopodobnie lekko ranny i przez kilkanaście dni nie pokazywał się na mieście.

Zamach, mimo że nieudany, był poważnym ostrzeżeniem dla Niemców i odbił się szerokim echem w polskim społeczeństwie.

Esesmańskie gniazdo os

Stosunki Krügera z Hansem Frankiem układały się różnie. Gubernator gratulował mu likwidacji oddziału „Hubala" wiosną 1940 r., a podczas „Akcji A-B" prosił Himmlera o awans dla niego. Cieniem na ich współpracy kładła się jednak nienawiść Himmlera do Franka i ich rywalizacja o władzę w GG.

Zwykle więc siedziba władz Gubernatorstwa – jak wiele innych instytucji – przypominała typowe nazistowskie gniazdo os. Krüger niechętnie poddawał się poleceniom albo je sabotował. Zbierał przy tym materiały o korupcyjnej działalności gubernatora, która w okupowanej Polsce przybrała monstrualne rozmiary. Frank miał jednak mocną pozycję u Führera, którego był kiedyś osobistym adwokatem.

O wyniku starcia zadecydowała sytuacja w GG. Polityka prowadzona przez Krügera i Globocnika poniosła fiasko. Podczas pacyfikacji Zamojszczyzny nawet dowódca policji bezpieczeństwa w GG Eberhard Schöngarth potrafił zauważyć na posiedzeniu rządu w kwietniu 1943 r., że: „Takiego ucisku, jaki cierpi naród polski, nie znosił jeszcze nigdy żaden naród...". Frank kazał przerwać akcję na Zamojszczyźnie nie ze względów humanitarnych, ale w obawie przed wybuchem niekontrolowanego chaosu. Wbrew rozkazowi Hitlera w Gubernatorstwie nie mogli się czuć bezpiecznie nawet najwyżsi niemieccy funkcjonariusze.

Zwłaszcza wydarzenia na Zamojszczyźnie i tłumione prawie miesiąc powstanie w getcie warszawskim wytrąciły wszechwładnemu w sprawach bezpieczeństwa i polityki na wschodzie Himmlerowi argumenty z ręki i podsyciły tlący się konflikt we władzach III Rzeszy. Oczywiście wykorzystał to Frank, żądając odwołania Krügera, co też nastąpiło w listopadzie 1943 r.

Krüger służył potem w jednostkach Waffen-SS w Finlandii i Jugosławii. Był też członkiem sztabu Armii Wisła Himmlera. Pod koniec wojny ukrywał się w mundurze żołnierza Wehrmachtu w Austrii i został wzięty do niewoli przez Amerykanów. Nigdy nie został za swoje czyny osądzony. Jak wielu wyższych dowódców SS i policji popełnił samobójstwo 10 maja 1945 r.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

67 lat
historii filmu
2536 wydań

Największa baza dorobku polskiej kultury filmowej

Filmopedia
FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl 4f09b4a2df

Piotr Włoczyk

Potworne rany Winicjusza Natoniewskiego to świadectwo bestialstwa niemieckich represji wobec polskich wsi. Jego walka o odszkodowanie to kolejny dowód na to, że dzisiejsze Niemcy poczuwają się do odpowiedzialności za zbrodnie jedynie w sferze symbolicznej

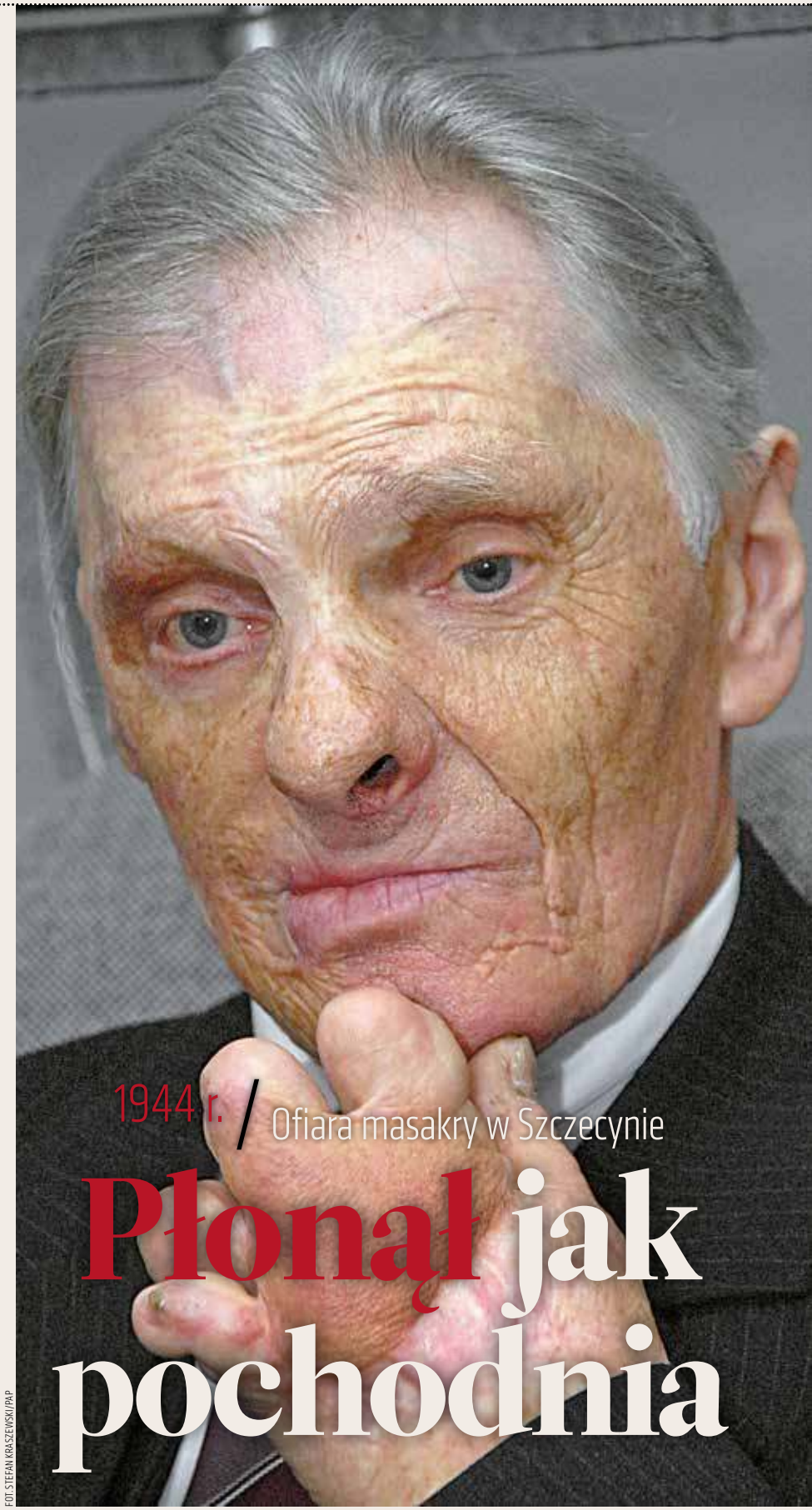

FOT. STEFAN KRASZEWSKI/PAP

1944 r. / Ofiara masakry w Szczecynie

Płonął jak pochodnia

Dnia 2 lutego 1944 r. niemiecka żandarmeria wkroczyła do Szczecyna, małej wioski na Lubelszczyźnie. Był to element większego planu. Tego dnia Niemcy postanowili eksterminować sześć wsi w Lasach Janowskich w odwecie za działalność podziemną. Niespełna sześcioletni Winicjusz Natoniewski mieszkał w Szczecynie z rodzicami, ze starszą siostrą i z dziadkami.

– Starsi ode mnie mówili, że dużo się tam działo, polscy żołnierze robili wiele problemów Niemcom. Ale ja oczywiście wtedy o niczym takim nie słyszałem ani też nie widziałem partyzantów. Nie interesowały mnie za bardzo takie rzeczy. Kiedy przyszli nas wszystkich spalić, miałem przecież dopiero 5,5 roku – wspominał Winicjusz Natoniewski w rozmowie z „Historią Do Rzeczy". – Początkowo zabijali wszystkich jak leci. Nie robiło im żadnej różnicy, czy strzelali do mężczyzn, kobiet, dzieci czy starców. Zabijali każdego, kto im się nawinął pod karabiny. Ale po jakimś czasie – jak mi potem opowiedzieli starsi – ten szał został na szczęście częściowo zastopowany. Przyjechało dwóch wyższych oficerów i zmieniło rozkaz w sprawie mordowania. Żołnierze niemieccy mieli odtąd zapędzać kobiety i dzieci na pobliskie pastwisko. Tylko mężczyźni mieli zostać

eprasa.pl 4f09b4a2df

zgładzeni na miejscu. Mamę i siostrę zabrali Niemcy, a mój tatuś i dziadek schowali się wraz ze mną w – tak się wtedy wydawało – bezpiecznym miejscu.

Tamtego dnia Niemcy zabili w Szczecynie ponad 200 osób. Najmłodsza ofiara miała trzy miesiące. „Droga usłana była ciałami zastrzelonych. Starsze osoby nie mogły iść. Tamci jednak strzelali, bili ludzi kolbami karabinów. Nie patrzyli, czy to kobieta czy dziecko – wspominał w książce »Pacyfikacja wsi Szczecyn – ku pamięci i przestrodze« jeden z mieszkańców wsi, który w tamtym czasie był dzieckiem. – Pamiętam Mariannę Kuśmierz, nie mogła iść, bo miała na sobie jedynie prześcieradło. Niemiec kazał jej usiąść i zastrzelił ją. Krew bryzgała na dzieci, które przeraźliwie piszczały...".

Winicjusz Natoniewski wraz z ojcem i dziadkiem schronił się w ziemiance zbudowanej kilka metrów od domu. Niemcy chodzili w tym czasie po całej wsi i podpalali zabudowania. Gdy doszli do gospodarstwa państwa Natoniewskich, płonęła już niemal cała wioska – ponad 150 domów.

Przeklęty dym

Ziemianka nie była jednak bezpiecznym schronieniem. Czarny, gęsty dym z płonącego domu wdzierał się prosto do środka ziemianki i mężczyźni zaczęli się dusić. Wszyscy musieli wyjść z kryjówki. Niestety zdezorientowane dziecko skierowało swoje kroki w najgorszą możliwą stronę...

– Po wyjściu z ziemianki szedłem wzdłuż ściany płonącego domu. Ogień lizał moją twarz, ręce, ubranie. Zacząłem płonąć, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się właśnie ze mną dzieje. Byłem w kompletnym szoku. Obok nas mieściło się gospodarstwo stryjenki. Ojciec ukrył się w rowie i wołał mnie, a ja zacząłem biec do niego – wspominał Winicjusz Natoniewski.

Jego przerażony ojciec gasił płonącego syna, rzucając go na mokrą ziemię. Z pomocą chłopcu przyszła mieszkająca po sąsiedzku stryjenka. Ojciec przekazał jej dziecko przez okno w momencie, gdy Niemcy podeszli pod dom.

– Wygonili ją ze mną na rękach. Razem z innymi kobietami i dziećmi szła na pastwisko, gdzie Niemcy zorganizowali punkt zborny. Kiedy wisiałem jej na rękach, to widziałem stosy trupów po drodze. Horror, po prostu horror! Na miejscu na pastwisku było już mnóstwo kobiet i dzieci – opowiadał Winicjusz Natoniewski.

Wówczas wydarzył się mały cud – stryjence chłopca udało się uciec z grupy osób przeznaczonych do wywózki na roboty do Niemiec lub do obozu. Nietrudno sobie wyobrazić, co by się stało z tak ciężko rannym dzieckiem, gdyby zostało ono zamknięte w wagonie bydlęcym na wiele dni bez jakiejkolwiek opieki medycznej.

> **Szedłem wzdłuż ściany płonącego domu. Ogień lizał moją twarz, ręce, ubranie. Zacząłem płonąć...**

Dzięki odwadze stryjenki Winicjusz Natoniewski błyskawicznie trafił do prewentorium prowadzonego przez zakonnice. Siostry starały się zapewnić dziecku najlepszą możliwą opiekę, ale bez profesjonalnej pomocy nie było szans, by doszedł do zdrowia. Konieczne było przeniesienie poparzonego chłopca do specjalistycznej lecznicy w Lublinie.

– Byłem w makabrycznym stanie. Skóra odchodziła od mięsa. W Lublinie lekarze stawali na głowie, żeby mnie uratować. To już było po tym, jak Ruscy weszli. Próbowali przeszczepiać skórę, wycinając całe płaty z nóg. Ale to się nie przyjmowało! Moje ciało było jedną wielką raną – wspominał Winicjusz Natoniewski.

Lekarze mozolnie ratowali spalone kawałki ciała chłopca. Choć udało się uratować jego życie – co w ówczesnych warunkach samo w sobie zakrawa na cud – to jednak tak rozległe i głębokie oparzenia sprawiły, że Winicjusz Natoniewski całe życie musiał się zmagać z niepełnosprawnością. Jego kalectwo wywoływało bardzo różne reakcje.

– Szczególnie dzieci były okrutne. Moje dzieciństwo było pod tym względem pełne przykrości. Takie historie były u mnie niemal na porządku dziennym. Zresztą nie tylko w dzieciństwie mnie to spotykało – w dorosłym życiu też byłem wytykany palcami. Moja rodzina też przez to cierpiała… – opowiadał Winicjusz Natoniewski.

Immunitet Niemców

O jego historii głośno zrobiło się w 2007 r., gdy w telewizji opowiedział o swoim dramacie. W tym samym programie gościem był adwokat Roman Nowosielski, który postanowił mu pomóc – bezpłatnie – uzyskać zadośćuczynienie od Niemców. Winicjusz Natoniewski domagał się od Republiki Federalnej Niemiec miliona złotych. Wydaje się jednak, że wobec skali jego cierpienia żądana kwota i tak jest wielokrotnie zaniżona.

Kolejne lata pokazały, że wywalczenie zadośćuczynienia od Niemiec to wyjątkowo trudne zadanie nawet dla najzdolniejszego adwokata. Na końcu całej procedury prawnej Sąd Najwyższy przyznał wprawdzie Winicjuszowi Natoniewskiemu „rację moralną", ale uznał, że nie może on pozwać strony niemieckiej, bo ta skutecznie zasłania się immunitetem. I właśnie o immunitet państwa niemieckiego cała sprawa się rozbiła. Dopóki Berlin nie postanowi przyjąć również odpowiedzialności materialnej za zbrodnie III Rzeszy, dopóty polskie ofiary hitlerowców nie będą miały realnej szansy wywalczenia odszkodowania za swoje cierpienia.

– To zadośćuczynienie nie jest jakimś wymysłem, tylko zwykłą sprawiedliwością. Niemcy, tak bogaty kraj, uchylają się jednak od odpowiedzialności. Jak oni tak mogą robić? Czy nie czują się już winni temu, co zrobili w Polsce w czasie wojny?

W całym nieszczęściu, które spadło na Winicjusza Natoniewskiego, widać dwa cudy. Pierwszy to ocalenie rodziny. – Wobec skali masakry w Szczecynie to sprawa niezwykła – nie straciłem nikogo z najbliższej rodziny. Wszyscy przeżyli wojnę – mama, tata, dziadek, moja starsza siostra – podkreślał Winicjusz Natoniewski.

Drugi cud to rodzina, którą stworzył okaleczony mężczyzna. Mimo tak potwornych ran Winicjusz Natoniewski znalazł kobietę, która dostrzegła w nim idealny materiał na męża i ojca. Małżeństwo państwa Natoniewskich doczekało się trojga dzieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

Sławomir Koper

1942 r. / Zgon ulubieńca Marszałka

Tajemnica śmierci Wieniawy

Co właściwie wydarzyło się tego dnia? Samobójstwo, wypadek czy morderstwo Bolesława Wieniawy–Długoszowskiego?

Pierwszy ułan II RP i były ambasador w Rzymie popełnił samobójstwo 1 lipca 1942 r. w Nowym Jorku. Jego śmierć była ogromnym zaskoczeniem, gdyż popularny kawalerzysta wydawał się ostatnim człowiekiem, którego można byłoby posądzać o mordercze zamiary wobec własnej osoby.

Konsternację wywołało również ujawnienie faktu, że następnego dnia Wieniawa miał odlecieć do Hawany, by objąć stanowisko posła rządu polskiego na Kubie. Oznaczało to koniec tułaczego życia emigranta i zapewnienie bytu sobie i najbliższym. Decyzji generała nie mógł również zrozumieć ambasador RP w USA, Sylwin Strakacz, który tuż przed samobójczym skokiem poinformował go telefonicznie o przydzieleniu służbowego samochodu w Hawanie. Długoszowski przyjął to z zadowoleniem, a kwadrans później już nie żył.

FOT. NARCYZ WITCZAK-WITALEWSKI / NAC

Na amerykańskiej ziemi

Wieniawa był ulubieńcem Piłsudskiego i jedną z najbarwniejszych postaci epoki. Po klęsce wrześniowej został desygnowany przez prezydenta Mościckiego na jego następcę, ale zamach stanu stronników gen. Sikorskiego wraz z oporem Francuzów uniemożliwił mu objęcie stanowiska (oficjalnie pełnił je przez jeden dzień). Powrócił zatem do obowiązków ambasadora, a po przystąpieniu Włoch do wojny wyemigrował do USA. Polskie władze w Londynie zakazały mu bowiem przyjazdu nad Tamizę, a podróż za

eprasa.pl 4f09b4a2df

ocean odbył wraz z rodziną za własne pieniądze.

Już na amerykańskiej ziemi ponowił prośbę o przyjęcie go do armii. Znów bezskutecznie, a co gorsza, kończyły mu się środki finansowe. Wprawdzie Długoszowscy otrzymali zgodę na dłuższy pobyt, a następnie wizę turystyczną, ale Wieniawa nie miał pozwolenia na legalną pracę. Pisywał zatem anonimowo artykuły do polonijnej prasy, czasami też wygłaszał prelekcje na spotkaniach Polaków. Natomiast dla „Dziennika Polskiego" z Detroit wybierał artykuły do przedruku z gazet amerykańskich. O powrocie do dawnego zawodu (był lekarzem okulistą) nie było mowy. Nie miał bowiem możliwości nostryfikacji dyplomu i nie praktykował od kilkudziesięciu lat.

„Ja tu czuję się nieco – skarżył się przebywającemu w Londynie mjr. Henrykowi Floyar-Rajchmanowi – jak polski groch przy amerykańskiej drodze. Poza artykułem od czasu do czasu i przemówieniem na zebraniu takim czy innym niewiele mam na razie do roboty. […] Właściwie żal mi, że nie mogę być z Wami, znaleźć robotę przy jakimś karabinie maszynowym czy armacie przeciwlotniczej".

Faktycznie, najtrudniejsze było dla niego pozostawanie poza wojskiem i służbą dla Polski podczas wojny. Kilka razy zwracał się pisemnie do prezydenta i Naczelnego Wodza z prośbą o wyznaczenie jakiegokolwiek stanowiska, jakiejkolwiek funkcji, ale pomimo obietnic nic nie otrzymał.

To był już zupełnie inny człowiek niż w Warszawie czy Rzymie. Już wcześniej deklarował, że potrafi zapomnieć o dawnych urazach i współpracować z ekipą Sikorskiego, a teraz w sytuacji globalnego konfliktu zrozumiał, że tylko zjednoczenie wszystkich sił może przynieść efekty. Służby pod kierownictwem Sikorskiego nie uważał już za sprzeniewierzenie pamięci Komendanta, zresztą Piłsudski w takiej chwili postąpiłby identycznie. Polska była najważniejsza, a wszelkie partyjne spory należało odłożyć.

Zaczęły go jednak prześladować problemy neurologiczne. Osobiście podejrzewał chorobę psychiczną spowodowaną długotrwałym nadużywaniem alkoholu, ale było to zapewne inne schorzenie. Podłoże mogło być jednak takie samo, gdyż lata nadużywania trunków nie mogły pozostać bez śladu, ale szwankowało ciało, a nie psychika.

„Myśli mam tak zmącone – pisał kilka miesięcy później – że pisać mi trudno, a myśli się łamią jak zapałki lub słoma. Nie mogę spamiętać najprostszych nazw miejscowości, nazwisk ludzi oraz prostych wypadków z mojego życia".

Do tego dochodziła depresja spowodowana bezczynnością i skarżył się, że zabija go „jakaś psychiczna choroba wynikła z wszystkich przejść i poczucia, że na terenie tutejszym pracy znaleźć nie mogę i nie potrafię". On, wielbiciel życia, zaczął myśleć o samobójstwie.

Zdrajca Komendanta?

Pomimo tego, że zdarzały mu się okresy lepszej formy i nastroju, wciąż nie angażował się w życie polityczne miejscowej Polonii. Wprawdzie pokazywał się publicznie w otoczeniu piłsudczyków, ale robił to bez większego przekonania. Dla niego najważniejsza była Polska, a dobrze wiedział, że wszelkie spory powiększają tylko zamęt. Gdy do Nowego Jorku przyjechali jego dawni przyjaciele: Wacław Jędrzejewicz, Ignacy Matuszewski i Henryk Floyar-Rajchman, przekonał się, że za największych wrogów uważali Sikorskiego i jego ekipę, a nie Niemców czy Sowietów. Zajadli piłsudczycy nie rozumieli, że czasy się zmieniły i były inne priorytety.

„Wieniawa formalnie był z nami – potwierdzał Jędrzejewicz – lecz czynnego udziału […] nie brał. Zapraszany na zebrania i uroczystości rocznicowe, organizowane przez Polonię, przemawiał raczej niechętnie. Towarzysko prawie się nie udzielał, na kieliszek wódki nie można było go namówić, żył raczej na uboczu".

W efekcie spotkało go to, co wielu innych. Ten, który chciał doprowadzić do zgody, spotkał się z zarzutami karierowiczostwa czy wręcz zdrady. Dla zwaśnionych emigrantów liczyło się tylko natychmiastowe załatwianie porachunków, co nie przeszkadzało żadnej stronie w deklarowaniu miłości do Polski.

Wreszcie wydało się, że nadeszły lepsze czasy, gdy Sikorski podczas swojej wizyty w USA wyraził ochotę na spotkanie z Wieniawą-Długoszowskim. Pośrednikiem był znajomy Wieniawy i lojalny podwładny premiera mjr Stefan Dobrowolski. Spotkanie odbyło się przy okazji lunchu w ambasadzie, a potem panowie przez godzinę rozmawiali w cztery oczy. „Podczas śniadania – wspominał Dobrowolski – panowała bardzo przyjazna atmosfera, a miny obu generałów po wyjściu z salonu, gdzie odbywali swoją prywatną rozmowę, świadczyły, że nastąpiło jakieś porozumienie. Jakie – nikt z nas nie wiedział".

Wieniawa otrzymał nominację na posła RP na Kubie (na wyspie nie było ambasady). Niektórzy po latach uważają pomysł Sikorskiego za drwinę, za „ciepłą posadkę" dla dawnego adiutanta Piłsudskiego, inni natomiast podkreślają, że podczas wojny w Hawanie krzyżowały się działania różnych wywiadów. Rolę stolicy Kuby można było porównać do Stambułu, Lizbony czy Genewy, a poza tym funkcja zapewniała stabilizację finansową rodzinie Długoszowskich.

Kamienica w Nowym Jorku, ostatnie mieszkanie Wieniawy-Długoszowskiego

FOT. DAYTONINMANHATTAN.BLOGSPOT.COM

Wieniawa rozpoczął przygotowania do wyjazdu i wówczas ostatni raz widział go mjr Dobrowolski. Wieniawa pokazał mu bilety na Kubę i sprawiał wrażenie człowieka w dobrym nastroju. Dwa dni później już nie żył.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski popełnił samobójstwo 1 lipca 1942 r., wyskakując z balkonu domu przy

eprasa.pl 4f09b4a2df

Riverside Drive w Nowym Jorku. Znaleziono przy nim list pożegnalny: „Nie czuję się w tych warunkach na siłach reprezentować Rządu, gdyż miast pożytku mógłbym zaszkodzić sprawie. Zdaję sobie sprawę, że popełniłem zbrodnię wobec żony i córki, zostawiając je na pastwę losu i obojętnych ludzi. Proszę Boga o opiekę nad nimi".

I jeszcze dopisek ołówkiem: „Boże zbaw Polskę" podpisany „B". Ostatnie chwile generała widział miejscowy taksówkarz, opisywał, że mężczyzna w piżamie bez większych wahań rzucił się w dół z piątego piętra.

Samobójstwo wzbudziło wielkie kontrowersje, gdyż pomimo problemów bytowych i zdrowotnych Długoszowski nie był typem samobójcy. A już zupełnie nie pasowała do niego śmierć w piżamie, człowiek tak kochający elegancję, oficer kawalerii i ambasador nie mógł skoczyć z balkonu w niedbałym stroju nocnym. Raczej postąpiłby jak Walery Sławek, który wybierając się w ostatnią podróż, założył strój wizytowy. Do tego list znaleziony przy zwłokach napisano częściowo ołówkiem, a częściowo piórem. Czy samobójca pisuje listy pożegnalne na raty? Co właściwie wydarzyło się tego dnia? Samobójstwo, wypadek czy morderstwo?

Spowiedź piłsudczyka

Zapewne nigdy tego nie ustalimy, ale niezwykle ciekawe informacje podał Marian Romeyko. Były podwładny Wieniawy z Rzymu trzy lata później rozmawiał z Floyar-Rajchmanem (panowie dobrze się znali). Wprawdzie Romeyko nie zawsze uchodził za wiarygodnego informatora, ale jego relacja sprawia wrażenie bardzo prawdopodobnej.

Floyar-Rajchman potwierdził w rozmowie z Romeyką samobójczą śmierć Długoszowskiego („na trzeźwo"). Stwierdził jednak, że „ten człowiek musiał zejść z tego świata… dobrowolnie… świadomie… po tym, co uczynił". Albowiem zdradził Piłsudskiego i jego ideały.

„On, Wieniawa, człowiek najbliższy Komendantowi, ten jego ukochany »Bolek«, jego powiernik, zdradził swojego Wodza! Porozumiał się, pogodził się z największym wrogiem Komendanta…

Józef Piłsudski i Bolesław Wieniawa-Długoszowski w latach służby w Legionach FOT. NAC

Może największym, jakiego kiedykolwiek miał Piłsudski. Wieniawa sam to zrozumiał, zrozumiał dobrze… Szkoda, że za późno, bo musiał zrozumieć, że za to musi zapłacić. Tak, zapłacić! Zapłacić swym życiem! Wykupić się z tej hańby!".

Według Romeyki wyznania Floyar-Rajchmana miały charakter niemal spowiedzi, jakby major chciał zrzucić ciężar przytłaczający go od lat. I faktycznie miało go co przytłaczać. „Przyjechał [Wieniawa do USA – przyp. S.K.] prawie na ukończeniu swych oszczędności. Trudno, trzeba pracować i to pracować fizycznie… Zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie dla Wieniawy, że to go zabije przede wszystkim moralnie… Postaraliśmy się dla niego o odczyty w kołach dawnej emigracji o zabarwieniu legionowym, założonych przez Dreszera podczas jego pobytu w Ameryce".

Podobno Wieniawa-Długoszowski nie przypominał już beztroskiego ułana i wykłócał się o „honoraria za odczyty, o diety, o pokrycie kosztów". Z drugiej jednak strony mjr Dobrowolski, który w tym okresie regularnie widywał się z Wieniawą, nie potwierdził relacji Floyar-Rajchmana. Według niego Bolesław nigdy nie poruszał spraw finansowych i „nie szukał w ogóle żadnych łask, nie uginał się, nie pragnął płatnych stanowisk".

Największą zbrodnią dla piłsudczyków był jednak fakt, że Wieniawa spotkał się z Sikorskim „potajemnie, za ich plecami", by „prosić o posadę" i „powrócić do łask, do pieniędzy, do wygód, do dobrobytu". Rzekomo miał wiedzieć, że w ten sposób „podpisywał co najmniej moralny wyrok śmierci na siebie samego". Ale podobno miał tylko pieniądze na głowie.

A może sprawiał wrażenie człowieka, który chciał zadbać o przyszłość finansową rodziny? Być może faktycznie nie miał wątpliwości co do swojego losu, „rozumiał, że musi, musi ponieść konsekwencje". Floyar-Rajchman miał zresztą wrażenie, że Długoszowski „był na to przygotowany". Pokazał też Romeyce fotokopię dwóch stron listu Wieniawy i ten bez problemu zidentyfikował pismo Długoszowskiego. Bez wątpienia słynny ułan żegnał się z życiem, była to decyzja stanowcza i nieodwołalna. Ale największe wrażenie zrobił na nim dopisek skierowany bezpośrednio do Floyar-Rajchmana: „[…] wiem, jak potrafisz być okrutnym! Błagam Cię, nie mścij się, po mojej śmierci, na Bronce i Zuzi".

Romeyko ogłosił swoje rewelacje pod koniec lat 50., kilka lat po śmierci Floyar-Rajchmana i Matuszewskiego. Spotkał się z ostrą polemiką Jędrzejewicza zarzucającego mu konfabulację i przeinaczanie faktów. Romeyko oczywiście replikował, ale prawdy zapewne nigdy się nie dowiemy.

Pytania bez odpowiedzi

Bronisława Długoszowska, znając stan psychiczny męża, ukryła przed nim pistolet, zresztą nie miała wątpliwości na temat przyczyn desperackiego kroku. „Był w bardzo złej formie nerwowej – zwierzała się siostrzenicy Wieniawy – bardzo ciężko znosił wszystkie wiadomości z Polski, był bardzo osamotniony, nie chciał życia […], chciał zginąć »na polu chwały«. […] Mówił, że taktyka, którą oni obrali – Rajchman i Matuszewski – jest niesłychanie prymitywna. Ci ludzie nigdy nie darowali mu jego istotnej wyższości, bezinteresowności i tego, że nie pozwolił używać swojej osoby biernie do wygrywania jednej osoby politycznej przeciw

eprasa.pl 4f09b4a2df

innej w związku ze źle pomyślaną robotą polityczną".

Według niepotwierdzonej, ale dość prawdopodobnej relacji 30 czerwca Wieniawę odwiedziła wspomniana trójka piłsudczyków. Odbyli z nim „długą i burzliwą rozmowę", zarzucając mu zdradę Komendanta. Nie zwracali uwagi, że wierność zmarłemu wodzowi miała podczas wojny mniejsze znaczenie niż obowiązek służby ojczyźnie. Być może właśnie po ich wyjściu Długoszowski napisał list do Rajchmana, prosząc o względy dla żony i córki. Niewykluczone też, że rano pojawił się jeszcze Matuszewski i dopilnował, by Wieniawa popełnił samobójstwo

W takim wypadku musiał obecny być przy rozmowie telefonicznej z ambasadorem Sylwinem Strakaczem w sprawie samochodu dla placówki w Hawanie. Być może też ponaglał Długoszowskiego do samobójczego skoku, wiedząc, że rewolwer Wieniawy wcześniej schowała żona. To może też wyjaśnić, dlaczego były ambasador był w piżamie, gdyż po prostu nie pozwolono mu się przebrać. Zapewne wówczas też dokończył ołówkiem wcześniej przygotowany list pożegnalny. Według relacji przypadkowego taksówkarza Długoszowski wyszedł na taras pięciopiętrowego domu, w którym wynajmował mieszkanie, ukląkł na chwilę, jakby się modlił, po czym skoczył w dół.

Nie wiadomo, jakich argumentów użyto dzień wcześniej podczas swoistego „sądu kapturowego". Czy tylko presji psychicznej na chorego i zmęczonego człowieka? Czy też padły groźniejsze argumenty, co może sugerować dopisek Wieniawy o żonie i córce? Cała czwórka zabrała jednak tę tajemnicę ze sobą do grobu.

Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego pochowano w Nowym Jorku, a w 1990 r. jego szczątki uroczyście przeniesiono na cmentarz Rakowicki w Krakowie. Trzy lata później na Powązki Wojskowe trafiło ciało Jędrzejewicza, który przeżył równe 100 lat (!) i doczekał się upadku komunizmu w Polsce. Natomiast w grudniu 2016 r. do kraju powróciły prochy Matuszewskiego i Floyar-Rajchmana. Podczas oficjalnego pogrzebu podnoszono zasługi zmarłych, z ocaleniem polskiego złota we wrześniu 1939 r. na czele. Podkreślano też ich miłość do ojczyzny, wierność ideałom Piłsudskiego i bezwzględnie wrogi stosunek do komunizmu. Nikt jednak nie wspomniał, że razem z Jędrzejewiczem mieli na sumieniu także zaszczucie na śmierć pierwszego ułana Rzeczypospolitej…

Wieniawa, herb Długoszowskich FOT. WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W. Dworzyński, „Wieniawa poeta – żołnierz – dyplomata, Warszawa 1993; W. Grochowalski, „Ku chwale Wieniawy", Łódź 2001; M. Majchrowski, „Ulubieniec Cezara. Bolesław Wieniawa-Długoszowski", Wrocław 1990; A. Piłsudska, „Wspomnienia", Łomianki 2004; R. Romański, „Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Polityk czy lew salonowy?, Warszawa 2011; M. Romeyko, „Wspomnienia o Wieniawie i o rzymskich czasach", Warszawa 1990; M. Urbanek, „Wieniawa – szwoleżer na pegazie", Wrocław 2008; P. Wieczorkiewicz, „Bohaterowie, renegaci, zdrajcy…", Łomianki 2015; T. Wittlin, „Szabla i koń. Gawęda o Wieniawie", Warszawa 2003.

REKLAMA

eprasa.pl 4f09b4a2df

Świadek / Z Davidem Krajickiem, autorem książki o głośnej zbrodni sprzed 52 lat

Ciało Sharon Tate opuszcza dom, w którym została zamordowana

FOT. GLOBE PHOTOS/ZUMA PRESS/FORUM

rozmawia Piotr Włoczyk

Makabra przy Cielo Drive

Bestialskie morderstwo Sharon Tate i jej przyjaciół wstrząsnęło USA. Amerykańskie społeczeństwo z przerażeniem przyglądało się procesowi sekty Charlesa Mansona

PIOTR WŁOCZYK: W jakim celu Charles Manson wysłał 9 sierpnia 1969 r. swoich wyznawców do rezydencji przy 10050 Cielo Drive w Los Angeles? Dlaczego ciężarna żona Romana Polańskiego zginęła w tak makabrycznych okolicznościach?

DAVID J. KRAJICEK: To był wyjątkowo nieszczęśliwy dla niej – i dla jej przyjaciół – splot okoliczności. Manson odwiedził tę wspaniałą rezydencję kilka miesięcy wcześniej. To było, jeszcze zanim wynajął ją Roman Polański. Wcześniej mieszkał tam Terry Melcher, producent muzyczny, z którym Manson wiązał wielkie nadzieje. Wierzył, że dzięki niemu oraz znajomości z Beach Boysami uda mu się przebić w show-biznesie. Gdy jednak podszedł pod drzwi rezydencji, w której właśnie odbywała się impreza, ochrona kazała mu wracać, skąd przyszedł. Manson potrzebował pieniędzy na utrzymanie grupy swoich zwolenników i wiedział, że przy 10050 Cielo Drive żyją bardzo bogaci ludzie. Dzięki temu napadowi „rodzina Mansona" miała zyskać fundusze na życie.

W planach Mansona to miał być tylko napad?

Ciężko powiedzieć, co dokładnie planował ten psychopata. W czasie śledztwa ustalono, że przed wysłaniem swoich ludzi do willi Polańskiego Manson kazał Charlesowi „Texowi" Watsonowi, który dowodził bandą zabójców, zachowywać się jak najbrutalniej.

Jego wyznawcy bez wątpienia wzięli sobie to „przykazanie" do serca. Sharon Tate, żona Romana Polańskiego, która była w dziewiątym miesiącu ciąży, została dźgnięta 16 razy. Z kolei na ciele Wojciecha Frykowskiego, przyjaciela Polańskiego, koroner doliczył się aż 51 ran kłutych...

To byli opętani, chorzy ludzie, tak samo jak ich guru Charles Manson. Ten człowiek stworzył wokół siebie kult i to nie jest przesadzone słowo. Jego zwolennicy byli w stanie zrobić dla niego absolutnie wszystko.

Dzień później doszło w Los Angeles do mordu na małżeństwie Leno i Rosmary LaBianca.

eprasa.pl 4f09b4a2df

Sunday Mirror

TEDDY: STILL THE HARSH QUESTIONS PAGE THREE

RITUAL MURDER

Sharon Tate in Hollywood mass killing

Manson również tym razem nie brał bezpośrednio udziału w zbrodni. Wybrał dom, kazał swoim ludziom dokonać mordu, ale sam uciekł z miejsca zdarzenia i jego mordercy ze zdziwieniem zorientowali się po wszystkim, że nie mają jak dostać się do swojej bazy. Musieli zakrwawieni wracać na piechotę. To chyba najlepiej pokazuje, jak „dobrze" zaplanowane były te zbrodnie.

Jak wyglądała reakcja Amerykanów na doniesienia o tych dwóch zbrodniach, w których w sumie zamordowano siedem osób?

Cały kraj był wstrząśnięty. Zapanowała psychoza, szczególnie w Los Angeles. Ludzie zamykali się w domach. Spekulacjom na temat przyczyn i sprawców nie było końca.

Kto był najczęściej wskazywany jako potencjalny sprawca?

Policja początkowo badała trop prowadzący do Czarnych Panter.

To dlatego ludzie Mansona napisali – krwią Sharon Tate – na drzwiach do rezydencji słowo „Pig"?

Tak. Wiadomo było, że w środowisku Czarnych Panter w ten sposób mówi się o policji. Manson chciał w ten sposób zrzucić winę na czarnych.

Dochodzimy tu do kluczowego pojęcia w chorej ideologii Mansona. „Helter Skelter" to jeden z hitów Beattelsów. A czym było „Helter Skelter" według Charlesa Mansona?

Ostrzeżmy naszych czytelników – wchodzimy teraz do ciemnego, szalonego umysłu Mansona. Ciężko racjonalnie to wytłumaczyć, bo niewiele w tym było sensu. Manson stworzył swój własny fantastyczny świat. Przekonał swoich zwolenników, że za chwilę w USA wybuchnie wielka wojna rasowa. Wraz z grupą swoich ludzi miał ją przeczekać w podziemnej kryjówce w Dolinie Śmierci. Po tym apokaliptycznym konflikcie Charles Manson miał zostać... nowym przywódcą USA. Najważniejsze jednak dla niego było to, że miał się stać głównym rozpłodnikiem nowej cywilizacji. Tak z grubsza wyglądał jego plan na życie

Czy on w to naprawdę wierzył?

Nie da się na to odpowiedzieć jednoznacznie, ale wiele przemawia za tym, że Manson faktycznie był do tego przekonany. W pewnym momencie nawet najlepsi manipulatorzy zaczynają wierzyć w swoje niestworzone opowieści.

W jaki sposób „rodzina Mansona" wpadła w ręce policji?

Tak jak wiele innych rzeczy w tej historii również to był kompletny przypadek. Przez kilka miesięcy policja była bezradna, choć społeczeństwo domagało się jak najszybszego ujęcia sprawców. Wydawało się, że ta sprawa zostanie nierozwiązana. Na szczęście kilka miesięcy później Susan Atkins, jedna z morderczyń z domu Polańskiego, została aresztowana pod zarzutem kradzieży. W areszcie wygadała się przed koleżankami z celi, że to sekta Mansona odpowiada za te okrutne mordy. Informacja ta dotarła do policji i w ten sposób zabójcy Mansona oraz on sam trafili za kratki.

To nie był zwykły proces...

Jeżeli miałbym to do czegoś porównać, to – jeżeli chodzi o rozgłos – przychodzi mi do głowy jedynie proces O.J. Simpsona.

Manson i jego ludzie zrobili wiele, by zamienić salę sądową w cyrk.

On sam wyciął sobie X na czole, co szybko podchwyciła reszta oskarżonych. Ich zachowanie w sądzie szokowało – śpiewy, krzyki, oskarżanie społeczeństwa o to, że ono samo stworzyło potwora Mansona. Całości obrazu dopełniał tłum zwolenników tego psychopaty, który gromadził się pod sądem i wielbił swojego mistrza. Trudno się dziwić, że miliony Amerykanów kręciły przed telewizorami głowami i z niepokojem mówiły o „terrorze hippisów".

Ta banda zwyrodnialców mogła usłyszeć tylko jeden wyrok – śmierć. A jednak, na skutek przejściowych zawirowań proceduralnych w Kalifornii wokół kary głównej, wszystkim skazanym członkom sekty Mansona zamieniono wyroki śmierci na dożywocie...

Gdyby ten proces odbył się kilka lat wcześniej, bez wątpienia wszyscy oni zostaliby dosyć szybko poddani egzekucji. Trzeba przyznać, że ta banda miała pod tym względem iście diabelskie szczęście. Dzięki decyzji sądu ludzie Mansona – i przede wszystkim on sam – mogli przez wiele dekad rozbudzać zza krat chorą fascynację swoim pokracznym światem zbrodni.

Jak to się w ogóle stało, że Manson, opowiadający tak niestworzone rzeczy, zdołał zbudować wokół siebie tak oddane grono wyznawców? Słynny kalifornijski prokurator Vincent Bugliosi stwierdził, że Manson wytwarzał wokół siebie niezwykłą „aurę". Co to oznacza?

Manson od wczesnych lat nastoletnich aż do trzydziestki niemal cały czas żył za kratkami – albo przetrzymywano go w zakładach poprawczych, albo w więzieniach. Nie był oczytany, ale był bardzo inteligentny. Wątpię, by na zimno planował zbudowanie sekty. Mam wrażenie, że wszystko potoczyło się bardzo spontanicznie. Manson wyszedł na wolność w 1967 r., w momencie, gdy do Kalifornii zjeżdżała z całego kraju rzesza zbuntowanej, często zagubionej młodzieży. To była idealna sytuacja dla tak uzdolnionego manipulatora. Manson polował na młode, samotne dziewczyny, dla których błyskawicznie stawał się oparciem, obiektem fascynacji, a w końcu niekwestionowanym idolem czy wręcz guru.

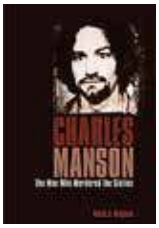

DAVID J. KRAJICEK
„CHARLES MANSON. THE MAN WHO MURDERED THE SIXTIES"
ARCTURUS PUBLISH

eprasa.pl 4f09b4a2df

Charles Manson w sądzie

FOT. HAROLD FILAN/AP/EAST NEWS, LIBRARY OF CONGRESS (L)

Manson używał wszystkich technik, które pozwalają przywódcom sekt budować hermetyczną społeczność, w której nie ma miejsca na sprzeciw. Widać, że dokładnie podążał za wytycznymi opracowanymi przez Sun Moona, przywódcę Kościoła Zjednoczeniowego. Rekrutował osoby zagubione życiowo, uzależniał je od siebie mentalnie i finansowo, odcinał od rodziny. Następnie kazał najbardziej oddanym zwolennikom kontynuować rekrutację. Manson prał im mózgi niezwykle profesjonalnie. Był nieprawdopodobnie pewny siebie. Często się zapomina, że świetnie śpiewał i grał. Działał jak rasowy zaklinacz węży. Dziewczyny z jego sekty wspominały, że doprowadzał je swoim śpiewem i grą wprost do ekstazy, czemu na pewno pomagały narkotyki. Jego nagrania można odsłuchać na YouTube. Manson faktycznie miał talent muzyczny. Wspominana już Susan Atkins opowiadała w jednym z wywiadów, że jego muzyka wprawiała ją w swego rodzaju trans. Pewnego razu tak ją pochłonęła, że ocknęła się dopiero wtedy, gdy zorientowała się, że zaczęła całować jego stopy... Kolejnym wabikiem, którego z wielką przyjemnością używał, była jego kryminalna przeszłość.

O hybristofilii wspomina pan w swojej książce. Tego się nie da wytłumaczyć racjonalnie.

Tak, to się wymyka rozumowi. Hybristofilia to po prostu pociąg do kryminalistów, osób niebezpiecznych, który odczuwa część kobiet. Lynette Fromme, ulubiona wyznawczyni Mansona, tłumaczyła, że jedną z „najwspanialszych" rzeczy, jakich doświadczyła w czasie wspólnego życia ze swoim mistrzem, były nieustanne zapewnienia o tym, że jest piękna, wspaniała, cudowna. Manson mówił tak wszystkim dokoła.

Niewykluczone, że ta zagubiona młodzież nigdy nie słyszała podobnych słów w rodzinnych domach.

To bardzo prawdopodobne. Jego wyznawcy wywodzili się w większości z rozbitych rodzin i nigdy nie zaznali normalnych relacji. Manson dawał im poczucie bezpieczeństwa, potrafił ich dowartościować, choć robił to oczywiście w skrajnie cyniczny sposób.

Historia zbrodniczej działalności „rodziny Mansona" nie kończy się jednak na 1969 r. Gdy sześć lat później Gerald Ford odwiedził Kalifornię, wspomniana już przez pana Lynette Fromme stanęła metr od amerykańskiego prezydenta. Co uratowało Forda?

Szybka reakcja agentów Secret Service. Fromme nie zdążyła wystrzelić. Ta kobieta mogła wyjść z więzienia dużo wcześniej niż w 2009 r., ale nie była w stanie przyznać przed komisją, że próba zabójstwa Forda była błędem. Ta nieszczęsna ofiara Mansona po dziś dzień jest oddaną wyznawczynią swojego guru. Fromme chciała zabić dla niego prezydenta USA, ale na szczęście agenci Secret Service byli tego dnia w doskonałej formie.

Tytuł pańskiej książki brzmi: „Charles Manson: Człowiek, który zamordował lata sześćdziesiąte". Co powinniśmy przez to rozumieć?

Ta dekada może się nam wydawać z perspektywy półwiecza wspaniałym, szczęśliwym czasem w historii Ameryki. Dzieci kwiaty, długie włosy, relaks z marihuaną i ogólne poczucie harmonii i wzajemnego zrozumienia. Tymczasem była to bardzo brutalna dekada, pełna przemocy. W USA dochodziło do ogromnych zamieszek na tle rasowym, mieliśmy spektakularne mordy polityczne, Ameryka wykrwawiała się w Wietnamie. Zabójstwa sekty Mansona były okrutnymi „wykrzyknikami", które zakończyły tę ponurą dekadę.

W 2014 r. Manson miał się ożenić, dostał nawet od władz więziennych pozwolenie na ślub, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. 80-letni wówczas psychopata postanowił zerwać ze swoją 26-letnią narzeczoną, gdy zorientował się, że ta chce go wykorzystać – po jego śmierci niedoszła pani Manson chciała ponoć zarabiać na czymś w rodzaju mauzoleum z jego szczątkami...

To dopiero paradoks! Charles Manson wykorzystany przez młodą kobietę... To się nie mogło zdarzyć, więc od razu, jak tylko przekonał się o jej zamiarach, zerwał z nią kontakt. Jedno nie ulega wątpliwości: jego narzeczona potrzebuje specjalistycznej opieki psychiatrycznej, tak samo jak reszta jego fanów.

Manson wielokrotnie ogłaszał, że jest nieśmiertelny, a nawet twierdził, że jest bogiem. W 2017 r. jego wyznawcy musieli przeżyć szok, gdy okazało się, że ich mistrz zmarł w więziennym szpitalu w Kalifornii.

Czy to jednak oznacza, że rzeczywiście zniknął z historii? Ludzie wciąż chcą o nim rozmawiać, wiele osób zdradza objawy bardzo niepokojącej fascynacji tym potworem. Jedno jest pewne – Manson chciał być słynny i bez wątpienia to osiągnął. Obawiam się, że fascynacja, którą wywoływał przez tyle dekad, bardzo źle świadczy o naszym społeczeństwie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

David J. Krajicek jest amerykańskim dziennikarzem zajmującym się tematyką przestępczości w USA. W 2019 r. ukazała się jego książka „Charles Manson: Człowiek, który zamordował lata sześćdziesiąte" (tytuł oryginalny: „Charles Manson: The Man Who Murdered the Sixties").

eprasa.pl 4f09b4a2df

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA „ZBRODNIA I GRABIEŻ. JAK NIEMCY TUSZUJĄ PRAWDĘ O SOBIE"

W. POLAK, S. GALIJ-SKARBIŃSKA

DRAMATYCZNA PANORAMA TRUDNYCH RELACJI POLSKO-NIEMIECKICH PO 1939 R.

Książka opowiada o ludobójstwie dokonanym przez III Rzeszę, kiedy Niemcy podczas II wojny światowej dokonali nieprawdopodobnych zbrodni wobec Polaków: wymordowali ponad 5 milionów 200 tysięcy naszych obywateli, wywozili masowo naszych rodziców i dziadków na roboty przymusowe w głąb Rzeszy, terroryzowali i poniżali Polaków, więzili ich i torturowali w obozach koncentracyjnych i gestapowskich oraz policyjnych kazamatach, zniszczyli setki polskich miast i tysiące wsi, zrabowali nasze skarby narodowe, dzieła sztuki, aktywa bankowe, zakłady przemysłowe, wywieźli do Rzeszy w celu zniemczenia 200 tysięcy polskich dzieci, celowo spalili wiele polskich zabytków, skarbów kultury, największe archiwa i biblioteki.

Te zbrodnie nigdy nie zostały odpowiednio ukarane. O owym braku kary i sprawiedliwości również opowiada ta książka, a ponadto opisane są dzisiejsze relacje polsko-niemieckie. Są one złe i to wyłącznie z winy naszego sąsiada zza Odry. W ostatnich dziesięcioleciach polityka Republiki Federalnej Niemiec wobec wolnej już Polski była bowiem bezwzględna i cyniczna.

101 zł

oszczędność 90 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 4f09b4a2df

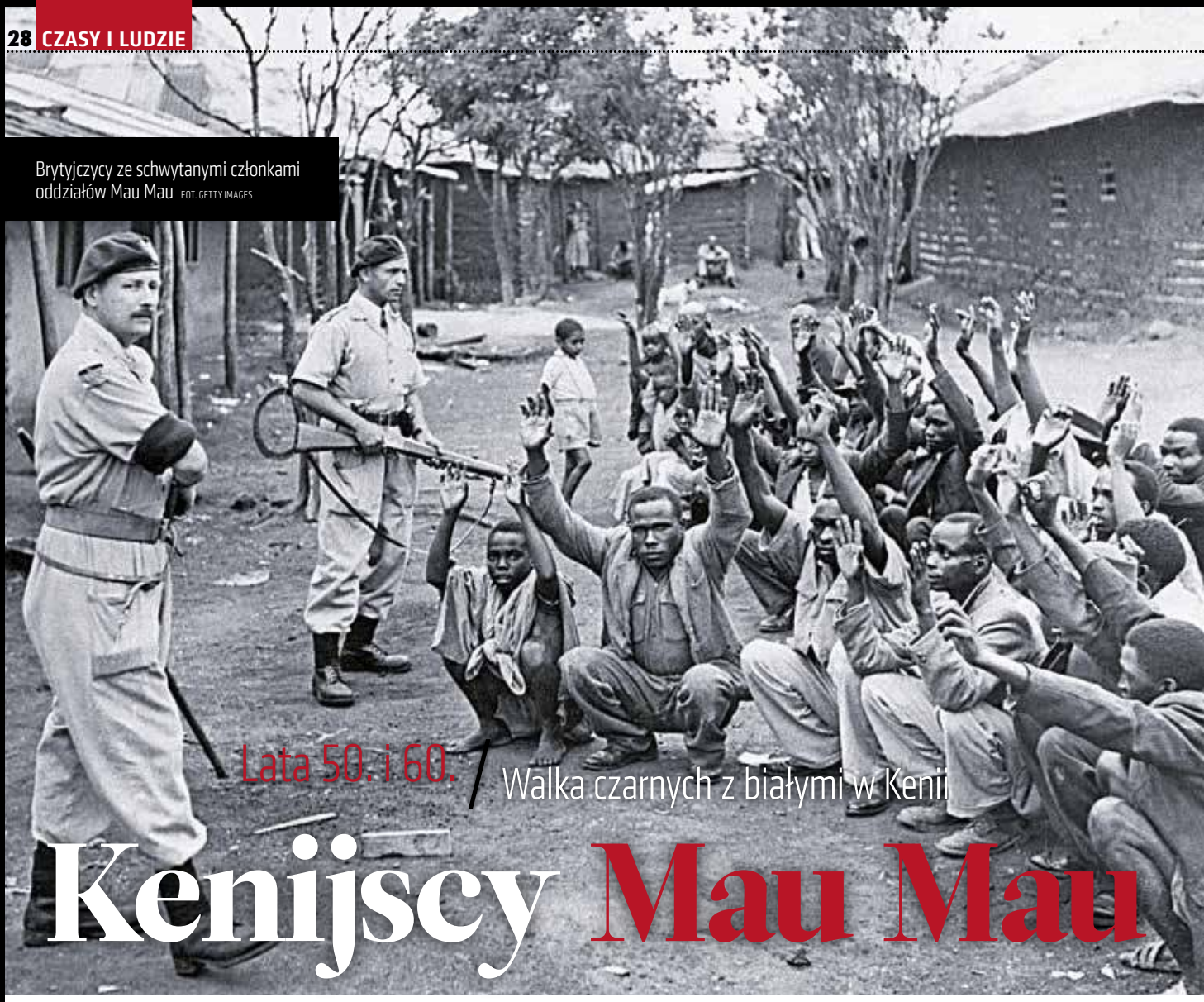

Brytyjczycy ze schwytanymi członkami oddziałów Mau Mau FOT. GETTY IMAGES

Lata 50. i 60. / Walka czarnych z białymi w Kenii

Kenijscy Mau Mau

Arkadiusz Karbowiak

/ 28 października 1952 r. rebelianci zabili pierwszego białego farmera. Jego ciało wypatroszono

W finale drugiej wojny światowej Wielka Brytania znalazła się w gronie zwycięskich mocarstw. Jednak jej faktyczna pozycja zarówno podczas wojny, jak i po jej zakończeniu, z powodu kryzysu gospodarczego oraz zadłużenia państwa, była bardzo słaba. Elementem pogłębiającym ten stan po 1945 r. był rozpad brytyjskiego imperium kolonialnego. Dekolonizacyjne trendy znajdowały coraz większe poparcie nie tylko wśród Azjatów, lecz także Afrykanie otwarcie zaczęli głosić hasła wyzwolenia spod brytyjskiej dominacji. Nie wszędzie przekazywanie władzy i likwidacja systemu kolonialnego odbywały się w sposób ewolucyjny. W niektórych koloniach – zanim to nastąpiło – doszło do zbrojnej konfrontacji. Jednym z krajów, w których wybuchła antykolonialna rewolta, była Kenia.

Na terytorium Protektoratu Brytyjskiej Afryki Wschodniej na początku XX w. (od roku 1920 Kenia była kolonią) zaczęły przybywać fale białych osadników. Władze brytyjskie po zakończeniu pierwszej wojny, wspierając ten proces, wydzieliły tzw. białe wzgórza, które miały być przeznaczone wyłącznie pod osadnictwo Europejczyków. Ta polityka postrzegana była krytycznie przez wypieranych ze swych siedzib członków plemienia Kikuju. Wystąpiło wśród nich zjawisko głodu ziemi. Kikuju zmuszeni zostali do wegetowania w skrajnym ubóstwie na nieurodzajnych terenach, położonych w obrębie rezerwatów. Alternatywą było podjęcie pracy najemnej na białych farmach. Niewiele zmienił odpływ części ludności do rozbudowujących się miast. Niskie zarobki osób tam pracujących uniemożliwiały normalne

eprasa.pl 4f09b4a2df

funkcjonowanie. Dodatkowo frustrację powodowały nierówności płacowe pomiędzy czarnymi a białymi.

Do walki o prawa pracownicze czarnej społeczności włączyły się organizacje w rodzaju Wschodnioafrykańskiego Kongresu Związków Zawodowych (East African Trade Union Congres), organizując protesty, demonstracje, strajki, m.in. w Nairobi w 1947 r. i Mombasie w 1949 r. Kwestia obrony praw czarnych mieszkańców kolonii stała się powodem podziałów, które zaistniały w łonie zasadniczo umiarkowanej Kenijskiej Unii Afrykańskiej (Kenian African Union, KAU). Przewodniczącym organizacji wybrany został w 1947 r. afrykański polityk Jomo Kenyatta. Rewolucjoniści z tej partii kontestowali brak zainteresowania kierownictwa organizacji radykalnymi formami walki o prawa robotników, którą postrzegali jako wstępny etap walki o niepodległość. Aby do niej przystąpić, utworzyli konspiracyjną strukturę nazywaną Armią Wyzwoleńczą Ziemi Kenijskiej albo Armią Ziemi i Wolności.

Potocznie nazywano ją Mau Mau. Nazwa pochodziła najprawdopodobniej w języku Kikuju od słowa „muma", czyli przysięga. Jest to o tyle prawdopodobne, że przysięga stała ważną kwestią dla wkraczających w arkana tajnej działalności nowo przyjętych członków organizacji. Składający ją deklarowali zgodę na likwidację wskazanych przez organizację osób, nawet najbliższych krewnych. Ponadto zobowiązywali się do strzeżenia tajemnic organizacyjnych i niewydawania w ręce rządu żadnego z członków ruchu oraz niesprzedawania ziemi białym osadnikom. Program polityczny Mau Mau obejmował postulaty odzyskania przejętej ziemi oraz usunięcia wszystkich białych kolonistów i dokonania całkowitej dechrystianizacji Kenii. Hasłem, jakim się posługiwano, było: „Afryka dla Afrykanów".

Walka zbrojna miała być metodą, dzięki której zamierzano osiągnąć wyznaczone cele. Nad jej rozpoczęciem rozmyślał już w 1950 r. jeden z przywódców Mau Mau – Frederic Kubai. Władze kolonialne, dostrzegając radykalizację postaw niektórych działaczy KAU, wezwały Kenyattę do publicznego potępienia ich działalności. Lider KAU, będąc przeciwnikiem radykałów, uczynił zadość tym oczekiwaniom. Jego droga pokojowej walki o samostanowienie wyraźnie się rozchodziła z drogą prących do zbrojnej rebelii antykolonialnych irredentystów. Ci na początku 1952 r. powołali do życia tajną Radę Wojenną. Wybuch powstania wydawał się być nieunikniony.

Rzeź lojalistów Kikuju

9 października 1952 r. członkowie Mau Mau dokonali zabójstwa znanego lojalisty współpracującego z brytyjską administracją kolonialną, wodza Kikuju Waruhiu wa Kungu. Morderstwo miało miejsce tuż po tym, jak Waruhiu publicznie skrytykował organizację. W odpowiedzi na ten mord gubernator kolonii Evelyn Baring 20 października 1952 r.

RYS. JACEK GRAMBURG

za zgodą Londynu ogłosił w Kenii stan wyjątkowy. Na jego mocy wprowadzono cenzurę, ograniczono prawo swobody poruszania się, ustanowiono karę śmierci za posiadanie broni i amunicji oraz za nakłanianie do złożenia przysięgi Mau Mau.

W dniu wprowadzenia stanu wyjątkowego władze, chcąc zneutralizować kierownicze gremia organizacji, przeprowadziły operację „Jock Scott". Podczas niej zostało aresztowanych 187 osób. Wśród nich był niemający nic wspólnego z antykolonialnym podziemiem Jomo Kenyatta i pięciu jego zastępców. W gronie zatrzymanych byli także prawdziwi liderzy organizacji Mau Mau, tacy jak Frederic Kubai czy Bildad Kagia. Przywódcom KAU zorganizowano proces. Na rozprawie toczonej bez udziału ławy przysięgłych oskarżono ich o kierowanie organizacją terrorystyczną, co potwierdzili przekupieni i składających fałszywe zeznania świadkowie. Oskarżeni otrzymali wyroki siedmiu lat pozbawienia wolności. Umieszczono ich w więzieniu Lokitaunug. Paradoksalnie umiarkowany Kenyatta, aresztowany i skazany przez Brytyjczyków, stał się dla Kenijczyków żywą legendą, symbolizującą kenijskie dążenia niepodległościowe.

Aresztowanie przywódców Mau Mau, choć było celnie wymierzonym ciosem, nie zapobiegło rozwojowi ruchu powstańczego. Obawiając się represji, spora część Kikuju związana z organizacją uciekła do lasów na górze Kenia i masywie Aberdare, tworząc oddziały partyzanckie. W związku z brakiem centralnego ośrodka kierowniczego ich dowódcy, często prości i niewykształceni ludzie, cieszyli dużą estymą i szacunkiem. Do końca 1952 r. 75 proc. populacji Kikuju przystąpiło do Mau Mau. Odziały leśne inicjowały ataki zbrojne na posterunki policji, połączone niestety z odrażającymi mordami na cywilach.

28 października 1952 r. rebelianci zabili pierwszego białego farmera, Erica Bowkera. Jego ciało wypatroszono. Niedługo potem pocięty został pangami i zmarł w szpitalu kolejny osadnik Ian Meiklejohn. 24 stycznia 1953 r. bojownicy Mau Mau zamordowali sześcioletniego Michaela Rucka, dwoje jego rodziców oraz próbującego im pomóc robotnika rolnego Mathurę Nagahu. Okrutne zbrodnie na białych cywilach pozwoliły Brytyjczykom na wykreowanie obrazu rebeliantów jako krwiożerczych zabójców zafascynowanych udziałem w rzeziach niewinnych ludzi. Abstrahując od tego, że spora ich część de facto nimi była, warto zauważyć, iż w ciągu całego konfliktu powstańcy zamordowali zaledwie 32 Europejczyków i 26 Hindusów. Resztę ich ofiar stanowili czarni Afrykanie.

Ze szczególną determinacją partyzanci przystąpili do mordowania lojalistów. W Nairobi zamordowany został radny Tom Mboteli, wypowiadający się krytycznie na temat działalności Mau Mau. Uderzenia w lojalistów zapoczątkowały skierowaną przeciw nim krwawą kampanię terroru. Partyzanci wiedzieli, że posiadający często rozeznanie w lokalnym środowisku Kikuju stanowią dla nich poważne zagrożenie. Zabójstwami

eprasa.pl 4f09b4a2df

chciano zastraszyć „kolaborantów" i „przekonać" powiązanych z nimi członków plemienia, że nie opłaca się współpracować z władzami kolonialnymi. W czasie trwania powstania Mau Mau pozbawili życia 1819 lojalistycznie nastawionych Kikuju. Najbardziej makabrycznym mordem, który odbił się – ze względu na skalę – dużym echem, była masakra w Lari. Tego dnia związana z Mau Mau grupa kikujskich squatters pracujących w Dolinie Wielkiego Rowu spaliła żywcem miejscowego wodza wraz z ośmioma żonami i 18 dzieci. Poza nimi zabito pangami 60 innych osób. W odwecie lojalistyczni gwardziści i służący w policji biali osadnicy zlikwidowali ok. 400 Kikuju.

Obozy internowania

Zapoczątkowana przez Mau Mau kampania brutalnych mordów spotkała się z podobnie brutalną reakcją ze strony Brytyjczyków. Do walki z powstańcami rzucono oddziały wojskowe pod dowództwem gen. Williama Hindego. Miał on do swojej dyspozycji pięć batalionów Kenijskich Strzelców Afrykańskich (Kenyan African Rifles), w których służyli Afrykanie i Hindusi, oraz przeniesiony z Egiptu batalion Lancashire Fusiliers. Te jednostki były wspierane przez złożony z białych osadników Kenya Regiment oraz policyjne oddziały Kenya Police Reserve i lojalistyczną Gwardię Kikuju (Home Guard – Straż Obywatelska). Siły te rozpoczęły operacje antypartyzanckie.

Niewiele z nich wynikało. Generał Hinde nie potrafił wypracować spójnej koncepcji zwalczania rebelii, więc na stanowisku dowódcy wojsk brytyjskich w Afryce Wschodniej nastąpiła zmiana. Głównodowodzącym został gen. George Erskine (zastąpił go w 1955 r. gen. Gerald Lathbury). Początkowo kierowane przez niego akcje także nie przyniosły jakichś zasadniczych rozstrzygnięć. Wiosną 1954 r. władze zdecydowały się przeprowadzić w Nairobi operację „Anvil" (kowadło). Jej celem było usunięcie ze stolicy przebywających tam Kikuju, podejrzanych o wspieranie Mau Mau. 24 marca siły wojskowe otoczyły szczelnym kordonem miasto. Przez cały miesiąc policja metodycznie, dzielnica po dzielnicy, prowadziła poszukiwania, dokonując masowych zatrzymań. Do obozów internowania deportowano 24 tys. mężczyzn, a 11 tys. kobiet i dzieci wysłano do rezerwatu.

W obozach internowania uwięziono ok. 130 tys. osób, głównie z plemienia Kikuju, podejrzewanych o działalność terrorystyczną. Było kilka kategorii obozów. W większości panowały złe warunki sanitarne, głód, więźniów bito przy byle okazji i zmuszano do ciężkiej fizycznej pracy, zdarzały się też przypadki zabójstw. Śmierć w obozach zbierała obfite żniwo. O tym, do jakiej kategorii obozu trafiała dana osoba, decydowano podczas dochodzeń, które odbywały się w ośrodkach przesłuchań. Z zatrzymanych starano się wydobyć informacje przydatne do walki z ruchem Mau Mau. Każdego z nich „prześwietlano" w celu ujawnienia roli w strukturach Mau Mau. Podczas badań nagminnie stosowano tortury.

Wiedzę o metodach pracy śledczych w tych ośrodkach posiadały osoby pełniące najwyższe funkcje w kolonialnej administracji. Wskazuje na to list, który Eric Griffith-Jones – prokurator generalny brytyjskiej administracji w Kenii – wysłał do gubernatora Evelyna Baringa w czerwcu 1957 r., informując go o zmianach, które zaszły w sposobie traktowania więźniów podejrzanych o działalność w Mau Mau. Od tej pory wolno ich było bić tylko w górną część ciała, oszczędzając „wrażliwe organy, zwłaszcza śledzionę, wątrobę i nerki". Prokurator nadmieniał, że ważne jest, aby „ci, którzy stosują przemoc… pozostawali opanowani, zrównoważeni i beznamiętni".

Z kolei gen. Erskine pisał do sekretarza stanu w ministerstwie wojny w grudniu 1953 r.: „Nie ma żadnych wątpliwości, że w pierwszych dniach, tj. od października 1952 r., aż do czerwca bieżącego roku było wiele przypadków nieuzasadnionego użycia broni przez wojsko i policję. Jestem zupełnie pewien, że więźniów bito, aby uzyskać od nich informacje… Tortury były specjalnością wielu posterunków policji. Nie wydaje mi się, aby regularna policja często je stosowała, chociaż mogło się to zdarzać. Prawdziwym problem są kenijscy osadnicy w mundurach KPR albo pułku kenijskiego… Powinien pan wiedzieć o grupach prześwietlających. Pracują dla administracji, a ich zadaniem jest przeprowadzenie obław wśród siły roboczej, wyodrębnienie członków Mau Mau... i ich kwalifikowanie. Niektóry z tych grup prześwietlających stosowały tortury".

Tortury stosowano także wobec kobiet. Salome Maina, zatrzymana przez siły bezpieczeństwa jako podejrzana o przynależność do Mau Mau, została podczas przesłuchania pobita i zgwałcona przez lojalistę butelką wypełnioną pieprzem i wodą. W ośrodkach przesłuchań dochodziło także do morderstw. William Baldwin, Amerykanin z pochodzenia, służący w armii brytyjskiej, wspominał, że w czasie przesłuchania domniemanego partyzanta śledczy wyszedł, a gdy wrócił, jego pomocnik lojalista ze Straży Obywatelskiej zabił więźnia. W obozie Gathigiri afrykańscy śledczy pobili na śmierć więźnia Kabebe Macharia paskami z gumy wyciętymi z opon motocyklowych.

W 1954 r., aby uniemożliwić kontakty partyzantów z cywilną siatką, udzielającą im logistycznej pomocy, władze brytyjskie zdecydowały się deportować z obszarów objętych działalnością partyzantów 1 050 899

eprasa.pl 4f09b4a2df

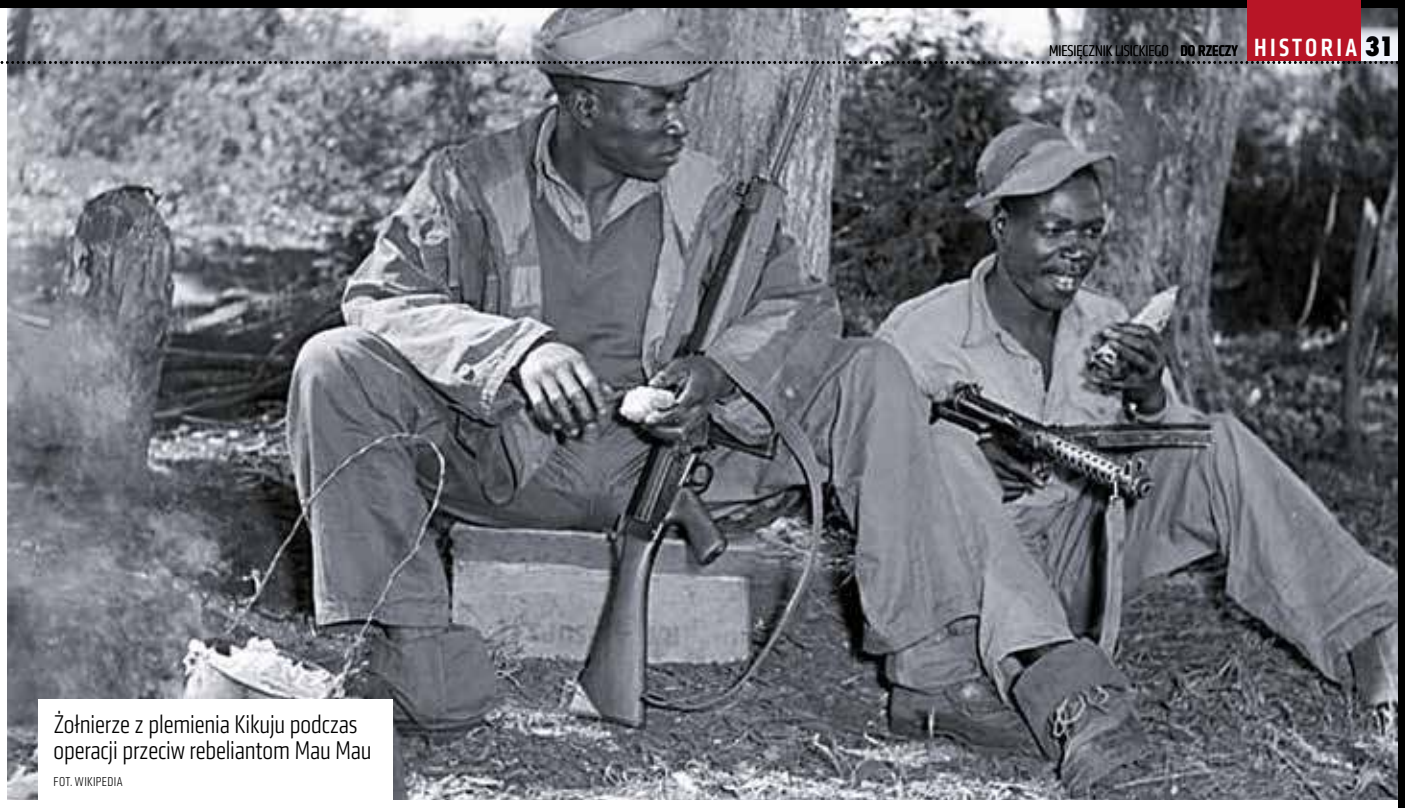

Żołnierze z plemienia Kikuju podczas operacji przeciw rebeliantom Mau Mau

FOT. WIKIPEDIA

Kikuju. Umieszczono ich w 854 wioskach, pilnowanych ściśle przez funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa. Po wysiedleniu ludności na prowincji ustanowiono specjalne strefy bezpieczeństwa. Oddziały wojskowe i policja miały tam prawo strzelać do każdego napotkanego Afrykańczyka. W styczniu 1955 r. Brytyjczycy przeprowadzili dwie duże operacje wojskowe – „Hammer" i „First Flute". W ich trakcie pojmano i zabito 400 osób. Sytuacja powstańców w tym okresie z miesiąca na miesiąc stawała się coraz trudniejsza. Odczuwalny stawał się brak broni i żywności. Odcięcie rebeliantów od naturalnego zaplecza, którym była ludność cywilna, zaczęło przynosić efekty.

13 stycznia 1954 r. podczas nieudanej akcji na posterunek policji w Mathira został postrzelony i ujęty przez wojsko brytyjskie Itote Waruhiu, znany jako „generał China", jeden ze znaczących dowódców partyzanckich Mau Mau. Podczas przesłuchania wyjawił on brytyjskim śledczym wiele tajemnic ruchu partyzanckiego, a w szczególności miejsc stacjonowania niektórych oddziałów. Przypadków ujmowania lub zabijania liderów Mau Mau było coraz więcej w związku z nowatorską taktyką zastosowaną przez gen. Erskine'a, polegającą na wprowadzeniu do walki z powstańcami oddziałów pozorowanych.

Pomysłodawcą tej koncepcji był kapitan wywiadu wojskowego Frank Kitson. Tworzone grupy składały się głównie z byłych partyzantów, którzy przeszli na stronę Brytyjczyków lub zostali złamani w śledztwie. Siały one spustoszenie w szeregach powstańców i przyczyniały się do pogłębienia stanu nieufności pomiędzy poszczególnymi dowódcami. „Pseudogangs" wykazywały się największą efektywnością, zabijając tygodniowo średnio 22 partyzantów. W październiku 1956 r. jedna z grup pozorowanych, pod kierownictwem oficera Wydziału Specjalnego policji Iana Hendersona, ujęła Dawida Kimiathiego, wybitnego dowódcę rebelianckiego (ujął go policjant plemienny Ndirangu Mau). Postawiono go potem przed sądem, skazano na śmierć i powieszono.

W 1956 r. kampania antykolonialna Mau Mau dobiegła końca. W lesie pozostało ok. 500 uzbrojonych, ale przejawiających niewielką aktywność partyzantów. W listopadzie 1959 r. przez media przetoczyła się dyskusja o brytyjskich obozach koncentracyjnych. Pretekstem do zainteresowania tą tematyką był wypadek, który wydarzył się w obozie dla internowanych Hola. Komendant obozu, chcąc złamać opór internowanych uchylających się od pracy, nakazał zmusić ich do tej czynności za pomocą przymusu fizycznego. W wyniku ciężkiego pobicia pałkami 11 więźniów zmarło, a 77 wymagało pomocy lekarskiej. Skandal, który wtedy wybuchł, doprowadził do zamknięcia obozu i rozpoczęcia likwidacji pozostałych ośrodków.

W 1960 r. zniesiono w Kenii stan wyjątkowy. Wojna z Mau Mau kosztowała życie 590 żołnierzy i policjantów, z których tylko 63 było białymi Brytyjczykami. Po stronie powstańców miało zginąć 13,5 tys. ludzi, choć według części historyków liczba ta wynosiła aż 20 tys., a według kenijskich 150 tys. Po stłumieniu rebelii o dalszym losie kolonii zadecydowali politycy. Londyn zdawał sobie sprawę z „wiatru zmian", jaki zaczął wiać na kontynencie afrykańskim. W 1961 r. Jomo Kenyatta został zwolniony z więzienia. Wielka Brytania w tym czasie, pomimo ostrych sprzeciwów białych kolonistów, przygotowywała się do przekazania władzy w ręce Kenijczyków.

Podczas negocjacji w Lancaster House w 1962 r. określono kalendarz dochodzenia do niepodległości. Ogłoszono go 12 grudnia 1963 r. Rok później Kenyatta został prezydentem Kenii (wcześniej pełnił funkcję premiera) i ogłosił amnestię dla tkwiących w podziemiu członków Mau Mau. Ten konserwatywny polityk od początku swych rządów wzywał Kenijczyków do pojednania, wybaczenia krzywd i darowania win. Miał świadomość, że wojna z Mau Mau nie była tylko wojną z brytyjskimi kolonizatorami, lecz także, a może przede wszystkim, wojną domową, podczas której Kenijczycy zabijali się nawzajem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

Władysław Gomułka podczas wiecu na placu Defilad FOT. JERZY BARANOWSKI/PAP

PRL / Początek epoki gomułkowskiej

Ze słownika Października '56

Maciej Rosalak

Sześćdziesiąt pięć lat temu Polacy mieli już dość biedy, komunistycznego terroru i sowieckiego dyktatu, a nomenklatura partyjna lękała się utraty władzy...

Jak doszło do kresu epoki stalinowskiej (zwanej też u nas bierutowską), zainstalowania Gomułki na stanowisku szefa partii komunistycznej oraz nastania jego 14-letniej epoki? Sytuacja w Polsce po śmierci Józefa Stalina (5 marca 1953 r.) zmieniała się bardzo powoli. Na przykład od września tego roku więziony był prymas Polski ks. kard. Stefan Wyszyński, a tydzień wcześniej w pokazowym procesie skazano na 12 lat, jako „wroga ludu", torturowanego w śledztwie biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka. Urządzano obławy na resztki Żołnierzy Niezłomnych, ujętych katowano w śledztwie, wykonywano wyroki śmierci. Plan pięcioletni, nastawiony na rozwój zbrojeniowego przemysłu ciężkiego i kolektywizację rolnictwa, pogarszał byt Polaków.

Kalendarz odwilży

Dopiero dwa fakty wstrząsnęły systemem komunistycznym w Polsce. Pierwszym była w grudniu 1953 r. ucieczka wysoko postawionego funkcjonariusza bezpieki Józefa Światły na Zachód i jego relacje o zbrodniach komunistycznych w Radiu Wolna Europa słuchanych w całej Polsce. Notabene to Światło aresztował Gomułkę i Mariana Spychalskiego w ramach stalinowskich czystek w aparacie władzy na przełomie lat 40. i 50. Jego radiowe relacje spowodowały dochodzenia specjalnie powołanej komisji, usuwanie najbardziej skompromitowanych funkcjonariuszy oraz zmianę w grudniu 1954 r. jednego szyldu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na dwa: Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego oraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Drugim wstrząsającym dla władzy komunistycznej wydarzeniem stał się XX Zjazd KPZR, zakończony 25 lutego 1956 r. tajnym referatem sowieckiego genseka Nikity Chruszczowa, obalającego kult Stalina ujawnieniem jego zbrodni na komunistach sowieckich. Referat ten był następnie półlegalnie rozpowszechniany w naszym kraju, co otworzyło oczy wielu zaślepionym dotąd „janczarom bolszewizmu". I tak tzw. odwilż w PZPR, która prowadziła do Października '56, przybrała na sile.

Po zakończeniu zjazdu, 12 marca 1956 r., zmarł w Moskwie posłuszny wykonawca poleceń sowieckich I sekretarz KC PZPR Bolesław Bierut. „Pojechał w futerku, wrócił w kuferku" – mówiono po domach. Na jego miejsce powołano Edwarda Ochaba, też posłusznego Moskwie (jak zresztą każdego na jego miejscu), ale niemającego takiego znaczenia w aparacie partyjnym jak jego poprzednik.

Dzień przed śmiercią Bieruta ukazał się w tygodniku „Po Prostu" artykuł

eprasa.pl 4f09b4a2df

Jerzego Andrzejewskiego, Walerego Namiotkiewicza i Jana Olszewskiego „Na spotkanie ludziom z AK", upominający się o ich „moralną rehabilitację". „Po Prostu" stało się w tym czasie pismem podejmującym – dość uczciwie, choć nadal „z pozycji socjalistycznych" i bez narażania się Sowietom – najbardziej bolące sprawy. Tygodnik rzeczywiście stał się czytany, a to dzięki osłabieniu cenzury prewencyjnej i represyjnej – w wyniku zachodzących przemian. W dyskusyjnym Klubie Krzywego Koła – powołanym na przełomie lat 1955 i 1956 za zgodą władz, którym zależało na sondowaniu prawdziwych opinii środowisk intelektualnych stolicy oraz na ich inwigilacji – coraz częściej i wyraźniej formułowano wiosną 1956 r. krytykę poczynań partii i całego systemu.

Wydarzenia następowały dość szybko po sobie. W kwietniu 1956 r. odwołano z władz partyjnych i państwowych najbardziej odpowiedzialnych za zbrodnie stalinowskie Stanisława Radkiewicza i Jakuba Bermana, potem aresztowano wysokich funkcjonariuszy byłego MBP, wreszcie ogłoszono amnestię i wypuszczono 35 tys. więźniów (w tym 6 tys. politycznych). Na pochodach pierwszomajowych studenci nieśli transparenty z hasłami „Hańba dzierżymordom" i „My chcemy prawdy". Oddawali też legitymacje ZMP i żądali utworzenia swoich organizacji. A 18 maja odbyła się na Jasnej Górze pierwsza po wojnie pielgrzymka kombatantów Polskich Sił Zbrojnych. Do kraju wracali z Zachodu pierwsi emigranci – m.in. Stanisław Cat-Mackiewicz.

O swoje prawa i poprawę bytu upomnieli się też robotnicy, którym obniżano pobory – i tak już niewystarczające na utrzymanie ich i ich rodzin – a za to podwyższano normy. 28 czerwca 1956 r., po bezskutecznych próbach rozwiązania problemów podczas rozmów w Warszawie, na ulice Poznania wyszli pracownicy Zakładów Cegielskiego, domagając się „wolności i chleba". Dołączali do nich robotnicy z innych zakładów i mieszkańcy miasta, a gdy nikt nie chciał ich wysłuchać, pokojowy protest przerodził się w antykomunistyczne powstanie. Zostało ono krwawo stłumione przez bezpiekę, milicję i wojsko z użyciem broni pancernej. Padło 74 zabitych i 1400 rannych. „Rozstrzelano moje serce w Poznaniu…" – napisze poetka Kazimiera Iłłakowiczówna. Natomiast premier Józef Cyrankiewicz zagrozi następnego dnia „odrąbaniem ręki każdemu, kto ją podniesie przeciw władzy ludowej…".

Rozlanie robotniczej krwi wywołało wzburzenie i protesty wśród załóg zakładów pracy w całym kraju. U źródeł oburzenia były terror polityczny, skrajne obniżenie poziomu życia przez gospodarkę planową, kolektywizację rolnictwa i zniszczenie prywatnej wytwórczości, rzemiosła i kupiectwa oraz nieznośna uległość wobec Związku Sowieckiego. Protesty wzrosły jesienią, gdy zaczęły dochodzić informacje o podobnej sytuacji na Węgrzech, a kontestacyjnym oraz patriotycznym nastrojom dawali na wiecach wyraz studenci.

Na prawdziwego przywódcę wyrósł w tym czasie Lechosław Goździk, 26-letni sekretarz komitetu zakładowego PZPR w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, żądający powoływania rad robotniczych zarządzających zakładami. Był autentyczny, skuteczny, okazał się zresztą uczciwy, a dla roztropniejszych, zaniepokojonych rozwojem sytuacji komunistów – również bardzo wtedy przydatny. Krew się nie polała, choć podczas październikowego wiecu na Politechnikę Warszawską dotarły wiadomości o czołgach sowieckich idących na Warszawę. Podobno Ochab posłuchał Goździka, Rokossowski Ochaba i czołgi się zatrzymały – taką wersję przedstawi po latach Goździk i coś w tym było na rzeczy.

Dla nomenklatury partyjnej pozostało jednak pytanie, jak w zaistniałych warunkach zachować władzę. Odmienne odpowiedzi formułowały dwie zantagonizowane frakcje PZPR, nazywane natolińczykami i puławianami, albo – chamami i Żydami. W obliczu upadku systemu obydwie zgodziły się jednak na nowego szefa partii, którego mogłaby zaaprobować Moskwa, a który jednocześnie mógłby zyskać zaufanie społeczne. Takim kandydatem był właśnie Władysław Gomułka.

Kiedy rankiem 19 października 1956 r. – w dniu rozpoczęcia VIII Plenum KC PZPR, które miało zatwierdzić zmiany w składzie władz partyjnych – nagle i bez zaproszenia wylądowała w Warszawie delegacja najwyższych dostojników sowieckich, poirytowany Chruszczow okazywał wobec Gomułki niechęć i lekceważenie. Miał pretensje, że skład nowego BP KC PZPR ułożono bez jego zgody i groził użyciem siły. Szczególnie dotknęło go pominięcie towarzyszy Rokossowskiego, Nowaka, Mazura i Jóźwiaka. Dopiero informacja o mobilizacji warszawskich robotników do poparcia zmian ostudziła genseka. Marszałek Konstanty Rokossowski wrócił niebawem w towarzystwie innych dowódców sowieckich przebranych w polskie mundury do swej prawdziwej ojczyzny, a wraz z nim zniknęła znad Wisły najbardziej upokarzająca forma bolszewickiego kolonializmu.

Po 1956 r. Chruszczow i Gomułka witali się już jak starzy przyjaciele FOT. KAROL SZCZECIŃSKI/EAST NEWS

Chamy i Żydy

Jak odnaleźć się we wszechświecie bez punktu odniesienia w świetlanej postaci Józefa Stalina, jak wytłumaczyć się

eprasa.pl 4f09b4a2df

z dokonywanych zbrodni, jak wreszcie, co najważniejsze, uniknąć wymierzenia sprawiedliwości i zachować uprzywilejowaną pozycję w społeczeństwie – oto co dręczyło partyjną nomenklaturę. Co do tego, że uprzywilejowaną pozycję zachować trzeba, dwie frakcje partyjne, które wyłoniły się w 1956 r., w pełni się zgadzały (oczywiście tę haniebną postawę nazywano racją stanu, niewzruszoną wiarą w słuszność zasad marksizmu-leninizmu itp.). Frakcje różniły się tylko wyborem drogi, którą należałoby podążać do osiągnięcia celu.

Jedni – których nazywano natolińczykami, od rządowego pałacyku w podwarszawskim Natolinie, gdzie się zbierali – pomysł mieli prosty jak milicyjna pałka lub wycior do karabinu: Nie popuszczać! Czyli: nadal przemocą utrzymywać naród w posłuszeństwie i ograniczyć demokratyzację kraju. Ów w istocie nadal stalinowski program ozdobiono ze względów propagandowych nutami nacjonalizmu i antysemityzmu (np. Zenon Nowak publicznie ubolewał, że we władzach krajowych za dużo jest osób pochodzenia żydowskiego). Wspierani przez ambasadę sowiecką natolińczycy sugerowali, że za zbrodnie bezpieki winę ponoszą funkcjonariusze tegoż pochodzenia. Natolińczykami byli wszyscy, którzy stracili pozycje członka BP KC, i o których tak martwił się Nikita Chruszczow.

Oto Franciszek Jóźwiak (1896–1966), będący od 1948 r. członkiem Biura Politycznego KC PZPR, a także wicepremierem. Podczas wojny należał do GL i AL, był generałem LWP, a następnie również komendantem głównym MO. Ale ćwierć wieku wcześniej walczył w Legionach i w wojnie przeciw bolszewikom, co mu nie przeszkodziło wstąpić w 1921 r. do KPP. Kilkakrotnie aresztowany w wolnej Polsce, przeszedł szkolenie dywersyjne w Związku Sowieckim i jeszcze dotkliwiej szkodził krajowi. Trafił w końcu do Berezy.

Zenon Nowak (1905–1980) również był członkiem BP KC i wicepremierem z wykształceniem agenta Kominternu zyskanym w moskiewskiej Międzynarodowej Szkole Leninowskiej i służbą w armii sowieckiej do 1947 r. Miejsca w BP wprawdzie już nie znalazł, ale z takimi referencjami zajmował wysokie stanowiska aż do początku lat 70. Jak mówiono: „Tak czy owak, Zenon Nowak".

Czołgi na ulicach Poznania w czerwcu 1956 r.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Ukraińskiego pochodzenia Franciszek Mazur (Lewko Horodenko, 1895–1975) miał zasługi w walce z międzywojenną niepodległą Polską, ale naraził się NKWD niefortunną wypowiedzią o Trockim. Z sowieckiego łagru wydobył go w 1945 r. Bierut i obdarzał stanowiskami w aparacie oraz pozycją wiceprzewodniczącego Rady Państwa. W Radzie Państwa dotrwał do 1957 r. I potem jednak krzywdy nie miał.

Choć na VIII Plenum walkę o stołki natolińczycy przegrali, to trzymało z nimi kilku prominentnych współpracowników Gomułki, jak Władysław Kruczek czy Aleksander Zawadzki. Rewanż wzięli w latach 60. ich ideowi spadkobiercy – tzw. partyzanci, którzy pod przewodem Mieczysława Moczara wygrali (na krótko) przesilenie Marca '68.

Zwycięzcami na VIII Plenum okazali się puławianie, których nazwa pochodzi również od miejsca ich zebrań w 1956 r. – przedwojennych kamienic przy ul. Puławskiej 24 i 26 w Warszawie. Zwykle padają nazwiska towarzyszy wiodących prym w tym towarzystwie – Romana Zambrowskiego (1909–1977) i Leona Kasmana (1905–1984). Podczas Października '56 przewodzili dużej grupie prominentów partyjnych, którzy głosili hasła demokratyzacji i liberalizacji systemu, natomiast przeciwnicy zarzucali im wcześniejszy dogmatyzm i stalinizm.

Obydwaj pochodzili z rodzin żydowskich, a entuzjastami komunizmu, a następnie aktywistami tego ruchu zostali we wczesnej młodości. „Aktywista" oznaczał prędzej czy później faktycznie „płatnego agenta moskiewskiego" dążącego do demontażu niepodległego państwa polskiego. Bardzo wnikliwie drąży tę sprawę Piotr Gontarczyk w „Przyczynku do badań elit komunistycznych czasów PRL. Uwagi na marginesie biografii Romana Zambrowskiego" (biografia pióra Mirosława Szumiło).

Faktem pozostaje też, że np. po napaści Sowietów na Polskę w 1939 r. Zambrowski współpracował z NKWD, a w 1943 r. Kasman został przerzucony z trenów sowieckich za front do nawiązania kontaktu Moskwy z PPR po aresztowaniu przez gestapo Findera i Fornalskiej. Obydwaj godni zaufania towarzysze otrzymywali w latach stalinowskich odpowiedzialne zadania i ważne stanowiska w aparacie partyjnym i państwowym. Zambrowski m.in. infiltrował legalnie działające partie oraz wprowadzał sowieckie metody do funkcjonowania gospodarki. Kasman zaś był redaktorem naczelnym „Trybuny Ludu" we wspaniałych latach 1948–1953, a następnie 1957–1967.

Z puławianami identyfikuje się wiele znanych nazwisk z PRL-owskich kręgów władzy. Mamy tu np. J. Albrechta, W. Kraśkę, M. Naszkowskiego, J. Putramenta, M. Rakowskiego, a nawet E. Gierka i P. Jaroszewicza oraz byłych PPS-owców, jak H. Jabłoński, A. Rapacki czy A. Werblan. A popularną nazwę rywali

eprasa.pl 4f09b4a2df

– chamy i Żydy – w artykule dla paryskiej „Kultury" rozpropagował w 1962 r. po wyjeździe do Izraela socjolog i uczestnik Klubu Krzywego Koła Witold Jedlicki. Cóż, takie to były PRL-owskie elity na miejscu wyeliminowanych podczas wojny i po wojnie polskich inteligentów.

Szkoła tańca baletowego

Istotę przemian tzw. polskiego Października trafnie oddają słowa z rosyjskiej piosenki „Szkoła tańca baletowego" kontestującej ustrój sowiecki: „Dwa kroki w lewo, dwa w prawo, krok w przód i obrót". A niezapomniany Marek Nowakowski wspominał z ironią entuzjazm tłumu po zakończeniu 24 października słynnego wiecu na warszawskim placu Defilad, gdzie nowo wybrany szef partii komunistycznej obiecywał kres terroru i zamordyzmu oraz podwyższenie poziomu życia:

Na skraju placu zobaczyłem dwóch znajomych doliniarzy. Obaj w pilśniowych kapeluszach, spoceni. Oczy ich błyszczały radosnym ożywieniem. „I oni tak samo" – pomyślałem. Pociągnęli mnie za obelisk z wyrytymi odległościami w kilometrach do różnych stolic Europy.

– Ale dziś były trafunki! – powiedział niższy, zwany Kaczorem, był z Annopola.

– Waluta po prostu sama w graby szła – dodał drugi, stary tramwajowy fachman.

Pokazali kilka portfeli, kłęby pomiętej forsy.

– Jakby zdrętwieli… – dziwił się Kaczor.

– Frajerstwo!

– Gomułka! – skandowano wokół nas – Gomułka!

(„Oblicza PRL", nr 5 cyklu dodatków do „Rzeczpospolitej", redagowanego we współpracy z IPN, 2007 r.)

Z październikowych obietnic Gomułki niewiele zostało. Tygodnik „Po Prostu" zamknięto po niespełna roku, a kilkudniowe protestacyjne rozruchy studenckie brutalnie uśmierzały oddziały ZOMO. Notabene właśnie Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej okazały się najtrwalszym z osiągnięć polskiego Października. Istniały aż po kres PRL. Klub Krzywego Koła przetrwał do początku lat 60. Rady robotnicze zmarginalizowano. Największy sukces społeczeństwa obywatelskiego polegał na zwolnieniu żołnierzy AK i innych organizacji niepodległościowych z więzień i rehabilitacja wielu z nich. Zbrodniczy terror rzeczywiście już nie powrócił.

Nakład 150.000 egz.

W NUMERZE:

po prostu

Nr 44 (406) 28 X 1956 Cena 70 gr

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

RYSZARD TURSKI, ELIGIUSZ LASOTA

POLSKI PAŹDZIERNIK

ATTILA JOZSEF

Powietrza!

(LEVEGOTT!)

Strona tytułowa „Po Prostu" – wydanie podczas obrad VIII Plenum KC PZPR FOT. ARCHIWUM

Kolejne plany gospodarcze znów – pod naciskiem ZSRS – zakładały dalsze inwestycje w przemysł ciężki zamiast w wytwórczość prorynkową i budownictwo mieszkaniowe. Efektem były: drożyzna, ciężkie warunki bytu i brak perspektyw dla pokolenia powojennego wyżu demograficznego. Kolektywizację rolnictwa wstrzymano, masowo rozwiązanych PGR-ów nie przywrócono, ale dostawy obowiązkowe uchylono dopiero w 1971 r. Rokossowski wyjechał, ale wojska sowieckie pozostały. Prymasa zaś zwolniono nazajutrz po VIII Plenum KC PZPR, lecz rychło – także pod sowieckim wpływem – wznowiono szykany wobec Kościoła rzymskokatolickiego. Do roku 1960 ze szkół zniknęły krzyże oraz lekcje religii…

Ksiądz prałat Jan Sikorski był w końcu lat 50. katechetą. Ów wielkiej klasy przeuroczy kapłan wymówienie w skierniewickim liceum pedagogicznym otrzymał wraz z Bożym Narodzeniem 1959 r. – jakby na Gwiazdkę – i uczył tylko do końca półrocza roku następnego.

„Był to też czas zdejmowania w szkołach krzyży – wspominał. – W tych, w których ja uczyłem, wykorzystywano jakieś remonty, malowanie, by zdjąć krzyże. Proszono o to woźnych, którzy w wielu wypadkach mówili, że nie oni wieszali i oni zdejmować nie będą. Ale krzyże znikały, w mniejszych szkołach wieszano je ponownie, ale w większych, gdzie była ściślejsza kontrola, to się nie udawało".

Naukę religii improwizowano przy kościołach: „na schodach, na chórze, w jakichś pomieszczeniach magazynowych… niemniej młodzież tłumnie przychodziła po szkole na katechezę do kościoła, co wzbudzało złość władz partyjnych".

Na jego miejsce zatrudniono młodego wicedyrektora, głównie do antyreligijnej agitacji. Młodzież mówiła ks. Janowi, że opowiada o nim: „Takich księży jak Sikorski to prymas specjalnie kształci do walki z komunistami. Jest jednym z »prymasowskich piesków«. Niechcący zrobił mi przysługę, bo młodzież przychodziła na religie z tym większym zainteresowaniem" („Oblicza PRL…").

Potem były kolejne antyreligijne kroki władz, jak odmowa budowy świątyń w nowych osiedlach mieszkaniowych, złośliwe powoływanie kleryków do wojska, prymitywna propaganda przeciw biskupom za ich milenijny list do biskupów niemieckich czy urządzenie z okazji tysiąclecia chrztu Polski (1966 r.) święta ku czci Polski Ludowej.

A kończyła się ta epoka kompromitacją w postaci zapaści gospodarczej, protestów studenckich Marca '68, „antysyjonistyczną", a w istocie antysemicką hecą, i wreszcie Grudniem '70, kiedy to sam pierwszy sekretarz, wyniesiony 14 lat wcześniej do władzy na fali entuzjazmu znacznej części społeczeństwa, kazał strzelać do robotników Wybrzeża.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

XX–XXI w. / Zabytki architektury, d

Cenne, utracone

Tomasz Stańczyk

Repliki nie zastąpią oryginałów, jednak to dzięki nim trwa pamięć o nich i ich twórcach

Podpisanie przez prezydenta Andrzeja Dudę ustawy o odbudowie Pałacu Saskiego przywróci jego bryłę w sylwetce miasta. Fakt ten przypomina, że lata drugiej wojny światowej przyniosły nieodwracalne szkody w naszym dziedzictwie narodowym. Były one spowodowane nie tylko działaniami wojennymi, lecz także prowadzoną z premedytacją niemiecką polityką niszczenia i grabieży polskich dóbr kultury i zabytków. Taki los spotkał także Pałac Saski, wysadzony w powietrze już po upadku Powstania Warszawskiego. I nie jest ważne to, że krytycy nazywają Pałac Saski „kamienicą Skwarcowa".

Kształt budynku, istniejącego do 1944 r., powstał bowiem w wyniku przebudowy dokonanej na zlecenie kupca Iwana Skwarcowa w latach 1839–1842 przez Adama Idźkowskiego. Pojawił się wówczas bardzo charakterystyczny dla pejzażu Warszawy budynek z kolumnadą łączącą dwa jego skrzydła. I jednocześnie bardzo ważny dla historii Polski XX w.: w latach II Rzeczypospolitej mieścił się w nim bowiem Sztab Generalny, następnie Sztab Główny Wojska Polskiego, pracował tam w latach 1922–1923 marszałek Józef Piłsudski jako szef Sztabu Generalnego.

W pałacu pracowała ekipa polskich kryptologów pod kierownictwem pułkownika Jana Kowalewskiego, która w 1920 r. podczas wojny z bolszewicką Rosją złamała szyfr Armii Czerwonej. Przyczyniło się to istotnie do zwycięstwa w przełomowej Bitwie Warszawskiej. W 1925 r. pod kolumnadą pałacu powstał Grób Nieznanego Żołnierza. Później pracowali w tym gmachu pracownicy Biura Szyfrów, kryptolodzy – mate-

eprasa.pl 4f09b4a2df

dzieła sztuki, konstrukcje inżynierskie

i odtworzone

matycy Marian Rejewski, Henryk Zygalski i Jerzy Różycki, którzy dokonali pionierskiego złamania szyfru Enigmy. W odtworzonym budynku Pałacu Saskiego powinno się z pewnością znaleźć miejsce na ekspozycję przypominającą to wielkie polskie osiągnięcie, które utorowało drogę Brytyjczykom do czytania niemieckich depesz wojskowych podczas drugiej wojny światowej.

Zniszczenia wojenne i grabieże dokonane przez niemieckich i rosyjskich okupantów skazują nas na tworzenie replik. Nie zastąpią oryginału, ale przywracają pamięć o ważnych zabytkach, wytworach techniki, ich twórcach i ludziach z nimi związanych. A to ogromna wartość, budująca naszą tożsamość, tak jak odbudowany Zamek Królewski w Warszawie, replika zabytkowego gmachu wysadzonego, tak jak Pałac Saski, przez Niemców po upadku Powstania Warszawskiego. Replika, ale z bardzo wieloma zachowanymi szczęśliwie elementami wystroju i elementami architektonicznymi.

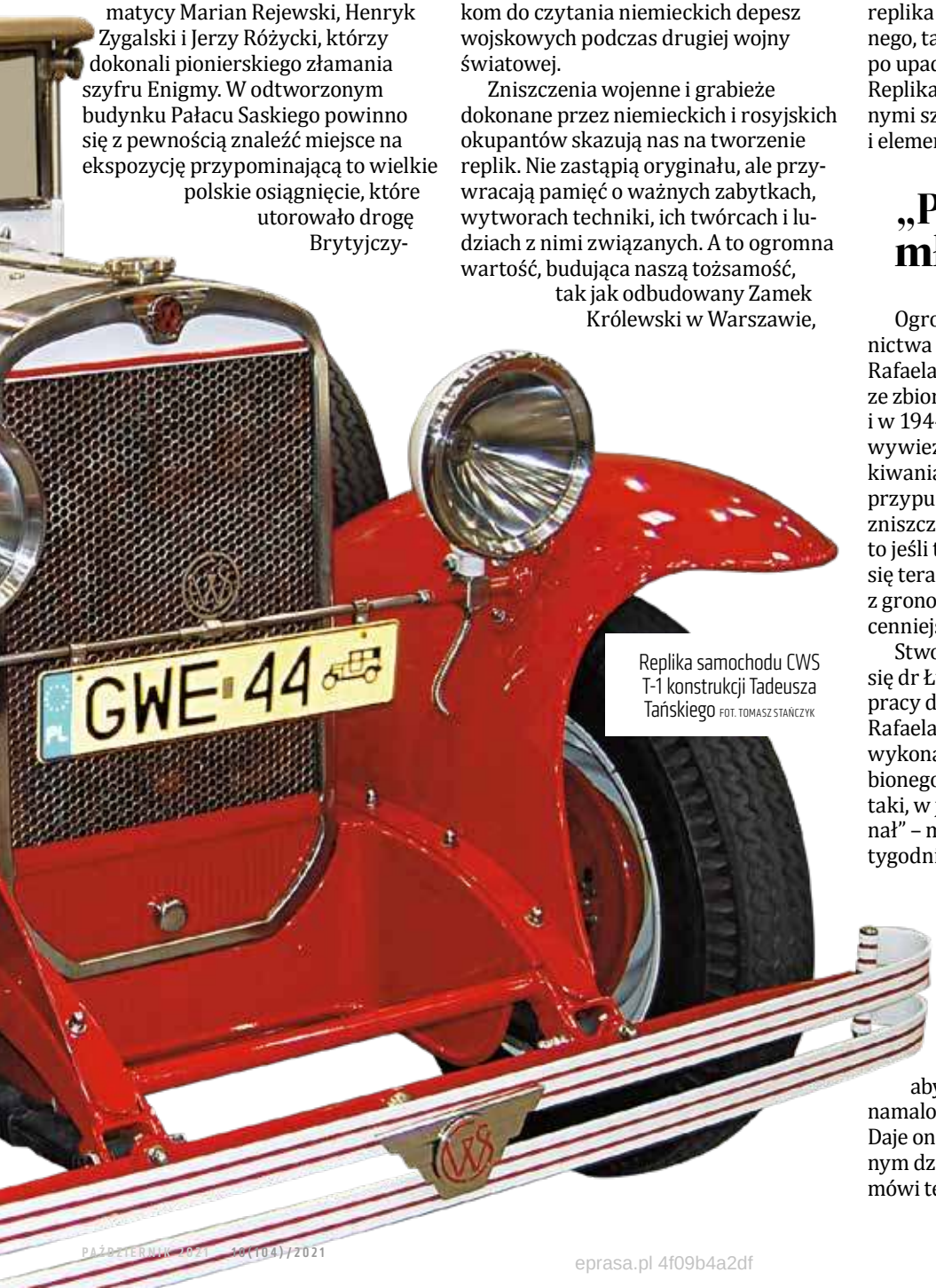

Replika samochodu CWS T-1 konstrukcji Tadeusza Tańskiego FOT. TOMASZ STAŃCZYK

„Portret młodzieńca”

Ogromną stratą polskiego muzealnictwa jest „Portret młodzieńca” pędzla Rafaela Santiego. Został ukradziony ze zbiorów Muzeum Czartoryskich i w 1944 r. na polecenie Hansa Franka wywieziony do Niemiec. Wszelkie poszukiwania zakończyły się fiaskiem i choć są przypuszczenia, że arcydzieło nie uległo zniszczeniu w ostatnim okresie wojny, to jeśli tak jest, to nie wiadomo, gdzie się teraz znajduje. A był to, obok „Damy z gronostajem” Leonarda da Vinci, najcenniejszy obraz w polskich zbiorach.

Stworzenia repliki tego obrazu podjął się dr Łukasz Nawrocki, malarz, autor pracy doktorskiej dotyczącej warsztatu Rafaela Santiego. „To umożliwiło mi wykonanie wiernej rekonstrukcji zagubionego arcydzieła renesansu w sposób taki, w jaki nikt tego wcześniej nie dokonał” – mówił Nawrocki w wywiadzie dla tygodnika „Do Rzeczy”.

Wnikliwie przestudiował nie tylko technikę malarską Rafaela, lecz także odtwarzał receptury farb. Ponieważ zachowały się tylko czarno-białe zdjęcia obrazu, przestudiował także kolorystykę porterów wykonanych przez włoskiego artystę, aby posługując się zdobytą wiedzą, namalować jak najwierniejszą replikę. Daje ona wyobrażenie o tym, jak wybitnym dziełem był „Portret młodzieńca”, ale mówi też o tym, z czyjego powodu go

eprasa.pl 4f09b4a2df

utraciliśmy. A obraz ten jest, naturalnie, tylko reprezentantem tysięcy dzieł sztuki zniszczonych i zrabowanych przez Niemców w latach drugiej wojny światowej z polskich zbiorów państwowych i prywatnych.

PZL i RWD

II Rzeczpospolita mogła się poszczycić wieloma udanymi konstrukcjami pojazdów i samolotów. Niestety w wielu przypadkach nie zachował się ani jeden ich egzemplarz. Przypominają o nich jednak, a także o inżynierach, o polskiej myśli technicznej, repliki, które można oglądać w muzeach, na pokazach, wystawach, rekonstrukcjach historycznych bitew.

Bombowiec PZL P-37 „Łoś" był we wrześniu 1939 r. jedynym nowoczesnym samolotem naszego lotnictwa wojskowego, szybszym od myśliwców PZL P-7 i PZL-P11. Na czele zespołu konstruktorów stał inżynier Jerzy Dąbrowski. Podwójne koła zawieszone na wahliwej poprzeczce (patent inżyniera Piotra Kubickiego) pozwalały na korzystanie przez „Łosia" z lotnisk polowych.

Powstało niemal 100 bombowców PZL P-37, produkowanych w Państwowych Zakładach Lotniczych na Okęciu w Warszawie oraz w Mielcu. „Zwraca uwagę – pisał Edward Malak, historyk lotnictwa – iż w polskiej historiografii znacznie więcej poświęcono osądom, że nie takiego samolotu potrzebowała Polska do obrony w 1939 r. niż temu, że w ogóle zdołano w tak krótkim czasie tak nowatorski samolot uczynić zdolnym do służby w jednostkach".

Niestety, we wrześniu 1939 r. w walkach wzięło udział tylko niespełna 40 bombowców, które atakowały niemieckie kolumny pancerne. Część „łosi" niezniszczonych podczas działań wojennych przeleciała do Rumunii i była używana przez lotnictwo tego kraju podczas działań wojennych. Podobno widziano „łosie" w Rumunii jeszcze w latach 50. ubiegłego wieku. Niemcy pocięli zdobyte PZL-P 37 na złom, nie zachował się też egzemplarz eksponowany przez nich jako trofeum wojenne. Oprócz silnika Bristol Pegasus XX, podarowanego Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie przez Polaka ze Stanów Zjednoczonych, w muzeach znajdują się jedynie drobne elementy „łosi" wykopane z miejsc zestrzelenia tych samolotów. Pracownicy fabryki PZL Mielec, pamiętając o tradycji przedwojennego zakładu, postanowili wzmocnić pamięć o udanej konstrukcji i w 2012 r. zbudowali jego replikę w skali 1:1.

Innym samolotem, który doczekał się repliki, jest sportowy RWD-5, zaprojektowany na początku lat 30. przez Stanisława Rogalskiego, Stanisława Wigurę i Jerzego Drzewieckiego w Doświadczalnych Warsztatach Lotniczych. Na RWD-5 bis – specjalnej wersji RWD-5 – kapitan Stanisław Skarżyński przeleciał w 1933 r. z Afryki do Ameryki Południowej nad południowym Atlantykiem. Lot trwał ponad 20 godzin, w tym ponad 17 godzin nad oceanem. Skarżyński ustanowił wówczas międzynarodowy rekord odległości w klasie samolotów turystycznych o masie własnej do 450 kg. Samolot ten nie zachował się, jak również żaden z pozostałych ok. 20 sztuk RWD-5. W latach 90. ubiegłego wieku z inicjatywy Stowarzyszenia Lotnictwa Eksperymentalnego powstała latająca replika samolotu nazwana RWD-5R „Stanisław Skarżyński" na cześć znakomitego pilota. Samolot można oglądać na pokazach i piknikach lotniczych. Wprawdzie uległ on wypadkowi, ale został odtworzony.

Samolot RWD-8 zaprojektowany także przez Rogalskiego, Wigurę i Drzewieckiego wygrał konkurs na samolot szkolny dla lotnictwa wojskowego, w którym służył od 1934 r. Używały go także aerokluby. Produkcja odbywała się w Doświadczalnych Warsztatach Lotniczych, a także w Podlaskiej Wytwórni Samolotów. Był to najliczniej produkowany samolot w międzywojennej Polsce. Podczas kampanii wrześniowej RWD-8 służył jako

Replika czołgu 7TP

FOT. THOMAS QUINE/WIKIPEDIA

RWD-5R „Stanisław Skarżyński", replika samolotu RWD-5 bis

FOT. ŁUKASZ GOŁOWANOW, MACIEK HYPŚ, KONFLIKTY.PL/WIKIPEDIA

maszyna łącznikowa. Jeden z samolotów wykonywał do 4 października 1939 r. loty wywiadowcze dla Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga. Niestety żaden z ok. 600 egzemplarzy nie zachował się. Replika tego tak popularnego samolotu, na którym uczyli się przyszli piloci wojskowi, powstała w Warsztatach Lotniczych TZL Henryka Wickiego w Świdniku i wzbiła się w powietrze w 2020 r.

Szczególny rodzaj replik stanowią te, w których wykorzystywane są oryginalne elementy i części. Tak właśnie stało się w przypadku polskiego czołgu 7TP. Był udaną wersją rozwojową licencyjnego czołgu Vickers E. Do jego zalet należało działo 37 mm systemu Boforsa oraz silnik wysokoprężny, gdyż olej napędowy był mniej łatwopalny niż benzyna. Zastosowanie tego rodzaju napędu było wówczas nowością. Czołg był wyposażony w nowatorski peryskop odwracalny konstrukcji Rudolfa Gundlacha. Pozwalał on na obserwację otoczenia w pełnym zakresie (360 stopni). Do wad należało zaś słabe opancerzenie. Historyk wojskowości dr Tymoteusz Pawłowski uważa, że 7TP nie ustępował większości czołgów niemieckich i sowieckich. Niestety do wybuchu wojny nie zbudowano zaplanowanych ok. 400 czołgów. Nie przetrwał ani jeden kompletny egzemplarz tego pojazdu spośród ponad 130 powstałych w Państwowych Zakładach Inżynierii w Ursusie od 1935 r. Stworzenia repliki podjęła się Fundacja Wojskowości Polskiej z Bielska-Białej. Prace nad nią w firmie Panzerprojekt Grzegorza Klimczaka zakończyły się w 2011 r. Obecnie replika czołgu 7TP znajduje się w Muzeum Polskiej Techniki Wojskowej – oddziale Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Konstrukcje Tańskiego

Zbudowano również replikę samochodu pancernego Ford FT-B. Konstrukcja ta powstała w czasie wojny z bolszewicką Rosją i była dziełem wybitnie utalentowanego inżyniera Tadeusza Tańskiego, który wykorzystał podwozie legendarnego Forda T, modyfikując je i wzmacniając. Jan Tarczyński, historyk motoryzacji, w książce „Samochody inż. Tańskiego" oceniał: „Ze względu na dużą ruchliwość (prędkość maksymalna – 50 km/h, doskonałą zwrotność – promień skrętu 4,1 m, spory zasięg – do 250 km), niewielkie wymiary i siłę ognia (karabin maszynowy w wieżyczce obrotowej o 360 stopni) wykazywał dużą przydatność w specyficznych warunkach wojny manewrowej na wschodnich kresach Rzeczypospolitej".

Samochód ten wyprodukowano w liczbie 16 sztuk w Centralnych Warsztatach Samochodowych w Warszawie. Sformowano z nich 1. Lekką Kolumnę Samochodów Pancernych, która wzięła wdział w walkach z Armią Czerwoną. Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku zakupiło oryginalne podwozie Forda T. Andrzej Godlewski ze Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznej „Cytadela" nałożył na nie zbudowane przez siebie nadwozie. Replika znajduje się na muzealnej ekspozycji stałej.

W międzywojennej Polsce budowano samochody rodzimej konstrukcji. Bezsprzecznie najciekawszym z nich i najbardziej oryginalnym był CWS T-1, również konstrukcji inżyniera Tadeusza Tańskiego. Nazwa pochodziła od Centralnych Zakładów Samochodowych. Zarówno silnik, jak i cały samochód, można było złożyć i rozłożyć przy użyciu jednego tylko dwustronnego klucza płaskiego, nie licząc klucza do odkręcania świec. Stanowiło to światowy ewenement i ułatwiało obsługę oraz naprawy auta. Silnik, także skonstruowany przez Tańskiego, w niczym nie ustępował zagranicznym jednostkom napędowym. Niestety zabrakło funduszy na uruchomienie wielkoseryjnej produkcji CWS T-1. O tym, że była to udana konstrukcja, świadczy też fakt, że – jak pisał Witold Rychter w książce „Moje cztery kółka" – firma Fiat, udzielając Polsce licencji na budowę swoich samochodów, zażądała natychmiastowego zaprzestania produkcji CWS T-1 i nawet zniszczenia samochodów znajdujących się w budowie.

W latach 1927–1930 powstało w Państwowych Zakładach Inżynierii w ok. 800 samochodów CWS-1, w wersjach nadwozia kareta, torpedo, kabriolet oraz sanitarka. Pojedyncze egzemplarze widywano na polskich drogach jeszcze do końca lat 50. ubiegłego wieku, ale do dziś nie przetrwał żaden.

Dwie repliki tego niezwykłego samochodu zbudowane zostały przez pasjonatów motoryzacji. Pierwsza, CWS T-1 Torpedo autorstwa Ludwika Rożniakowskiego, została pomalowana w barwy narodowe. Drugą – prototyp CWS T-1 – zbudował Jarosław Śliwiński, korzystając z dokumentacji zachowanej w Centralnej Bibliotece Wojskowej, a także z wiedzy Jana Tarczyńskiego, historyka motoryzacji, autora książki „Samochody inż. Tańskiego".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

Jakub Ostromęcki

I w. p.n.e. / Francuski film „Druidzi" (2001)

Celtomania nad Sekwaną

Błędy reżysera fałszują przeszłość, a francuskie strachy i resentymenty przyjmują nieraz śmieszną postać

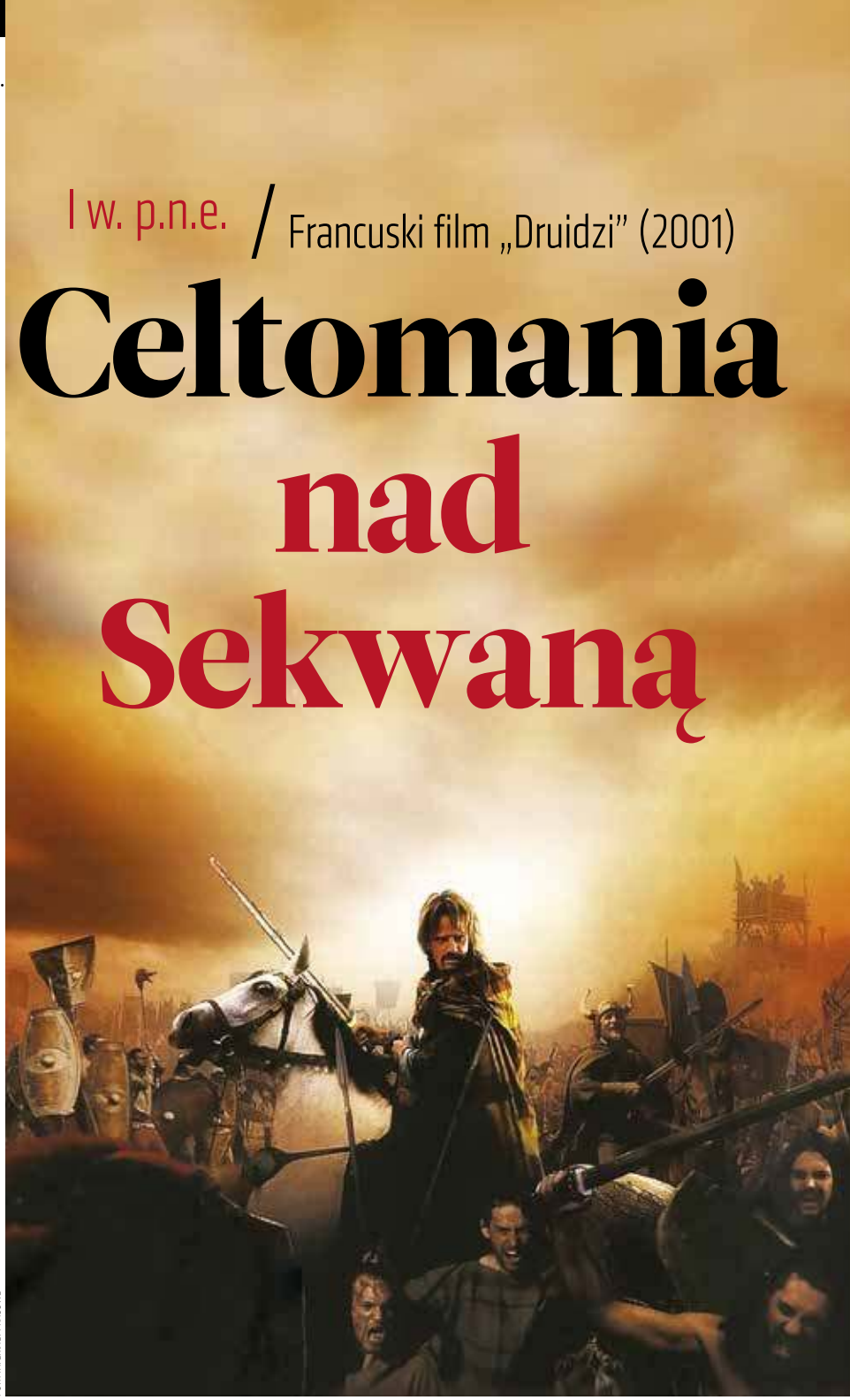

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film „Druidzi" z 2001 r., we francuskim oryginale znany jako „Vercingétorix: La Légende du druide roi", został okrzyknięty jednym z gorszych francuskich filmów wszech czasów. Słusznie. Norman Spinrad, amerykański pisarz, który był autorem pierwotnej wersji scenariusza, złapał się przerażony za głowę, gdy zobaczył, co zostało z jego dzieła. „Druidzi" to opowieść przedstawiająca jeden z bardziej znanych epizodów starożytności, czyli rzymskiego podboju Galii. Niestety Jacques Dorfmann zrobił wszystko, aby widzowie historię tę znienawidzili. Nie pomogli też znani aktorzy: Christopher Lambert i Max von Sydow. „Druidzi" są też składnikiem popkulturowej celtomanii, czyli zbiorowego przeświadczenia, że Celtowie byli pionierami demokracji, równości, feminizmu i ekologii. Osiągnięcia te miały być zniszczone przez zły, materialistyczny i patriarchalny Rzym.

Trzeba bardzo dobrej woli, aby odkryć motywy postępowania kluczowych postaci filmu tudzież zrozumieć sens prowadzonych przez nich pozornie zagadkowych, a tak naprawdę nieraz skrajnie banalnych dialogów. Oto kilka przykładów. Rzymianin czy Gal – plotą wciąż o „przeznaczeniu, które musi się wypełnić". Druid na widok budowy rzymskiej drogi mówi, że „Rzymianom brak wiedzy", i porównuje ów trakt do „miecza wbitego w ciało kraju". Kapłan ów, nie chcąc, aby okupanci poznali jego profesję, każe się Wercyngetoryksowi kopnąć w zadek, udając proszalnego dziada. Kryptodruid podskakuje i jęczy, a głupi Rzymianie kupują to przedstawienie. Wodzowie wrażych armii, gdy są podnieceni lub robią coś ważnego, mają tu w zwyczaju popychać i szturchać gwałtownie wojów z najbliższego otoczenia, choć ci niczym akurat nie zawinili. Pamiętajmy cały czas, że mamy do czynienia z dziełem, które twórca określił jako „dramat historyczny ", a nie komedię.

Wercyngetoryks, w jednej scenie przenikliwy wódz, w innej nie jest w stanie pojąć najprostszych mechanizmów polityki, którą tłumaczą mu przyjaciele czy nawet Rzymianie. Jako dziecko widzi śmierć swojego ojca, ale naturalny odruch chęci niesienia ratunku czy zemsty tłumi bez trudów druid Guttuart, znów bajając: „Magia jego śmierci musi nas czegoś nauczyć".

Gdy przychodzi do rozprawy pod wałami Alezji, Wercyngetoryks przechadza się po polu bitwy, przyglądając się

eprasa.pl 4f09b4a2df

jatkom, nie wydając ani jednego rozkazu, jak gdyby był znudzonym widzem, nie dowódcą. Ni stąd, ni zowąd pośrodku owych zmagań pojawia się jego kochanka Rhia, z którą czule się żegna na tle trupów i płonących umocnień. Kochanka rychło dostaje jednak rzymskim pilum w plecy.

Dziwna wojna

Przeciętny widz, mając do czynienia z taką serią reżyserskich porażek, stwierdzi, że film jest na bakier również z realiami historycznymi. Z kilkoma chlubnymi wyjątkami tak jest w istocie.

Osią fabuły „Druidów" jest zemsta Wercyngetoryksa na mordercach jego ojca Celtyllusa, który pragnął zjednoczyć Galów. Celtyllus faktycznie został skazany na śmierć przez zgromadzenie Arwernów, ale Dorfmann konfabuluje, twierdząc, że za jego śmiercią stali Rzymianie. Rzym w latach 60. p.n.e. nie prowadził wobec północnych Galów żadnej sprecyzowanej polityki. Przed śmiercią Celtyllus rzuca wobec swojego brata, a zarazem przywódcy arystokratów, słowa: „Pod twoimi rządami bogaci będą jeszcze bogatsi, a biedni biedniejsi!". Jak pisze Albert Grenier w „Historii Galów": „Monarchia była z pewnością bardziej ludowi życzliwa niż arystokracja; w masach szukano oparcia przeciw możnym. Rewolucja (arystokratyczna) pogorszyła los niższych warstw społecznych". Owa dobroć dla ludu, jak czytamy dalej w słynnej pracy, polegała na zwykłym rozdawnictwie części zrabowanych lub ściągniętych w podatkach dóbr. Jeden z władców wypełnił raz precjozami kawał pola o powierzchni 2 tys. mkw. i pozwolił używać do woli. Jak bardzo były to zachowania demoralizujące, nikogo w tamtych czasach nie obchodziło. Galijscy królowie nie byli jednak żadnymi socjalistami. Dorfmann dość nachalnie próbował głosić poglądy polityczne ustami bohatera filmowego.

Nie dowiemy się też od Dorfmanna, co skłoniło Cezara do podboju Galii, poza oczywiście nieodłącznym dla tego filmu „przeznaczeniem" i schlebianiem własnemu ego. Jego rzymscy wierzyciele wypominają mu, że już „zbyt wiele pożyczył od nich na igrzyska". Cezar spłaca jednak owe długi, dając im mieszki zrabowanego w Galii złota. W rzeczywistości to nie żadne igrzyska zadłużyły Cezara, ale kosztowne kampanie wyborcze i samo sprawowanie urzędów, za co Rzymianie nie otrzymywali przecież państwowej pensji. Podbój Galii był oczywiście dobrą okazją do spłacenia długów, ale chodziło też o uzależnienie od siebie legionistów, którzy za wodzem przynoszącym zwycięstwa poszliby wszędzie, nawet przeciwko legalnie wyłonionym władzom republiki. „Muszę pozbyć się Galów" – mówi Cezar do swoich legatów, gdy szykuje się na inwazję Brytanii. Jest to kolejna z sentencji wypowiedziana w filmie bez większego sensu. Prawdziwym Rzymianom nie śniło się, aby ogałacać świeżo zdobytą prowincję z ludzi. To nie była wszak budząca przerażenie Kartagina sprzed 100 lat, której ludność sprzedano w niewolę, lecz prowincja mająca dostarczyć bitnego żołnierza i surowców mineralnych.

W pewnym momencie filmu Cezar spotyka przypadkowo Wercyngetoryksa i bez ceregieli, nie znając go nawet, włącza do swojej świty. W Bibracte kusi resztę Galów obietnicą łupów, które zdobędą w Brytanii. Poróżniony jednak z Dumnoryksem każe go zabić z dala od grodu. Dodajmy tu, iż zamach przeprowadza rzymski oficer ubrany w czerwony płaszcz, „kryjąc się" jednocześnie w krzakach. Wercyngetoryks będąc świadkiem haniebnego czynu, zrywa z Rzymianami. Wznieca powstanie, wypędza rzymski garnizon z Gergovii, zabija tam wuja winnego śmierci ojca i gromi Rzymian pod wałami grodu. Pod Alezją Wercyngetoryks stara się odwieść swoich wojów od walki, chcąc zagłodzić Rzymian oblegających gród. Galowie nie słuchają, co kończy się masakrą ich zastępów i w konsekwencji hołdem Wercyngetoryksa w rzymskim obozie.

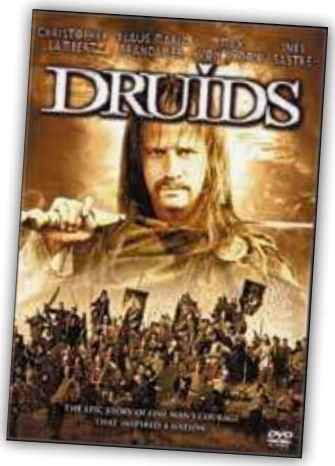

Przebieg wojny wyglądał inaczej. Wercyngetoryks jako przedstawiciel królewskiego rodu był doskonale znany Cezarowi i przez dużą cześć podboju Galii walczył po stronie Rzymian przeciw innym Galom. To nie śmierć Dumnoryksa popchnęła go do buntu przeciw Rzymianom, ale zdzierstwa, których dopuszczały się stacjonujące w Galii legiony. Nie był to również wzór łagodnego lidera, skoro za przejaw braku dyscypliny i opieszałość karał okrutnymi torturami. Rzeczywiście próbował zagłodzić Rzymian taktyką spalonej ziemi, jednak pod Alezją nie mógł już na to liczyć, gdyż to jemu samemu groził głód.

Wojaczka według Dorfmanna

Filmowy Wercyngetoryks zostaje przez druidów wysłany na lekcje fechtunku do mistrzyni miecza Rhii. Trenerka zostanie wkrótce kochanką swego ucznia. Przeskoczyliśmy właśnie z historii Galów do świata irlandzkich mitów. To w jednym z nich bogini Sáthach uczyła walki Cúchulainna. Tamtejsi bohaterowie co i rusz napotykali zresztą waleczne i pożądliwe królowe, którym musieli sprostać nie tylko mieczem. W opowieściach tych występowały również czary, potwory, gigantyczne dziki czy półludzie. Jest to bez wątpienia fascynująca fikcja. Rzymianie, którzy walczyli z Galami w I w. p.n.e., milczą na temat kobiet w szeregach ich armii, a byłaby to przecież z ich punktu widzenia sytuacja niecodzienna. Wzmianka Ammianusa Marcellinusa, napisana kilkaset lat po wojnie, o Galijce rozdającej ciosy i kopniaki traktować należy jako etnograficzną ciekawostkę, barwnie podkreślającą dużo wyższą pozycję społeczną celtyckich kobiet w porównaniu z Rzymiankami lub Greczynkami.

U Dorfmanna widzimy dwie niewiasty przewodzące galijskim wojom. Jedną z nich jest kompletnie fikcyjna Mosa, królowa Bellowaków. Druga władczyni pozostaje anonimowa. Nie widzimy jednak żadnej z nich w bezpośrednim starciu na broń białą, co zgadza się tym razem z historycznymi realiami wojen Rzymian z Celtami, gdzie można było

eprasa.pl 4f09b4a2df

Obrzędy druidów. Obraz Noela Halle'a (XVIII w.)

FOT. ANTONIA REEVE/NATIONAL GALLERIES OF SCOTLANDWW

zobaczyć kobietę na tronie czy rydwanie, ale raczej nie w szyku bojowym walczącą mieczem lub włócznią. Więcej – Galowie wyprowadzali kobiety wraz z dziećmi ze swoich oblężonych grodów, ponieważ były mniej użyteczne w walce, a zjadały zapasy. Było to mało heroiczne postępowanie, którego w filmie nie uświadczymy.

Historia Galów zna jednak inną heroiczną kobietę. Była to Epponina. Druidka i żona Juliusa Sabinusa, przywódcy innego powstania Galów z 69 r. n.e. Jej mąż upozorował własną śmierć, a wierna Epponina nie dość, że ukrywała go w piwnicy, to jeszcze w tajemnicy przed rzymskimi szpiegami urodziła dzieci. W przebraniu pojechała do Rzymu, by starać się u Klaudiusza o amnestię dla męża, który tymczasem udawał jej niewolnika. Niewyparzony język kapłanki rozsierdził jednak cesarza i tak oboje małżonkowie zostali skazani na śmierć. Postać filmowej Epony, innej, po Rhii kochanki Wercyngetoryksa, ma być dalekim odwołaniem dla prawdziwej Epponiny.

Bitwy w „Druidach" składają się z chaotycznej bieganiny po polach i ślepej wymiany ciosów między przeciwnikami. Rozstrzyga się je tu według ordynarnego schematu: jednego dnia Galowie wrażają celniej broń w trzewia przeciwnika, następnego lepiej robią to Rzymianie. Nie uświadczysz tu żadnych różnic w sposobie walk między wrażymi armiami, a były to wszak różnice na skalę niemal cywilizacyjną. Jak pisze o Galach Dionizjusz z Halikarnasu: „Było w tym coś okrutnego i szalonego i zupełny brak posługiwania się bronią. Już to wznosząc wysoko swoje miecze, uderzali ślepo, z dziką siłą jak drwale, już to wywijali bronią, próbując zadać cios z boku, jakby zamierzali za jednym zamachem przepołowić ciało wroga, a tylko szczerbili ostrza. […] Gdy Gal podnosił broń, Rzymianin wsuwał mu się pod ramię, pochylał i podniósłszy wysoko tarczę, powodował że wymierzony cios stawał się nieskuteczny. A potem godził Gala w bok lub w pierś i sięgał wnętrzności". W filmie Rzymianie trzymają szyk jedynie w marszu.

„Poznałem tajemnice mieczy Galów" – mówi podniecony Cezar, ostentacyjnie łamiąc zdobyczną klingę. Wśród wielu Rzymian panowało rzeczywiście przekonanie o lichej jakości galijskich mieczy, ale wynikało ono z tego, co owi zdobywcy znajdowali po latach w galijskich grobach, gdzie zalegała często broń albo połamana albo już nadżarta przez rdzę.

Kraciasta Galia?

Jeźdźcy w strzemionach – jest to anachronizm dość sporego kalibru, wszak w 2001 r. wiedza o pojawieniu się strzemion w Europie dopiero we wczesnym średniowieczu był już powszechna. Czy mowa o kontynentalnych Celtach ze starożytności czy ich wyspiarskich, szkockich potomkach ze średniowiecza, w kinie spotykamy ich często ubranych w płaszcze w kratę. Nie inaczej jest w „Druidach". Galowie nie ubierali się jednak w kratę, którą znamy z nowożytnej Szkocji, choć ich stroje bywały pstrokate, wielobarwne, często przetykane złotym haftem tudzież składały się z mozaiki łatek, którą można z daleka pomylić ze szkocką kratą.

Dorfmann pamiętał jednak o prostych, ale szerokich spodniach, podobnych do tych noszonych przez odległych Persów, i tunikach z kapturami. Nie dał się wpędzić w inną pułapkę związaną z celtyckim strojem, a w zasadzie jego brakiem. Rzymianie bowiem z przerażeniem obserwowali celtyckich wojowników idących w bój nago. Walczyli oni w ten sposób jednak w czasach najazdów na Italię czy państwa hellenistyczne, a nie w połowie I w. p.n.e., gdy – mówiąc językiem Roberta E. Howarda – „ich barbarzyńskie ciała zaczęła pokrywać już warstwa cywilizacji".

Niepotrzebnie też zapaleni krytycy wyśmiewają reżysera za galijskie fryzury i wymyślne hełmy. Nie bez kozery ziemie nieujarzmione przez Rzym nazywano „Galią Włochatą". Owe długie włosy Galowie rzeczywiście wiązali w ciasny kok na czubku głowy. Wśród prawdziwych Galów znaleźlibyśmy też hełmy z rogami czy ozdobnymi trzpieniami. Pytanie tylko, czy spełniały funkcję ceremonialną czy były używane w bitwie – ta druga ewentualność grozi tym, iż hełm zamiast chronić, zacznie zagrażać życiu i zdrowiu noszącego.

Galowie owi mieszkają w domach z kamienia, bardzo podobnych do rzymskich, willi tylko z bardziej stromymi dachami. To zbyt daleko idące schlebiania galijskiej kulturze materialnej – Galia Włochata budowała przede wszystkim z drewna, a jej główne centra były bardziej grodami niż wielkimi metropoliami na kształt tych znad Morza Śródziemnego. W filmie narady galijskich wodzów i druidów odbywają się w wielkiej grocie pod wzgórzem, na którym znajduje się Gergovia. W rzeczywistości spotkania owe nie miały tak romantycznego charakteru. Galom do politykowania wystarczały otwarta przestrzeń lub domostwo w grodzie, druidom zagajnik, uroczysko lub trudno dostępna polana.

Wolni Galowie nie nazywali wówczas swoich zgromadzeń senatami. Była to latynizacja charakterystyczna dla Galii Narbońskiej, podbitej przez Rzym. Scena, w której Galowie, wybierając wodzów, wrzucają kamienie czy też piłki do przezroczystych urn, jest również reżyserską fantazją. W podobny sposób głosowano w Rzymie. Galowie nie byli aż takimi formalistami i najprawdopodobniej obwoływano tam urzędników przez aklamację, choć oczywiście obowiązywały u nich reguły czasu obrad, miejsca i kworum.

Kwestia rzymskiego pancerza użytego w filmie – czyli lorica segmentata – będzie mierzić bardziej wielbicieli dziejów armii rzymskiej niż historyków w ogóle. Pancerz ów charakterystyczny jest dla okresu cesarstwa. W czasie podboju republiki królowała bowiem lorica hamata, czyli po prostu kolczuga.

Karykaturalni są w filmie kupieni przez Rzym Germanie. Wszyscy jak jeden mąż są rudzi, wręcz czerwonowłosi. Aby wydać się straszniejsi, milczą. Ich wódz, w domyśle ma to być Ariowist, jako jedyny z filmowych wojów nosi straszną bliznę przecinającą twarz w poprzek. Francuskie strachy i resentymenty przyjmują nieraz śmieszną postać.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY W KATEGORIACH:

STRAŻNIK PAMIĘCI

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

ZAPRASZAMY
DO ZGŁASZANIA KANDYDATÓW
STRAZNIKPAMIECI@DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

PZU

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Grupa Inwest

HM Inwest S.A.

eprasa.pl 4f09b4a2df

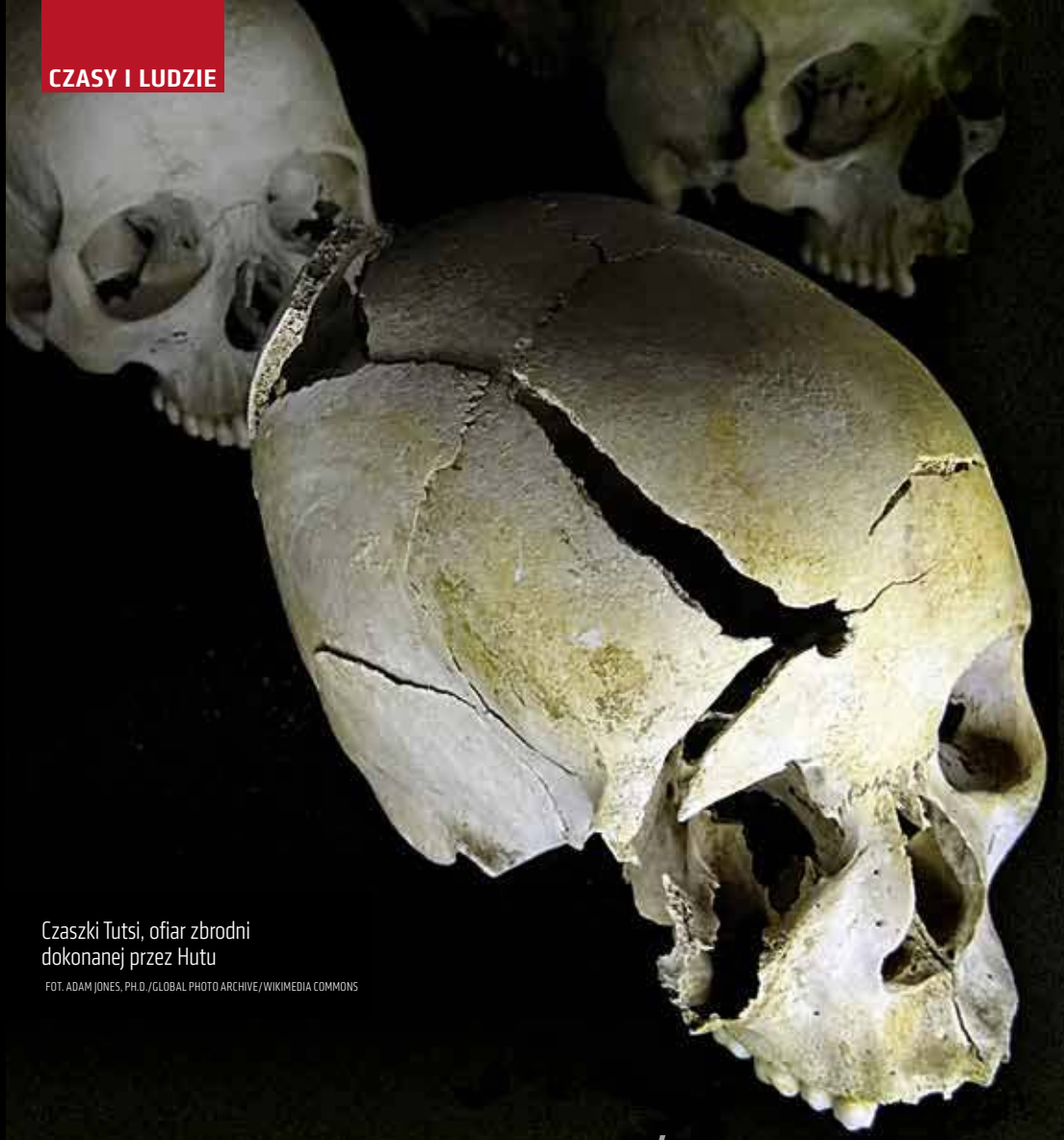

Czaszki Tutsi, ofiar zbrodni dokonanej przez Hutu

FOT. ADAM JONES, PH.D./GLOBAL PHOTO ARCHIVE/WIKIMEDIA COMMONS

1943–1994 / Wołyń jak Rwanda

Sezon maczet i sezon siekier

Piotr Zychowicz

Bestialskie ludobójstwo w Rwandzie do złudzenia przypomina gehennę Polaków z Wołynia. Podobieństwa są uderzające

eprasa.pl 4f09b4a2df

W 2016 r. prof. Grzegorz Motyka – jeden z najwybitniejszych znawców relacji polsko-ukraińskich – wydał nowatorską książkę „Wołyń '43". Historyk przedstawił w niej interesującą tezę. Według niego UPA była ukraińskim odpowiednikiem chorwackich ustaszy. A rzeź polskiej ludności Wołynia dokonana w 1943 r. przypominała antyserbskie czystki etniczne przeprowadzone przez przedstawicieli tej formacji na terenie Bałkanów.

Wiele spostrzeżeń profesora było bez wątpienia trafnych, ale ja chciałbym zaproponować inną analogię. Wydaje się bowiem, że ze wszystkich aktów ludobójstwa dokonanych w XX w. tragedię Wołynia najbardziej przypomina tragedia Rwandy. Bestialskie ludobójstwo członków plemienia Tutsi dokonane w 1994 r. przez ich sąsiadów z plemienia Hutu.

Swoją tezę postaram się obronić, opierając się na jednej z najbardziej wstrząsających książek dotyczących wydarzeń sprzed blisko 30 lat. Mowa o reportażu „Sezon maczet" francuskiego dziennikarza Jeana Hatzfelda (wyd. Czarne). Książki ta została oparta na przeprowadzonych przez autora rozmowach ze sprawcami. Mordercami Hutu, którzy odsiadywali wyroki za udział w rzezi.

Dzięki ich relacjom możemy poznać nie tylko kulisy i organizację afrykańskiego ludobójstwa, lecz także motywy, którymi kierowali się zabójcy. Analogie z Wołyniem są doprawdy uderzające.

Miejsce akcji

Akcja „Sezonu maczet" rozgrywa się w biednej, rolniczej prowincji Nyamata. W miejscu tym od lat żyli obok siebie chłopi z obu plemion. Tutsi i Hutu pomagali sobie podczas prac polowych, odwiedzali się w domach, grali razem w piłkę nożną, razem chodzili do kościoła i razem pili wyskokowy napój ze sfermentowanych bananów.

Wszyscy rozmówcy Jeana Hatzfelda podkreślali zgodnie, że nie mieli z Tutsi poważniejszych osobistych zatargów. Współżycie obu plemion układało się zgodnie. Brzmi znajomo? Oczywiście, ten sam motyw przewija się jak mantra we wspomnieniach mieszkańców Wołynia. Miejscowi Polacy z Ukraińcami również

JEAN HATZFELD
„SEZON MACZET"
CZARNE

żyli na przyjacielskiej stopie. Niestety, do czasu.

Sielanka panująca w prowincji Nyamata była bowiem tylko pozorem. Podskórnie w społeczności Hutu narastała nienawiść. Co ciekawe – i tu kolejne podobieństwo do Wołynia – nie miała ona wymiaru plemiennego, ale… klasowy. Otóż Hutu postrzegali Tutsi jako lepiej sytuowanych i uprzywilejowanych.

Była to spuścizna starych czasów, gdy Rwandą rządzili mwami, czyli królowie Tutsi wspierani przez arystokrację tego plemienia. Wówczas rzeczywiście Tutsi mieli mocniejszą pozycję. Otrzymywali większe nadziały ziemi. W swoich gospodarstwach zatrudniali parobków Hutu, co wywoływało napięcia i konflikty.

Podsycały je belgijskie władze kolonialne, które uważały Tutsi za bardziej inteligentnych i „wyższych rasowo". A co za tym idzie, opierały na nich swoją administrację. Tutsi byli jednak w Rwandzie mniejszością. Stanowili ok. 15 proc. społeczeństwa. Ich wioski były wyspami w morzu Hutu.

Ostatni król Tutsi – Mutara Rudahigwa – ustąpił z tronu w 1959 r. Wielki bunt chłopów Hutu obalił rządy arystokracji. Doszło do pierwszych zabójstw Tutsi. Setki tysięcy z nich musiały uciekać z kraju. Hutu przejęli kontrolę nad Rwandą.

Przedstawiciele tego plemienia czuli się jednak nadal ekonomicznie upośledzeni. Jak mówił jeden z (anty)bohaterów „Sezonu maczet", wieczorami rozpamiętywali prawdziwe (i urojone) upokorzenia, jakich zaznali od Tutsi. Zazdrosnym okiem patrzyli na ich dorodne krowy, duże parcele i piękne, smukłe żony. Wszystko to – zdaniem Hutu – było spuścizną dominacji Tutsi za czasów mwami.

Trudno nie dostrzec analogii z Wołyniem. W II RP Polacy stanowili niewielki odsetek mieszkańców tego województwa (niecałe 17 proc.), ale byli faworyzowani przez władze. Zajmowali niemal wszystkie wyższe państwowe posady, w trakcie reformy rolnej otrzymywali większe i lepsze nadziały ziemi. W efekcie polskie wsie i obejścia były z reguły zasobniejsze niż ukraińskie. To również wzbudzało poczucie krzywdy, zazdrość i zawiść.

W obu miejscach – w Rwandzie i na Wołyniu – te negatywne uczucia pewnie rozeszłyby się po kościach i nie spowodowały rozlewu krwi na wielką skalę. Niestety pojawiły się potężne, radykalne siły polityczne, którym zależało na ich rozdmuchaniu. I doprowadzeniu do czystek etnicznych.

Na Wołyniu były to Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów i jej zbrojne ramię Ukraińska Powstańcza Armia. W Rwandzie były to szowinistyczny rząd Hutu i wierne mu bojówki interahamwe. OUN/UPA marzyła o Ukrainie „czystej jak łza" – czyli pozbawionej Polaków – a rząd Hutu marzył o czystej rasowo Rwandzie. Bez Tutsi.

Znajdujący się na emigracji w Ugandzie Tutsi nie dawali tymczasem za wygraną. Założyli partyzancką organizację Rwandyjski Front Patriotyczny i w 1990 r. podjęli otwartą walkę o władzę. Radykalni przywódcy Hutu uznali, że jest to świetna okazja do rozprawienia się z całą społecznością Tutsi. Jeżeli „usuniemy" tych ludzi – rozumowali – to Rwanda będzie nasza na zawsze.

Dokładnie takie samo było rozumowanie przywódców OUN, którzy bali się, że emigracyjny polski rząd w Londynie po wojnie skłoni aliantów do przyznania Wołynia Rzeczypospolitej. Gdy na Wołyniu nie będzie już polskiej ludności – przekonywali nacjonaliści – polskie „roszczenia" staną się bezzasadne i ziemia ta przypadnie Ukrainie.

Ludobójstwo na Wołyniu poprzedziła kampania nienawiści wymierzona przeciwko Polakom. Nacjonaliści przez wiele miesięcy nastawiali ukraińskich chłopów przeciwko polskim sąsiadom. Prowadzili radykalizujące pogadanki, chodzili po wsiach, śpiewając antypolskie pieśni i wznosząc okrzyki: „Smert' Lachom!". Jeden z popularnych wierszyków głosił:

Lach, Żyd i sobaka,
wse wira odnaka.

W ten sposób banderowcy szykowali grunt pod ludobójstwo.

To samo działo się w Rwandzie. Radykałowie Hutu od początku lat 90. sączyli do umysłów Hutu nienawiść wobec Tutsi. Pisali wymierzone w nich elaboraty i piosenki, uprawiali szeptaną propagandę, na antenie Radia Rwanda Tutsi nazywani byli „karaluchami", których należy wyniszczyć.

Twierdzono, że Tutsi są nie tylko wyniośli i aroganccy, lecz także, że

eprasa.pl 4f09b4a2df

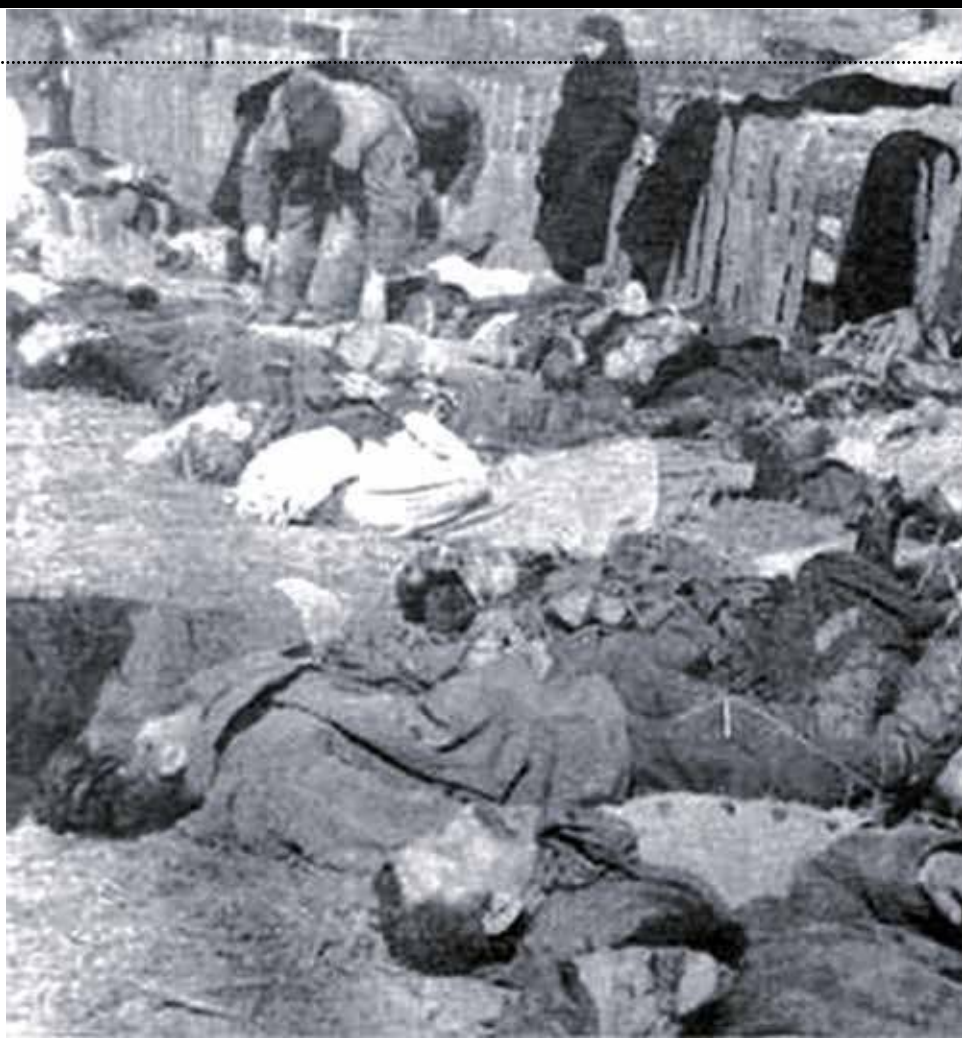

plują jadem. Że mają rozdwojone języki, ogony i szpiczaste uszy. Że są zwierzętami, potworami. „W tym kraju nie ma dość ziemi dla dwóch grup etnicznych – powtarzały rządowe mass media – więc Hutu muszą coś z tym zrobić".

Powstało nawet „Dziesięć Przykazań Hutu", w których znalazły się wezwania do zgładzenia Tutsi. Przykazania te przypominały słynny Dekalog Ukraińskiego Nacjonalisty z przełomu lat 20. i 30. Dokument zawierający m.in. następujące wezwanie: „Nie zawahasz się spełnić największej zbrodni, kiedy tego wymaga dobro sprawy".

Ludobójstwo

Nastroje społeczne w Rwandzie zostały doprowadzone do wrzenia. Wystarczyła iskra, żeby doszło do eksplozji. Tą iskrą okazało się zestrzelenie samolotu prezydenta Juvénala Habyarimany 6 kwietnia 1994 r. Maszyna została trafiona rakietą ziemia-powietrze, gdy podchodziła do lądowania na lotnisku w Kigali.

Do dziś nie wiadomo, kto zamordował głowę państwa – rebelianci Tutsi czy radykałowie Hutu. Kluczowe jest to, że o zamach zostali posądzeni ci pierwsi i bojówki interahamwe jeszcze tej samej nocy przystąpiły do wyżynania Tutsi. Fala przemocy narastała z każdą godziną i rozlewała się na cały kraj. Nie było to jednak spontaniczne. Wszystko zostało zaplanowane na szczytach władzy. Rozkazy szły z góry.

W prowincji Nyamata rzeź wyglądała dokładnie tak jak na Wołyniu. Przedstawiciele władz Hutu i bojówkarze interahamwe odegrali tylko rolę inicjującą, organizacyjną. Samo ludobójstwo przeprowadzili jednak miejscowi chłopi. Rolnicy Hutu mieszkający obok pasterzy Tutsi. Sąsiedzi. Zwykli ludzie.

Nakazywano im zbierać się co rano w miejscach zbiórek. Stamtąd watahy zabójców – kierowane przez kilku–kilkunastu interahamwe uzbrojonych w broń palną – ruszały na polowanie. Ponieważ miejscowi Hutu byli rolnikami, na „akcję" brali narzędzia rolnicze. Widły, noże, drągi, ale przede wszystkim ostre jak brzytwa maczety.

Watachy te były odpowiednikiem wołyńskich siekierników. Ukraińskich chłopów mobilizowanych przez UPA i pędzonych do ataku na polskie wioski. O ile na Wołyniu podstawowym narzędziem ludzi żyjących z roli była siekiera, o tyle w Rwandzie – maczeta.

Rwandyjczyk jest od dzieciństwa oswojony z maczetą – mówił jeden z bohaterów książki Hatzfelda. – Każdego ranka bierzemy maczetę w dłoń. Ścinamy sorgo, przycinamy bananowce, karczujemy liany, zabijamy kurczaki. Żelazu jest obojętne czy używasz go, żeby ściąć gałąź, zwierzę czy człowieka.

Oddajmy teraz głos mordercom:

Na placu targowym zobaczyłem mężczyznę, który biegł w moją stronę. Zbiegał ze zbocza Kayumba, był prawie bez tchu, bardzo wystraszony, uciekał w panice i nawet mnie nie dostrzegł. Gdy mnie mijał, zadałem mu cios maczetą w szyję, dokładnie w tętnicę. To przyszło całkiem zwyczajnie, o niczym nie myślałem. Łatwo było trafić, bo ten pan się nie bronił. Upadł bez krzyku, bez jęku.

Niektórzy bardzo maltretowali ludzi, bo zabili zbyt wielu. Zasmakowali w rzeziach. Musieli się odurzać, jak ktoś, kto potrzebuje coraz mocniejszych trunków. Chcieli rozkoszować się każdym uderzeniem i słyszeć krzyki.

Nikt nie oszczędzał niemowląt. Zabijało się je o ściany i drzewa Albi od razu ścinało. Słyszałem, że w kościele w Nyamacie polewano dzieci benzyną i palono. Może to prawda.

Upadł przede mną. Wbiłem mu iukotę w plecy. Wyostrzony brzeszczot do zabijania bydła, który wziąłem rano.

Natknąłem się na dwójkę dzieci siedzących w kącie domu. Siedziały cicho jak mysz. Kazałem im wyjść. Wstały, chciały pokazać, że są grzeczne. Przystanąłem, dwa razy strzeliłem im w plecy. To było dla mnie ciekawe, zobaczyć, jak te dzieci upadają bezgłośnie. To wyglądało nawet zabawnie.

Gdy chwytaliśmy Tutsi na bagnach, nie widzieliśmy już w nich ludzi. To znaczy ludzi podobnych do nas, którzy dzielą te same myśli i uczucia. To było dzikie polowanie, myśliwi byli dzicy, zwierzyna była dzika, umysły ogarniało zdziczenie. Staliśmy się jakimś drapieżnym gatunkiem w barbarzyńskim świecie. Ja sam nie rozpoznaję się w tym człowieku.

To szatan popchnął nas do tego.

Po sąsiedzku

Te wstrząsające opisy dla każdego, kto czytał opisy mordów na Wołyniu, brzmią znajomo. Tak, to się odbyło dokładnie tak samo. I – dokładnie tak jak na Wołyniu – sposobem wciągnięcia zwykłych chłopów do ludobójstwa była obietnica zysków

eprasa.pl 4f09b4a2df

Ciała Polaków zamordowanych przez Ukraińską Powstańczą Armię, Lipniki, Wołyń, 1943 r.

FOT. WIKIPEDIA

materialnych. Przejęcia trzody, ziemi i narzędzi należących do sąsiadów Tutsi.

Po wymordowaniu każdej wioski zabójcy Hutu przystępowali do plądrowania domów Tutsi. Jak ujął to jeden z nich: „Rano było zabijanie, wieczorem plądrowanie".

Zabierano krowy, ubrania, magnetofony, wiadra, materace i garnki. Z dachów zdzierano bezcenne w Rwandzie arkusze blachy. Motywem zabójców z prowincji Nyamata była więc nie tyle rasowa niechęć – której nie odczuwali – ile zwykła ludzka chciwość.

Jeden ze świadków mówił, że wieczorami ze spacyfikowanych okolic i wiosek wychodziły długie kolumny „ludzkich mrówek". Każda z nich dźwigała na plecach dobytek zgładzonych Tutsi. Dobytek ten stał się przedmiotem obsesji.

„Po pracy liczyliśmy zyski – relacjonował jeden z zabójców. – Pieniądze, które Tutsi, umierając, próbowali zabrać ze sobą schowane pod ubraniem. Pieniądze tych, którzy dobrowolnie je oddawali, z nadzieją, że nie będą cierpieć. Pieniądze otrzymywane w drodze powrotnej za blachy czy sprzęty, które mogliśmy od razu sprzedać. Chowaliśmy w kieszeniach rulony banknotów".

Biedacy, którzy wcześniej nie mieli niczego – tłumaczył jeden ze świadków – nagle stawali się właścicielami blaszanego dachu, ubrań, kuchennych sprzętów. Czasami nawet opuszczonej parceli. Dobrobyt był na wyciągnięcie ręki.

Gdy pierwsze fale morderców kończyły plądrować domy Tutsi, na miejsce zbiegały się kobiety Hutu. Grzebały one w dobytku pomordowanych, w zakrwawionych ubraniach ofiar – szukając gorączkowo przedmiotów, które przegapili mężczyźni. Jeżeli znajdowały żyjących, rannych Tutsi, to wykazywały się nie mniejszym okrucieństwem niż mężczyźni. Dobijały ich przy użyciu kamieni lub narzędzi.

Podczas masakr z ust kobiet Hutu wypływało wiele słów zazdrości – mówił w rozmowie z francuskim dziennikarzem jeden ze sprawców. – Za sprawą uporczywych plotek o smukłych sylwetkach Tutsi, o tym, że mają gładką skórę, bo piją mleko. Kiedy zazdrosne kobiety zaskoczyły jakąś Tutsi szperającą w zaroślach w poszukiwaniu żywności, wołały sąsiadki, by z niej drwić, gdy pełzała w łachmanach. Znamy przypadki, gdy kobiety schwytały sąsiadkę, sprowadziły nad rzekę Nyabarongo, by wspólnymi siłami wrzucić ją do wody.

W ten sposób w ludobójstwo wciągane były całe społeczności. Nawet dzieci, które tropiły uciekających Tutsi i wskazywały zabójcom ich kryjówki. W skrajnych przypadkach zdarzało się, że naśladując dorosłych, dzieci… mordowały dzieci.

Po dokonaniu mordów i grabieży z reguły następowały ciągnące się do późnych godzin nocnych alkoholowe libacje. Prawdziwe bachanalie. Zjadano mięso zdobycznych krów, pito na umór. Zabójcy w ten sposób święcili swoje „triumfy" i zapijali wyrzuty sumienia. Zupełnie jak na Wołyniu w 1943 r.

Przedtem, kiedy wracaliśmy z pól – mówił jeden z uczestników rzezi – zdarzało się, że w garnkach nie było prawie nic. Najwyżej trochę fasoli, a czasem tylko papka z manioku. Kiedy wracaliśmy z bagien, rzucaliśmy się na pieczone kurczaki, krowie udźce, trunki, by wynagrodzić sobie trudy. Kozie szaszłyki i papierosy.

Francuski reportażysta zwraca uwagę, że mordowanie odbywało się „w rytmie sezonowych prac". I zabójcy z czasem zaczęli je traktować jako odpowiednik swojego dotychczasowego, codziennego znoju na roli. „Zabijanie było bardziej brutalnym zajęciem – sezonowych przyznawał jeden z Hutu – ale przynosiło więcej korzyści".

Kolejne podobieństwa z Wołyniem – rolnik Hutu, który odmawiał udziału w orgii mordów, sam narażał się na niebezpieczeństwo. W przypadku mieszanych małżeństw zdarzało się, że mąż Hutu – aby uniknąć śmierci – musiał na oczach żądnej krwi gawiedzi zamordować własną żonę Tutsi i własne dzieci.

W prowincji Nyamata do jednego z najbardziej bestialskich masowych mordów doszło w kościele w N'taramie. Hutu wdarli się do świątyni i wyrżnęli Tutsi, którzy ukryli się wewnątrz. W ten sposób powtórzyła się scena z „krwawej niedzieli" 11 lipca 1943 r., gdy bojówkarze UPA zmasakrowali Polaków w kościele w Kisielinie.

Według Jeana Hatzfelda ludobójstwo w Rwandzie było typowym ludobójstwem sąsiedzkim. Tutsi i Hutu niczym się od siebie nie różnili. Byli tacy sami. Sprawcy doskonale jednak wiedzieli kogo mordować ponieważ znali swoje ofiary osobiście. Żyli z nimi w jednych miejscowościach. Współpracowali, często się nawet przyjaźnili.

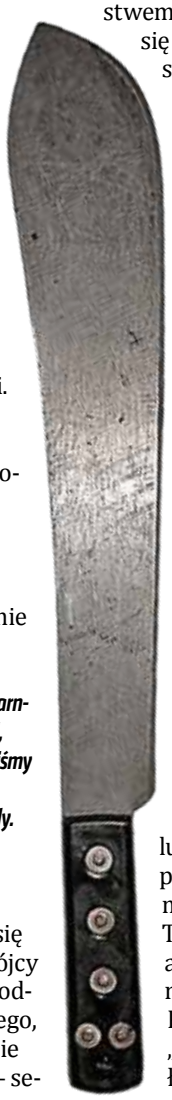

Ta wiejska społeczność – pisał Hatzfeld – która nie zna maszyn i nowoczesnych technik uprawy, nie zrobiła niczego, by jakoś zmodernizować sposoby zabijania. Nie stosowano żadnych przemysłowych rozwiązań jak komory gazowe, żadnych naukowych, medycznych, antropologicznych eksperymentów.

Ludobójstwo Tutsi jest więc zarazem ludobójstwem po sąsiedzku, jak ludobójstwem wiejskim. Niemniej, mimo prostej organizacji i prymitywnych narzędzi okazało się niezwykle skuteczne. Osiągnięta wydajność znacznie przekroczyła wyniku uzyskane podczas ludobójca Żydów i Cyganów, jako że w trzy miesiące zabito ok. 800 tys. Tutsi".

Oczywiście banderowskie ludobójstwo z 1943 r. zostało przeprowadzone na znacznie mniejszą skalę niż ludobójstwo Tutsi. Pozostałą część cytatu z Jeana Hatzfelda mogłaby się jednak równie dobrze odnosić do gehenny Polaków. Wystarczy tylko słowo „Rwanda" zastąpić słowem „Wołyń".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

1946 r. / Fałszerstwo 3 x tak w Polsce

Czekista w Polsce

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Mikołaj Iwanow

Pułkownik Aron Pałkin został oddelegowany do Polski. Zadanie: sfałszować referendum

Imię Arona Pałkina nie mówi dziś niczego współczesnym Polakom. Człowiek ten jednak odegrał w polskiej historii wyjątkowo złowieszczą rolę, mimo że przebywał na polskim terytorium bardzo krótko. Po raz pierwszy od 22 czerwca do 27 sierpnia 1946 r., po raz drugi od 10 do 30 stycznia 1947 r.

Aron Moiseewicz Pałkin urodził się na terenie tzw. dalszych kresów polskich w Rzeczycy na południu guberni mińskiej w 1903 r. Pochodził z biednej rodziny żydowskiej. Jego późniejszą błyskotliwą karierę w NKWD częściowo można wytłumaczyć nadzwyczajnymi zdolnościami drukarskimi. Rozwinął je za czasów caratu, a za bolszewików został czołowym drukarzem w wielkiej drukarni Polespieczat w Homlu na Białorusi, jednocześnie piastując tam posadę sekretarza organizacji partyjnej. Do NKWD trafił w 1937 r., kiedy trwała w niej czystka. Za rok ludzi Nikołaja Jeżowa, do których mógł się zaliczyć także Pałkin, czekała nowa czystka. Pałkin jednak ocalał, a nawet awansował, gdyż okazał się niezastąpionym fałszerzem.

Stworzył w NKWD tzw. samodzielny wydział D, zajmował się podróbką dokumentów różnego rodzaju, wyrabianiem paszportów obcych państw, fachowym podrabianiem podpisów, pieczątek itp. Z czasem wydział ten znacznie poszerzył zakres swej działalności i zaczął specjalizować się głównie w fałszowaniu powszechnych głosowań w wyborach różnego szczebla.

Postępy kariery Arona Pałkina w NKWD były po prostu zdumiewające. Rok 1938: awans na majora, jesienią 1940 r. na podpułkownika, w lutym 1941 r. – z rozkazu szefa NKWD Ławrientija Berii – awans na pułkownika. Podczas toczącej się wojny z III Rzeszą tak unikatowy fachowiec był po prostu niezbędny w sowieckich służbach specjalnych. Jeszcze bardziej te wyjątkowe kwalifikacje Pałkina okazały się przydatne tuż po wojnie w procesie sowietyzacji Polski.

Stalin doskonale wiedział, że dopuszczenie do wolnych wyborów w Polsce będzie oznaczać klęskę komunistów. Idea przeprowadzenia referendum zamiast wyborów parla-

eprasa.pl 4f09b4a2df

mentarnych spodobała się Stalinowi. Na jego biurko trafił 9 kwietnia 1946 r. szczegółowy plan przeprowadzenia referendum, pióra głównego sowieckiego doradcy w Polsce do spraw bezpieczeństwa państwowego – płk. Siemiona Dawydowa. Taka próbka wyborcza – proponował Dawydow – może stać się swoistym „papierkiem lakmusowym" wskazującym na rzeczywiste poparcie dla partii politycznych w Polsce. Dawydow również zasugerował, że Gomułka z Bierutem patrzą na zaproponowane referendum jak na realną próbę sil, chcą w ten sposób zdemoralizować opozycję i osłabić ją przed następnymi wyborami do parlamentu. Stalin zasugerował, aby to nie PPR, lecz inna partia z koalicji rządzącej TRJN wystąpiła z ideą przeprowadzenia referendum. Tak się stało. Wystąpiła PPS. Sformułowano trzy pytania:

Czy jesteś za zniesieniem Senatu?

Czy chcesz utrwalenia w przyszłej Konstytucji ustroju gospodarczego, zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?

Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic Państwa Polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?

Pytania zostały ułożone w taki sposób, że nawet częściowo pozytywny wynik miał stworzyć wrażenie poparcia większości narodu dla TRJN na czele z komunistami. Pisał o tym Dawydow w raporcie z 14 czerwca dla swego szefa gen. Wiktora Abakumowa, który natychmiast przekazał to Stalinowi. Na Kremlu jednak zadecydowano, że ryzyko porażki referendalnej nawet przy tak niewinnych pytaniach jest zbyt wysokie.

Bratnia pomoc

Postanowiono więc sfałszować wybory tak, aby przewaga PPR i jej sojuszników wyglądała dostatecznie przekonywająco. Na Kremlu oceniono, że bez pomocy sowieckich służb specjalnych polscy komuniści nie będą w stanie tego zrobić. Natomiast NKWD, przemianowane w 1945 r. w MGB (Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego), miało ogromne doświadczenie. Fałszowano na szeroką skalę wyniki wyborów w 1939 r. do tzw. Zgromadzeń Ludowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi po IV podziale II Rzeczypospolitej, powszechne wybory na Litwie, Łotwie i Estonii latem 1940 r. Zapewniono prawie 100-procentowe poparcie dla inkorporacji Mołdawii i Bukowiny do Związku Sowieckiego w 1940 r.

Aron Pałkin FOT. ARCHIWUM

Operację „Referendum" postanowiono przeprowadzić pod kierownictwem Szefa MGB Wiktora Abakumowa, a on na czele grupy 15 doświadczonych czekistów postawił płk. Pałkina. Plan wygrania referendum przewidywał przeprowadzenie kampanii agitacyjnej na szeroką skalę na etapie przygotowawczym do głosowania. Agresywna i krzykliwa kampania propagandowa, nawoływała do głosowania trzy razy tak. Do komisji wyborczych wprowadzono wielu agentów i zaufanych ludzi nowej władzy. 90 osób już nominowanych do pracy w tych komisjach oskarżono o współpracę z podziemiem niepodległościowym i wykluczono z ich składu.

Pilnie przestrzegano zasady: „Wybory wygrywa nie ten, kto ma większość, ale ten, kto liczy głosy". W Centralnej Komisji Wyborczej, składającej się z 22 osób, dziewięć reprezentowało PPR, cztery – PPS, dziewięć było bezpartyjnych (wszyscy lojalni wobec nowej władzy). W komisjach okręgowych na 145 członków 39 reprezentowało PPR, 33 – PPS, 23 – SL, 20 – SD, 7 – PSL, 11 – SP i 12 było bezpartyjnych.

Główna siła opozycyjna – Polskie Stronnictwo Ludowe pod kierownictwem Stanisława Mikołajczyka – wezwała do głosowania „Nie" na pierwsze pytanie i „Tak" na dwa następne. Było to stanowisko kompromisowe, oparte na przekonaniu Mikołajczyka, że powszechne „Nie" na pierwsze pytanie zademonstruje zarówno polskim komunistom, jak i Moskwie prawdziwe nastroje w społeczeństwie polskim i zmusi Stalina do cofnięcia poparcia dla PPR i do zgody na utworzenie rządu niekomunistycznego, ale przyjaznego wobec ZSRS. W warunkach powszechnego terroru UB wobec lokalnych struktur jego partii i krzykliwej anty-PSL-owskiej propagandy było to naiwne.

MGB postawił na zdradę wiceprzewodniczącego PSL Tadeusza Reka, z którym UB nawiązało tajną współpracę. Zaproponowano mu udział we władzach nowej Polski w zamian za doprowadzenie do rozłamu w PSL. Jak informował Moskwę w swym raporcie Siemion Dawydow, do rozłamu doszło na posiedzeniu Rady Naczelnej PSL 26–27 maja 1946 r. Usunięcie Tadeusza Reka i jego ludzi (Edward Bertold, Bronisław Drzewiecki i Kazimierz Iwanowski) z partii 14 czerwca już niczego nie mogło zmienić. Rozłamowcy założyli nową partię PSL „Nowe Wyzwolenie", która natychmiast zaczęła działać na rzecz głosowania „3 razy TAK". Dawydow uznał to za „ważny krok" ku izolacji grupy Mikołajczyka.

Prawdopodobnie w rozpaczy Mikołajczyk sięgnął po broń ostateczną – zaapelował do „tajnego dyrygenta" wydarzeń wokół PSL, ambasadora ZSRS Wiktora Lebiediewa. Spotkali się w przeddzień referendum. Wydawało się, że argumenty lidera największej polskiej partii politycznej dotarły do sowieckiego przedstawiciela i że pojawiła się szansa na kompromis z polskimi komunistami. Była to

Tablice propagandowe przed referendum FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 4f09b4a2df

jednak kolejna iluzja lidera ludowców. Kłamliwe zapewnienia Lebiediewa miały tylko uspokoić Mikołajczyka przed referendum.

NKWD w akcji

We wspólnym dziele sowieckich czekistów i polskich komunistów pierwsi odgrywali rolę kluczową. Pałkin przybył do Warszawy dwa tygodnie przed referendum. 20 czerwca w gabinecie Bolesława Bieruta zorganizowano naradę z udziałem Pałkina i głównego doradcy sowieckiego przy UB Siemiona Dawydowa. Plan polegał na fałszowaniu wyników na etapie pracy komisji wyborczych. Według Pałkina Centralna Komisja Wyborcza miała otrzymać już sfałszowane protokoły i jedynie je zatwierdzić. 22 czerwca w te plany został wtajemniczony Władysław Gomułka, który nie zgłosił sprzeciwu wobec ich realizacji. Plan Pałkina został zatwierdzony na kolejnej ścisle tajnej naradzie w KC PPR z udziałem czterech osób: Gomułki, Bieruta, Dawydowa i Pałkina.

Ludzie szefa UB Stanisława Radkiewicza mieli w największej tajemnicy dostarczać już sprawdzone i podpisane protokoły lokalnych komisji wyborczych ludziom Pałkina, a ci mieli je podrabiać w sposób profesjonalny.

Piętnastoosobowa grupa Pałkina przybyła do Warszawy 25 czerwca. W ścisle tajnym raporcie o przeprowadzeniu tej operacji adresowanym do Stalina Wiktor Abakumow informował, że podczas liczenia głosów ludzie Pałkina na nowo przepisali 5994 protokoły wyborcze, podrobiono ponad 40 tys. podpisów członków komisji wyborczych. Zaufani ubecy dostarczali sowieckim czekistom wypełnione protokoły ze wskazaniem, jakich zmian potrzeba. Aby wyniki referendum wyglądały przekonywająco, nie wolno było przesadzać w fałszerstwach. W raporcie Abakumowa nr 1443/A z 30 sierpnia 1946 r., w oryginalnych protokołach procent pozytywnych odpowiedzi na pierwsze (najbardziej kontrowersyjne) pytanie wahał się w granicach od 1 proc. do 15 proc. Na prośbę polskich towarzyszy ten procent podniesiono do poziomu 50–80 proc. Zwiększono również liczbę pozytywnych odpowiedzi na drugie i trzecie pytanie.

Sfałszowaniu referendum sprzyjały również amatorskie działania komunistów i ich zwolenników w lokalach wyborczych. Powszechnym zjawiskiem było zastraszanie głosujących, niepozwalanie skorzystania z kabin do głosowania, zrywanie ulotek opozycji. Szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego płk. Mieczysław Moczar otwarcie mówił, że „każe aresztować każdego, kto ośmieli się agitować za głosowaniem „1 raz NIE". Podobnie działały inne urzędy bezpieki w kraju.

Paradoksalnie UB w uzupełnieniu planu Pałkina wpadł na pomysł wykorzystania oporu zbrojnego podziemia niepodległościowego w celu ułatwiania fałszowania wyników referendum. Jak pisała sowiecka „Prawda", w wielu miejscowościach zagrożonych akcjami sabotażowymi zbrojnego podziemia, tam gdzie są trudności z bezpieczeństwem, urny do głosowania od razu po przeprowadzeniu głosowania wywożono w miejsca, gdzie liczenie głosów mogło odbywać się już bezpiecznie. Był to oczywiście sposób na ułatwienie falsyfikacji.

Grupa pułkownika Arona Pałkina pracowała w Warszawie do 28 sierpnia 1946 r. Uporządkowano (czyli sfałszowano) na polecenie kierownictwa PPR całą dokumentację obwodowych komisji wyborczych i Centralnej Komisji tak, aby nikt nie miał podejrzeń na temat tego, co się stało z wynikami referendum.

Ordery fałszerzom

Stalin mógł być zadowolony. Wszystko zrobiono czysto i bez zastrzeżeń. O możliwych fałszerstwach w czasie głosowania było wiadomo na długo przed referendum. Jednak opozycja (zarówno PSL, jak i opozycja nieprzejednana) poszła do urn wyborczych w przekonaniu, że wynik referendum będzie i tak niekorzystny dla władzy. Nie przewidziano natomiast skali oszustw. Na polecenie Komitetu Centralnego PSL dążono do tego, „by nasz aparat zrobił wszystko odnośnie do zebrania dowodów o nadużyciach". Do kontroli komisji wyborczych włączyli się również urzędnicy Ministerstwa Informacji i Propagandy, znajdującego się pod kontrolą PSL. Jednak nie udało się wtedy wykryć działalności grupy Pałkina. Została ujawniona dopiero po upadku Związku Sowieckiego i częściowym otwarciu byłych archiwów sowieckich.

Tuż po powrocie z Polski pułkownik Aron Pałkin otrzymał Order Czerwonego Sztandaru. Wśród innych nagrodzonych za operację fałszowania referendum byli: pułkownik inżynier Aleksej Płotnikow, podpułkownicy Leonid Nikiforow i Sergej Papkow, majorzy Paweł Fiodorow i Aleksandr Firsow, kapitanowie Nikołaj Kozyriew, Nikołaj Stepanow, Sergej Rogatkin, starsi lejtnanci Siergiej Wasiljew, Iwan Kalinin, Aleksander Rogatkin i starszy sierżant Borys Trechalin. Dekret Prezydium Rady Najwyższej Związku Sowieckiego w sprawie odznaczenia grupy oficerów MGB nie precyzuje, za co zostali oni odznaczeni. Pisze się jedynie, że było to „zadanie specjalne".

Wielkie zasługi Arona Pałkina dla sowietyzacji Polski i jego wkład w inne zbrodnicze operacje NKWD-MGB nie uratowały go jednak od kolejnej czystki. Padł ofiarą nagonki antysyjonistycznej, przeprowadzonej przez Stalina w latach 1949–1953. Aresztowano wtedy i rozstrzelano cale kierownictwo Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego, aresztowano grupę tzw. lekarzy kremlowskich, w większości Żydów. Stalin szykował się do przesiedlenia całej ludności żydowskiej na Daleki Wschód. Uratowała sowieckich Żydów jedynie śmierć dyktatora w marcu 1953 r. Arona Pałkina aresztowano w 1951 r. pod zarzutem szpiegostwa i szerzenia poglądów syjonistycznych. Skazano go na 15 lat więzienia.

Po śmierci Stalina nie został zrehabilitowany. Wyszedł na wolność w 1956 r. dzięki amnestii. Zrehabilitowano go w 1970 r., zwrócono również wczesniejsze nagrody, w tym Order Czerwonego Sztandaru za sfałszowanie polskiego referendum. Po opuszczeniu łagru i rehabilitacji Aron Pałkin przeżył długie życie sowieckiego zasłużonego rencisty. Zmarł w 1989 r. w Moskwie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI:

Enea

PGNiG

eprasa.pl 4f09b4a2df

LEO VON KLENZE „AKROPOL" OBRAZ Z XIX W. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

1840–1925 / Niesamowity żywot Zygmunta Mineyki

Z powstania pod Akropol

Marek Gałęzowski

Zygmunt Mineyko uciekł z rosyjskiego zesłania i zrobił karierę w Grecji. Jego potomek został premierem tego kraju

„Panie Zygmuncie, a jakie przyjmiesz miano w powstaniu? – Niech mi będzie Maciej Borowy, ponieważ z borów wywodzi się moja familia" – tak w literackiej formie Tadeusz Konwicki ujął w „Kompleksie polskim" moment przystąpienia do powstania styczniowego na Litwie Zygmunta Mineyki, który wkrótce na czele 40 ochotników, wywodzących się z miejscowej młodzieży szlacheckiej, zaszył się w oszmiańskich lasach. Zamierzał stamtąd wyruszyć na Moskali, rzecz jasna, nie przypuszczając nawet, że wkrótce los rzuci go w całkiem inne pejzaże.

Kosynier

Zygmunt urodził się w 1840 r. w Bałwaniszkach w parafii holszańskiej (powiat oszmiański) jako syn powstańca 1831 r., w jednej z tych licznych patriotycznych rodzin polskich, zamieszkujących ziemie północno-wschodnie dawnej Rzeczypospolitej. Ukończył gimnazjum w Wilnie i zaczął studia w Mikołajowskiej Szkole Inżynieryjnej w Petersburgu. Tam jego uczucia patriotyczne uległy jeszcze wzmocnieniu i kiedy wrócił w rodzinne strony, zaczął upowszechniać je w swoim otoczeniu, m.in. w ramach nielegalnie działającej Biblioteki Młodzieży Oszmiańskiej.

Władze zaborcze szybko dostrzegły tę aktywność, a sam Mineyko zagrożony aresztowaniem czym prędzej wyjechał do Mołdawii, gdzie grono podobnych mu rówieśników skupiło się wokół Zygmunta Miłkowskiego. Dzięki wsparciu pisarza wkrótce udał się do szkoły wojskowej we Włoszech. Po wybuchu powstania styczniowego służył u gen. Mariana Langiewicza. Kiedy to zgrupowanie powstańcze przyparte do granicy zaboru austriackiego uległo rozwiązaniu, Mineyko został aresztowany przez Austriaków, zbiegł jednak i przez terytorium pruskie via Wrocław i Królewiec, podążył na Litwę.

„Opuszczając Kraków, sądziłem, że jestem najzdolniejszym z pozostałych działaczy i odpowiednim do stania się wielkim wodzem, przekonany zaś byłem wewnętrznie, że potrafię dokonać zwycięstw. Z tą wiarą przybyłem do Wilna, mając wprzód ukuty plan moich operacji" – wspominał. Zapewne na przełomie maja i czerwca 1863 r. zaczął formować oddział, który początkowo liczył 28 ochotników. W pierwszych dniach czerwca przybyli jeszcze kolejni, tak że w chwili wymarszu do walki liczył on ok. 40 powstańców.

Młodego kandydata na wodza szczególnie niepokoił brak w oddziale kosynierów. Pokładał bowiem wielką nadzieję w skuteczność tej formacji, „co zdecydowało mnie do formowania ich na Litwie w wielkich zastępach. Wiedziałem, że tworząc kosynierów litewskich, ustalę

eprasa.pl 4f09b4a2df

nieśmiertelne zastępy i że przepędzę na cztery wiatry wszystkie siły moskiewskie, które tracąc wiarę do bagnetów, porzucą w ucieczce swoje karabiny, ażeby ułatwić takową. Kosynier trzy razy pierwej dosięgnie kosą Moskala, wprzód aniżeli on z bagnetem potrafi zbliżyć się do niego, przecinając jednym dźgnięciem śmiałka na dwie połowy".

Upływ lat, wynalazki wdrożone w czasie pierwszej wojny światowej, nie zmieniły jego wiary w decydującą moc rozstrzygania walki przez kosynierów, czemu dawał wyraz na początku lat 20. XX w.: „Do dzisiaj jeszcze, chociaż wychowaniec Szkoły Jeneralnej Sztabu w Paryżu, przywiązuję wielkie znaczenie do kosy, która w pewnych okolicznościach dałaby się zastosować do użytku, sprowadzając daleko potężniejsze znaczenie aniżeli tanki dzisiejsze, które nie na wszystkich kierunkach mogą dosięgnąć nieprzyjaciela i w mniejszym zakresie narazić go na straty. Często zaś dosłyszany dźwięk kosy jest dostateczną pobudką do umknięcia z zajmowanych pozycji".

Pierwsze dni upłynęły na szkoleniu wojskowym, po czym oddział, pod sztandarem z Orłem i Pogonią, chociaż jak wspominał dowódca, już nieco owładnięty „zarazą zwątpienia", wyruszył „kierując się w stronę Rosoliszek, do czego posiadałem plany i igłę magnetyczną zawartą w pudełku możliwym do umieszczenia w nim podczas nocy robaczka świętojańskiego dla jej oświetlenia". W pobliżu Rosoliszek okazało się, że w ślad za powstańcami podąża oddział rosyjski pod dowództwem kapitana o swojsko brzmiącym nazwisku Józefowicz. Mineyko zdecydował się urządzić zasadzkę, wśród trzęsawisk, „na wybrzeżach lasu na prawo i lewo rozciągających się od [jedynej] drożynki, ażeby ukryci poza pniakami grubych drzew nasi wyborowi strzelcy mogli krzyżowym ogniem ostrzeliwać z powodzeniem śmiałków moskiewskich".

Wkrótce nadeszło około setki rosyjskich żołnierzy, chaotycznie strzelających „Panu Bogu w okno". Powstańcy czekali, a Mineyko był pewien, „że żadnego z Moskali nie dopuszczę żywcem przedostać się poza błota i jeżeli w porę nie uciekną, to wszystkich śmiałków powystrzelają nasi żołnierze i oficerowie, złożeni z myśliwych pierwszorzędnych. Nadarzała się nam szczególniejsza gratka do odniesienia zwycięstwa, które wzmogłoby animusz nadwyrężony mojego obozu. Chciałem tylko dopuścić Moskali bliżej nas, ażeby udzielić w porę sygnał do rozpoczęcia ognia".

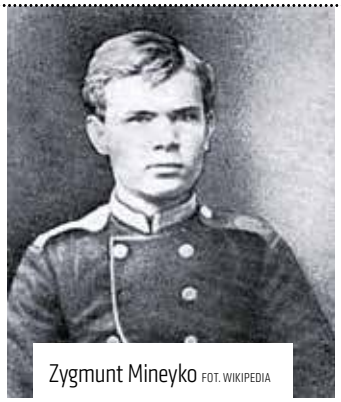
Zygmunt Mineyko FOT. WIKIPEDIA

Zanim to jednak nastąpiło, jeden z powstańców padł śmiertelnie raniony. To spowodowało, że otaczający go towarzysze rzucili się do ucieczki, krzycząc przeraźliwie, czym wprowadzili panikę wśród pozostałych powstańców. „Na próżno nawoływałem do zatrzymania się; groźby i błagania nie zostały usłuchane, zostałem odepchnięty przez swoich". Sam, z rewolwerem i pałaszem, oczekiwał ataku Rosjan, ale po chwili okazało się, że „uciekli i oni, przerażeni wrzawą i krzykiem" uciekających insurgentów. Mineyko pozostał więc sam na polu zakończonej w taki sposób potyczki, „tracąc towarzyszy i napaści nieprzyjacielskie jednocześnie [...]. Napotykałem porzucone płaszcze, okrycia, a nawet kilka strzelb, porzuconych przez uciekających dla ulżenia ciężaru".

Skazany

Noc spędził w lesie, a rankiem, pozostawiwszy pałasz w pustym dębie, ruszył do Rosoliszek, w pobliżu których zatrzymał się na odpoczynek w napotkanym domku leśnika. Ten wydał go Rosjanom. Mineyko trafił w ręce żołnierzy, którzy dzień wcześniej uciekli z pola bitwy. Związany powstaniec został przez nich pobity – „wieloliczne uderzenia po wszystkich częściach ciała, a szczególniej po głowie i twarzy, doprowadzały mnie do stanu zemdlenia. Krew toczyła się z nosa, a twarz coraz bardziej puchła".

Po przewiezieniu do Oszmiany został umieszczony w szpitalu. Jego sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Wielkorządca Litwy gen. Michaił Murawiow nakazał, by nie przewozić go do Wilna, lecz po wyzdrowieniu powiesić w Oszmianie. Decyzję tę jednak zmieniono i ostatecznie Mineyko znalazł się w Wilnie przed moskiewskim sądem po to tylko, by ten skazał go na karę śmierci – wyłącznie za epizod powstańczy na Litwie, gdyż o służbie pod Langiewiczem Rosjanie nie wiedzieli.

Zabiegi matki Zygmunta sprawiły, że wyrok ten zmieniono na 12 lat syberyjskiego zesłania. Pozwolono jej pożegnać się z synem, a wówczas wręczyła mu na drogę szkaplerz, przy okazji szepcząc, że wszyto weń sturublowy banknot. Usłyszał to asystujący wizycie naczelnik więzienia, rozpruł szkaplerz i odebrał banknot, natychmiast wypędzając też matkę i siostrę powstańca z celi. Pieniądze te jednak nie znalazły się w jego kieszeni, lecz, jak czytamy dalej we wspomnieniach Zygmunta, „100 rubli zaszyte w szkaplerzu, jakie chciała udzielić matka moja, zbiorowo zostały złożone w kasie podróżującej z nami dla mojego użytku w częściowych dozach" (tj. naczelnik konwoju wypacał mu co jakiś czas po 7 rubli, aby uniemożliwić ucieczkę).

Wkrótce wszystkich powstańców skazanych na Sybir zgromadzono w tymczasowym więzieniu. Wspominał Mineyko: „Ustroili się w ofiarowane im ubrania odświętne, mogąc być uważani raczej za zamożnych podróżujących aniżeli za nieszczęśliwych gwałtem na wygnanie i zatracenie gnanych". Pierwszy etap podróży, do Moskwy, odbywał się koleją. W wagonach zesłańcy siedzieli na ławkach, po cztery osoby. „Z wyjątkiem nieszczęśliwych braci naszych okutanych w kajdany, wszyscy Polacy mieściliśmy się w wagonach osobowych, zażywając wygody i mogąc przyglądać się przebywanym okolicom przez okna chociażby ukośnie, z powodu, że przy nich jako nieokratowanych żelazem mieścili się żandarmi".

Zginie pod ciosami bolszewików dawna Rosja, a ci stworzą system kaźni, którego okrucieństwo stosowane na skalę powszechną, nie znajdzie podobnych przykładów w dziejach carskiego samowładztwa. Może najbardziej przenikliwie oddaje tę różnicę opowieść Andrzeja Kalinina („Konie" w „I Bóg o nas zapomniał", Kraków 1998):

„W drzwiach jakaś ciemna zjawa ukazała się. Nie człowiek to był. Dobrze ja to powiedział – zjawa. Tyle że mała ona była i cienka, chociaż w najprzeróżniejsze ciuchy pookręcana. Widział ja, panie,

eprasa.pl 4f09b4a2df

Bitwa pod Velestino w 1897 r. Atak tureckiej kawalerii na grecką piechotę FOT. WIKIPEDIA

w Rosji już sporo i zadziwić mnie łatwo nie przychodziło. Ale teraz przestraszył ja się na serio. […] Ta zjawa w łachmany pookręcana, kołysząc się z nogi na nogę, szła w moją stronę. W czeluściach szmat, co całe głowe okrywali, było coś... To znaczy, źle ja powiedział. Słuchaj pan. W tej twarzy nie było wcale nosa. Tylko rana sina, ropiejąca i głęboka. Wyżej tej rany byli oczy. Duże jakieś i okrągłe i z tą raną w jeden obraz się łączyli. Nigdy przedtem twarzy ja takiej nie widział, więc stał teraz i patrzył jak oniemiały. A te oczy szli w moją stronę i szli...

Boże mój wielki. Do dzisiaj, widzisz pan, nie mogę opowiadać tego spokojnie. Te oczy dlatego byli takie wielkie, bo powiek one nie mieli. Odpadli powieki, odpadł nos mrozem syberyjskim uszkodzone. I jakby tego wszystkiego nieszczęścia całego za mało było, wargi też jakieś dziurawe byli, za którymi sterczeli dwa białe zęby. Innych nie było. […]

Więc jak panu zaznaczyłem, te oczy wielkie i niebieskie szli w moim kierunku i szli, aż zatrzymali się o jeden krok przede mną i do góry na mnie popatrzyli.

– Wy nowy do koni?

Chciał ja odpowiedzieć i nie mógł. Śliny mnie nagle zabrakło, a powieki na ten moment łzami nalecieli. Ten głos do mnie przemawiający po polsku mówił i do dziecka należał. Chryste Panie – wykrztusiłem wreszcie. Dziecko moje, skąd ty tu? Skąd ty się wziął?

Ze Lwowa.

– Z Polski?

– Tak, ze Lwowa.

– A familia twoja, znaczy rodzina, gdzie?

– Nie ma już, wywieziona. A ja nazywam się Stasiu Walczak.

– Boże wielki. Stasiu, co oni z ciebie zrobili. Za co tak? Stasiu! Boże nasz. Boże nasz. Coś wtedy we mnie urwało się. Jakaś nerwa chyba, bo jak ja panie zaczął wtedy płakać. Sam nie wiem, skąd się we mnie tyle płaczu wzięło. Rozbeczał się ja, rozszlochał. Za te podłe życie, za te katorgę, za te zmarnowane polskie dzieci, za te...".

Wracając do historii naszego bohatera, dotarłszy do Tomska, zbiegł z dwoma towarzyszami, najpierw tarantasem do Małmyża, stamtąd statkiem parowym do Kazania, następnie zaś koleją do Moskwy i Petersburga, gdzie zaopatrzywszy się w fałszywe dokumenty na nazwisko baron von Mebert, opuścił Rosję i udał się do Francji. Tam ukończył szkołę wojskową i w końcu lat 60. XIX w. wyjechał do Bułgarii, wkrótce jednak, jak się okazało – na stałe – osiadł w Grecji. Pracował m.in. jako naczelny inżynier Epiru i Tesalii. Z sukcesem zainicjował poszukiwania archeologiczne w Dodonie, gdzie odkopano ruiny miasta z dobrze zachowanym teatrem i licznymi budowlami sakralnymi. W latach 80. przebywał w tureckiej Smyrnie zatrudniony jako inżynier do regulacji rzeki Gediz.

Przodek premiera

W 1891 r. zamieszkał na stałe w Atenach, gdzie pracował w budownictwie wodnym, kierował też departamentem w Ministerstwie Robót Publicznych. W czasie wojny grecko-tureckiej o Kretę pełnił funkcję szefa sekcji topograficznej sztabu armii greckiej, a w 1910 r. uzyskał tytuł honorowego obywatela Grecji. Dwa lata później sędziwy powstaniec wziął udział w wojnie bałkańskiej i przyczynił się do zdobycia twierdzy Janiny.

Ożenił się z Greczynką, Prozerpiną Manarys. Miał trzech synów i cztery córki. Najmłodsza nosiła imiona Aldona-Safo, łącząc imię litewskich księżniczek (z których jedna była pierwszą żoną Kazimierza Wielkiego) z imieniem największej poetki starożytnej Grecji. Zofia wyszła za Georgiosa Papandreu, a jej urodzony w 1919 r. wnuk Andreas w latach 80. był premierem republiki greckiej (dodajmy, że spośród greckich szefów rządu polskie korzenie ma także aktualny premier Kiriakos Mitsotakis – wnuk Mateusza Grabowskiego, farmaceuty i oficera Wojska Polskiego, w czasie drugiej wojny światowej – Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, po wojnie przebywającego na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii). „Najpierw byłem w partii pułkownika Mineyki, ale zaraz nas rozbili Moskale" – mówił Helenie Konwickiej Eliasz, literacki bohater powieści „Bohiń" Tadeusza Konwickiego.

Eliasz przyjechał potem do Grecji i pracował w „inżynierskich rotach" swojego powstańczego dowódcy. Ten „cały czas mi mówił, jedź w nasze strony, przynajmniej ty jedź, Polska powstanie z niewoli, może właśnie czeka na wszystkich swoich rozproszonych synów, jedź, bo jesteś młody i tam potrzebny nad Wilią, nad Niemnem, może i ja przekradnę się, kiedy usłyszę znak".

Zygmunt nie doczekał się tego znaku, ale też nie „wsiąkł" jak wielu emigrantów w środowisko kraju osiedlenia, nie zerwał kontaktów z emigracją i Polską. W Turcji był prezesem Towarzystwa Weteranów Polskich. Pisał korespondencje do prasy polskiej w podzielonym kraju, m.in. z pierwszych nowożytnych Igrzysk Olimpijskich, które odbyły się w 1896 r. w Atenach. Podczas pierwszej wojny światowej postulował z najstarszym synem Stanisławem w prasie greckiej przywrócenie niepodległości Polsce.

Zygmunt Mineyko doczekał Niepodległej i możliwości odwiedzenia rodzinnych stron. Nastąpiło to w końcu 1922 r., kiedy to wraz z grupą innych weteranów powstania styczniowego dostąpił odznaczenia przez Marszałka Józefa Piłsudskiego Orderem Virtuti Militari. Wówczas też przekazał swoje znaczne zbiory numizmatyczne Uniwersytetowi Stefana Batorego w Wilnie. W następnym roku ponownie przybył do kraju, został mianowany pułkownikiem, odznaczony Krzyżem Walecznych, otrzymał też doktorat honoris causa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Był już zdecydowany wrócić na stałe do Polski. Lecz w trakcie przygotowań do podróży, 27 grudnia 1925 r. śmierć przyszła do tego, który jak inni dożywający swoich dni powstańcy 1863 r. mógł o sobie powiedzieć, że zachował w sercu „całą pełnię świętego ognia patriotyzmu, którego w sercach naszych ciężkie koleje życia i wiek sędziwy ani zgasić, ani osłabić nie zdołały".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 4f09b4a2df

Jesień w Telewizji Republika

REPUBLIKA

Piotr Lisiewicz zaprasza

WYWIAD Z CHULIGANEM

Niedziela godzina 22:00

#włączprawdę

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

III Rzesza / Dla poczucia siły rodaków i strachu wrogów

Teoria munduru

Piotr Semka

Perwersyjny urok sortów mundurowych SS i wojska wzbogacał nie tylko serial z kapitanem Klosem...

Jesienią 1945 r. zdobyte przez aliantów Niemcy przemierzały setki tysięcy byłych więźniów III Rzeszy uwolnionych z obozów koncentracyjnych. Jednym z nich był Saturnin Żórawski, popularny potem w latach PRL aktor. Na jednym z etapów swojej powrotnej drogi do kraju, w jakiejś piwiarni nad Renem, były więzień poznał przy kuflu piwa starego profesora. Żurawskiego zaciekawiło to, że naukowiec się skarżył, iż w nowej rzeczywistości stracił dotychczasowy sens życia. Wyznanie to w epoce rządów aliantów nie było zbyt bezpieczne, ale rozbitek z epoki wielkiej Rzeszy chciał się komuś wygadać. Profesor, jak się okazało, był za Hitlera jednym z twórców specjalnej teorii munduru, której naziści przyznali status osobnej gałęzi nauki. Relację Żórawskiego opisał jego znajomy Szymon Kobyliński:

„Był, okazuje się, specjalny Instytut w III Rzeszy powołany do tych właśnie zadań, gdzie ramię w ramię ślęczeli nad projektami uniformów psychologowie, plastycy, historycy i propagandziści, aby efekt ich prac spełniał zasadnicze postulaty: aby odziany w czerń lub feldgrau mężczyzna budził tyle poczucia siły wśród swoich, ile siał grozy pośród wrogów. I to da się wyliczyć, wyprowadzić barwą, skomponować na rajzbrecie. Krój sukna, kolor ogólny, z którego błyśnie ostro, niby lśnienie zbroi, srebrne obszycie czy dystynkcja, nagły akcent czerwieni, jak raptem przelana krew, wreszcie kształt stalowego hełmu, taki by był nieustępliwie posępny i złowróżbny dla przeciwnika – wszystko to składano mozolnie, cierpliwie, z chłodną zajadłością i równie lodowatą wiedzą w sumę ostateczną. W oporządzenie czyniące z każdego, kto je na siebie wciągnął, wojownika Thora, boga burzy, fachowca śmierci".

Fakt, że to właśnie Saturnin Żórawski uwiecznił monolog zdeklasowanego profesora od teorii munduru, musi poruszyć pamięć każdego miłośnika serialu „Stawka większa niż życie". W ostatnim odcinku serialu „Gruppenführer Wolf" Żórawski występuje w mundurze Standartenführera SS. Gra Ottona Fahrenwirsta – jednego z czwórki esesmanów, którzy z pierwszych liter swoich nazwisk wykreowali postać fikcyjnego Wolfa.

Perwersyjny urok mundurów III Rzeszy uatrakcyjniał nie tylko serial z kpt. Klossem, lecz także

eprasa.pl 4f09b4a2df

niezliczone filmy wojenne. Uwiecznił to w dość kontrowersyjny sposób Piotr Uklański w swojej słynnej wystawie „Naziści".

Ciekawsze jest to, że kult munduru przetrwał po wojnie o wiele mocniej w rzekomo antyfaszystowskiej NRD niż w Niemczech Zachodnich. O ile Bundeswehra włożyła nieco wysiłku, by jej mundury różniły się nieco od tych z epoki Hitlera, o tyle NRD-owska Volksarmee długo nosiła uniformy do złudzenia przypominające Wehrmacht.

Gdy w czasie jednej z defilad w Berlinie Wschodnim zapytał o to podobieństwo nieco skonsternowany gość z jednej z zachodnich partii komunistycznych, Honecker miał prostolinijnie odpowiedzieć: „To prawda, są podobne. Ale o ile tamte mundury w wypadku Wehrmachtu przynosiły hańbę, to teraz te przynoszą chlubę ludowo-demokratycznym Niemcom".

Profesor specjalista od teorii munduru, napotkany po wojnie przez Saturnina Żórawskiego, byłby pewnie zachwycony taką odpowiedzią. Kto wie, może po chwilowym załamaniu odnalazł drugie życie w jakimś instytucie NRD-owskiej Nationale Volksarmee?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

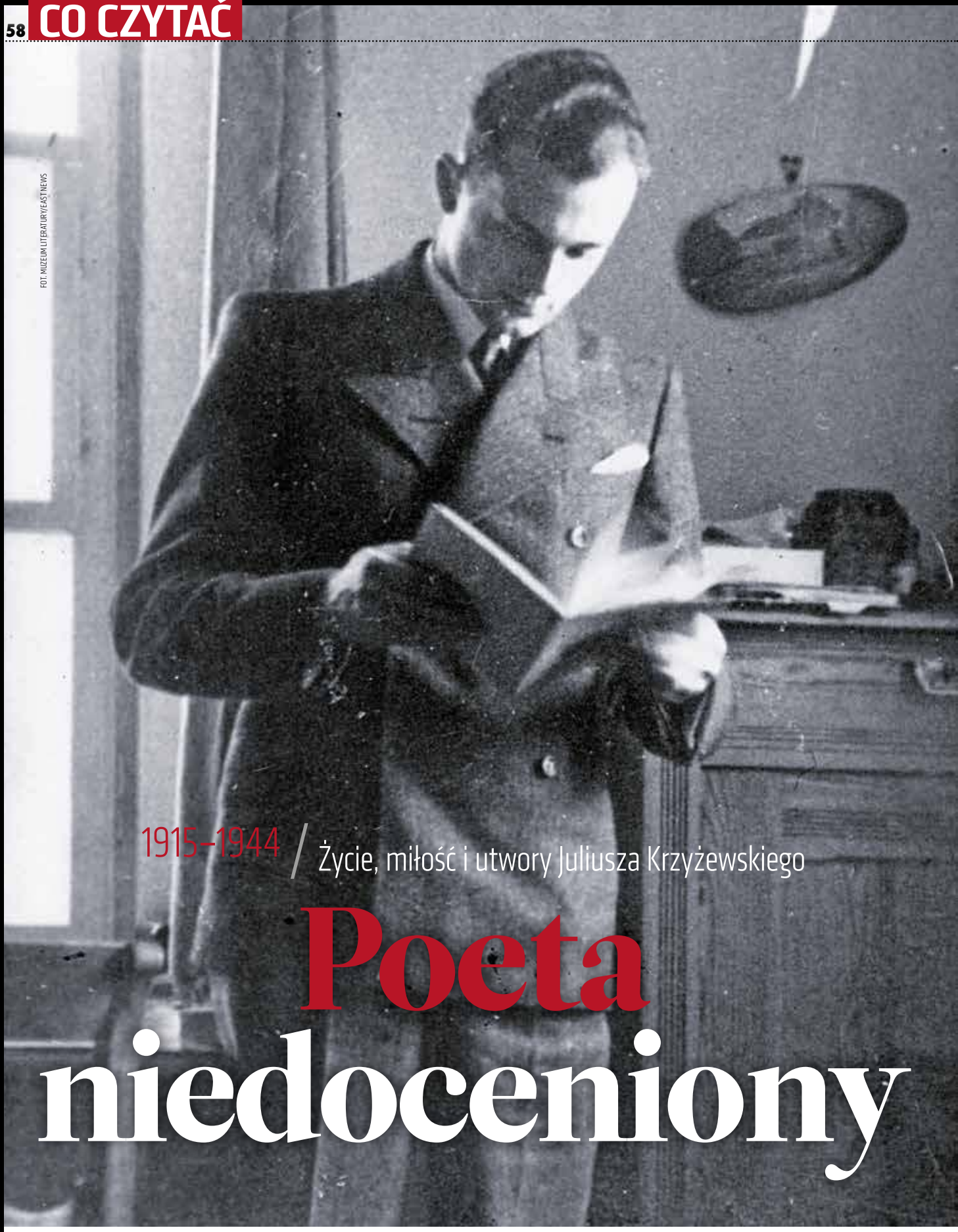

FOT. MUZEUM LITERATURY/EAST NEWS

1915–1944 / Życie, miłość i utwory Juliusza Krzyżewskiego

Poeta niedoceniony

eprasa.pl 4f09b4a2df

Krzysztof Masłoń

Kiedy zginął od kuli niemieckiego snajpera, miał za sobą 29-letnie życie i 120 wierszy. Kto je czyta? Kto słyszał o ich autorze?

Poeci Powstania Warszawskiego okryci są zasłużoną chwałą, a ich legenda z upływem czasu nie słabnie. Krzysztof Kamil Baczyński, Tadeusz Gajcy, a także wymieniani z nimi jednym tchem Wacław Bojarski, Zdzisław Stroiński i Andrzej Trzebiński wspominani są nie tylko w rocznice powstania; ich wiersze są wydawane i cytowane, wykorzystywane jako teksty piosenek, o poległych w walce poetach-bohaterach uczy się młodzież w szkołach. Stosunkowo niedawno przywrócona została pamięć o Józefie „Ziutku" Szczepańskim, autorze w latach PRL zakazanym, a wsławionym wierszem zaczynającym się od słów: „Czekamy ciebie, czerwona zarazo,/ byś wybawiła nas od czarnej śmierci…". Kto jednak pamięta o poecie poległym 26 sierpnia 1944 r. na pl. Teatralnym po 15 dniach obrony klasztoru Panien Kanoniczek przy Bielańskiej i pobliskiego kościoła pw. św. Andrzeja? Kto czyta wiersze Juliusza Krzyżewskiego?

Był nieco starszy od swoich sławniejszych kolegów z Powstania; gdy dosięgła go kula niemieckiego snajpera, miał 29 lat. W Armii Krajowej zaprzysiężony został stosunkowo późno, bo w czerwcu 1944 r. Miał pseudonim Prus, w powstaniu był zastępcą dowódcy plutonu, walczył na Woli, potem na Starym Mieście, po śmierci został odznaczony Krzyżem Walecznych. Podobno przy ekshumacji znaleziono przy nim jakieś rękopisy, nie wiadomo jednak, co się z nimi stało. Cały więc jego poetycki dorobek, zresztą niemały, bo składa się nań 120 wierzy, to utwory, które zdążył napisać wcześniej – przed wojną i podczas okupacji. A zadebiutował już w 1935 r., publikując w „Kuźni Młodych" wiersz „Słowacki". Do twórczości autora „Uspokojenia" będzie odwoływał się i potem, jak choćby w wierszu bez tytułu z kwietnia 1940 r. poprzedzonym cytatem z „Uspokojenia" właśnie:

Została jeszcze u nas kolumna
w Warszawie,
na której nie siadają wędrowne
żurawie,
spotkawszy jej liściane czoło wśród
obłoka:
Taka zda się samotna i taka wysoka!…
A dalej ze Starego Miasta malowidła
gołębie odlatując zabrały na skrzydła
i tylko porzuciły więdnące al fresco
wieńce chmur ponad Rynkiem na łuku
niebieskim.
– O, ustrój dziś, Warszawo, w ten
laur olimpijski
twoje skronie, krwawiące poprzez
bandaż Wisły,
vota gwiazd koralami nawieszaj
na ręku,
złotą klamrą księżyca pospinaj sukienkę
i blizny od pioruna odsłoń nam z obrazu,
gdy klękamy przed tobą w zachwycie na
twarzy.
[…]

Juliusz Krzyżewski, choć Warszawie poświęcił wiele utworów, urodził się w Łomży, w styczniu 1915 r. Był synem Bohdana Krzyżewskiego i Anny z Ehrenkreutzów. Ojca swojego, który też pisał wiersze, nie poznał. Matka kilka miesięcy po urodzeniu dziecka wyjechała pod Kijów, gdzie otrzymała pracę w cukrowni. Trwała wojna; ojciec Juliusza już wcześniej został wcielony do armii rosyjskiej, z której zdezerterował na wieść o utworzeniu Legionów Polskich i przez Syberię, Japonię i Stany Zjednoczone wrócił do ojczyzny. Tu o pokoju – mimo odzyskania niepodległości – nie było jednak mowy, wkrótce więc zaciągnął się do 8. Pułku Ułanów w Krakowie, z którym wyruszył na wojnę z bolszewikami. Zginął 17 maja 1919 r. na Wołyniu w szarży kawaleryjskiej 2. Dywizjonu na Ołykę. Szczegółowo opowiada o tym oraz o losach jego syna i wnuczki Jan Romuald Krzyżewski w książce „Krzyżewscy – sekrety starej skrzyni". A Bohdan Krzyżewski dożył 27 lat, zatem syn przeżył go o dwa lata. Jeszcze przed wojną napisał wiersz bez tytułu, ale z wymowną dedykacją: „Pamięci ojca". A w nim te słowa:

– Ojcze, jeśli to prawda, że umarli żyją,
to znajdziesz wieść o sobie w piersi mej zamkniętą,
a ten anioł, co z powiek mi
ulata biały,
to pewnie usta twoje, współo-
twarte słowa,
którym błogosławiłeś dzień
urodzin moich.

Szukali cię za światem, za myśli
granicą,
gdzie albo światło płonie, albo
ciemność grząska,
a ja cię odnalazłem po trudnej
wędrówce,
nim do serca mojego doszedłem,
nieświadom
cudu, który zwie się wiecznością.
Pokolenia
minione nie są tylko ruiną,
na której
zapomnienie zdziczałą pnie
się winoroślą.
Życie jest nieskończone, a ślad
jego widzę
nawet w profilu moim do nieba przypiętym,
gdy znajduję ojcowskich rysów dosko-
nałość.
[…]

Podobny do Aresa, smukły jak topola

Dzieciństwo Juliusz Krzyżewski miał niełatwe, do dorosłości dochodził też mozolnie. Matka stosunkowo wcześnie, bo na początku lat 20., oddała syna pod opiekę jego stryjostwa, Zdzisława i Eweliny Krzyżewskich. Zamieszkał z nimi najpierw w Warszawie, a następnie w Podkowie Leśnej, gdzie w podmiejskiej kolejce poznał sławnego sąsiada z niedalekiego Stawiska, Jarosława Iwaszkiewicza. Zaważyć miał on i na jego życiu, i na twórczości. Iwaszkiewicz już po śmierci młodego poety będzie go przywoływał w „Odach olimpijskich": „Oto nachodzi piękny, podobny do Aresa, smukły jak topola, Juliuszu […]".

Młodziutki adept poetyckiej sztuki uwieczni swojego mistrza co najmniej w kilku utworach, w których homoseksualne tropy są bardzo wyraźne. Ale też w „Wariacjach księżycowych" z 1944 r. wyartykułuje wprost: „Z iskry spopielonej rozniecił em ogień/ miłości zbyt zawiłej, wrogiej mi i obcej". W 1978 r. to właśnie Iwaszkiewicz napisze wstęp (posłowie było pióra Piotra Mitznera) do wydanych

eprasa.pl 4f09b4a2df

przez PIW „Poezji" Juliusza Krzyżewskiego, z której to książki wielu czytelników dopiero dowiedziało się o istnieniu tego stanowczo niedocenionego twórcy.

Później Jan Marx, jeden z nielicznych krytyków, którzy gruntownie przeanalizowali biografię i twórczość autora „Wariacji księżycowych", w eseju „Wszędzie spotka mnie śmierć z rąk miłości" napisze: „Erotyzm, zmysłowość, agresywny witalny biologizm, elementarny prainstynkt miłości znalazły w Krzyżewskim spontanicznego i wrażliwego rzecznika i piewcę. Przy czym nie zgodziłbym się tu z Iwaszkiewiczem, który sugeruje, że: »To gorączkowe poszukiwanie miłości, ten erotyzm nieuspokojony i ciągle trwożny – to chyba jest przeczucie przedwczesnej i tragicznej śmierci«. Myślę, że chyba psychologicznym uproszczeniem jest taka teza, iż świadomość potencjalnego zagrożenia śmiercią rozkołysała erotyzm Krzyżewskiego. Nie trzeba w historii szukać tego, co tkwi w genach i hormonach. To nie spełniająca się apokalipsa i zaczadzenie śmiercią odegrały tu rolę decydującą. Uważam, że erotyzm Krzyżewskiego był zdeterminowany strukturą jego temperamentu i uczuciowości. Wojna mogła rzeczywiście oddziałać katalizująco, ale w liryce Krzyżewskiego zestawionej z liryką »dwudziestoletnich poetów Warszawy« uderza brak tonacji katastroficznej. Jest za to integralny panseksualizm […]".

Ale też bohaterkami licznych erotyków poety będą kobiety, bo nie tylko żona – Maria z Piotrowskich, którą poślubi w kwietniu 1938 r. i będzie miał z nią córkę Ewę, zwaną Haneczką, późniejszą sławną aktorkę filmową: Krysię Rozbicką z „Popiołu i diamentu" Andrzeja Wajdy, Walę z „Zaduszek" Tadeusza Konwickiego, Rebekę Widmarową z „Zazdrości i medycyny" Janusza Majewskiego.

Jeremi, zaczęło się!

Wróćmy jednak do życiorysu ojca Ewy. Wychowawcze kłopoty, jakie sprawiał stryjostwu, skłoniły opiekunów do oddania go w roku 1930 do Korpusu Kadetów w Chełmnie. Relegowano go stamtąd, a wtedy został umieszczony w Konwikcie Pijarskim w Krakowie. Uciekł i stamtąd, ale już zakochany w poznanej pod Wawelem Marii Piotrowskiej, z którą się ożeni. Wcześniej, w 1935 r. zdał maturę w Warszawie, a w roku następnym – wyraźnie idąc w ślady ojca – rozpoczął szkolenie w elitarnym Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu, gdzie po zakończeniu edukacji otrzymał przydział do 5. Pułku Ułanów Zasławskich. W 1939 r. przez kilka dni będzie w tym pułku właśnie walczył w wojnie wrześniowej.

Powstańcy na terenie Poczty Głównej. Zdjęcie Eugeniusza Lokajskiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jednak w czasie drugiej wojny światowej, której stanie się ofiarą, zapisze swoje nazwisko już od razu jej wybuchu: 1 września to on odczyta bowiem przed mikrofonem Polskiego Radia orędzie do narodu prezydenta II RP Ignacego Mościckiego. Od kwietnia pracował w radiu jako inspektor audycji. Jego kolega, sławny Jeremi Przybora, zszedł właśnie nad ranem z nocnego dyżuru i wybierał się do domu, zadowolony, że nie zdarzyło się nic niepokojącego, gdy z radiowego balkonu zawołał go właśnie Juliusz Krzyżewski: „Jeremi, zaczęło się!". Było przed godz. 5 rano.

Panowie byli jeśli nie w przyjaźni, to w więcej niż w zażyłych stosunkach. Krzyżewski zadedykował Przyborze wiersz „Idee fixe", poprosił też, by został ojcem chrzestnym jego córki. Tak też się stało, a matką chrzestną Ewy była stryjenka Juliusza – Ewelina Krzyżewska. Jeremi Przybora tak wspominał kolegę: „On był dla mnie idealnym wcieleniem polskiego kawalerzysty, tak jakby Wieniawa ze skłonnością do pisania, i chociaż nigdy nie słyszałem, żeby Wieniawa był jego idolem, to jak patrzę na te dwie postacie, to widzę między nimi jakieś podobieństwo".

Swoją drogą Bolesław Wieniawa-Długoszowski trafił do wiersza Krzyżewskiego z 1943 r. zatytułowanego „Do ciebie, Warszawo", w którym wspominał lata, gdy:

… w belwederskich okien głębiach
wielkości cień przystaje w pąsach;
odbiera żale i przysięgi
i marszałkowskie szarpie wąsy…
Aż widzę dobre, piękne czasy,
gdy przez Alei amaranty,
przez gwar świąteczny kadilakiem
Naczelnik jechał z adiutantem.
Trzeciomajowych kwiatów bukiet,
pana Wieniawy postać smukła,
mundurów gal, cylindrów ukłon
i tęcza bramy ponad brukiem.
… i raut na Zamku, i w Resursie
bal uroczysty […].

A we wrześniu 1939 r. Krzyżewski zdążył jeszcze doścignąć swój pułk, po drodze, koło Wołomina, na krótko wstępując do kawaleryjskiego oddziału gen. Stanisława Bułak-Bałachowicza.

Jest w nas jeszcze siła

Z pewnością ciężkie warunki okupacyjne wywarły wpływ na twórczość poety. Na dłużej wyjechał z żoną i córką do Chrzanowa, gdzie jednak przyszło rodzinie żyć w trudnych warunkach, a on przez dłuższy czas nie mógł dostać pracy. W końcu zatrudnił się w produkującej obuwie

eprasa.pl 4f09b4a2df

fabryce Bata w Chełmku. Zajęcie go wyczerpywało, mnożyły się konflikty z żoną. W Warszawie, do której powrócił samotnie, znalazł nową miłość – Krystynę Jastrzębską, obiecującą pianistkę. Od tej pory rozdarty będzie uczuciowo, co szczerze wyzna w wierszu z marca 1944 r. zadedykowanym żonie, a zatytułowanym wymownie „Nie masz pociechy ze mnie":

Nie masz pociechy ze mnie, ale słów mych urok
niech ci gwiazdy rzuci do stóp splecione w wieńce,
żebyś jak święta szła w niewinności powtórnej,
zapłoniona gorącym warg moich rumieńcem.

Żebyś nad córką naszą dłoń zgiętą jak tarczę
skłoniła, woli dobrej pełna i miłości,
i żeby w tęczy tej, jak w załamanej ręce
uścisk mój najgorętszy stopił się i ostygł.

Żeby ci dobrze było… Żeby, gdy wieczorem
blask księżyca rozpryśnie się na okien lustrze,
rytm serdeczny mej pieśni wzruszył cię i porwał,
i od snów zbyt szalonych i płonnych cię ustrzegł.

I żebyś, gdy cię dobra jakaś myśl ogarnie
i serce twe się ściśnie, a brew się nasunie,
poznała miłość moją, która jak latarnia
ćmy wabi nierozumne – i więcej nie umie.

Pisał też, i to liczne, utwory dla Krystyny, a Jeremi Przybora wspomina też o romansie Juliusza z tajemniczą dziewczyną o imieniu Neni. Ale nie tylko dlatego w Warszawie odżył – poprawiła się jego sytuacja materialna, zawarł umowy wydawnicze (do zrealizowania po wojnie), z czym wiązał się przypływ gotówki. No i pisał coraz lepiej. Takie utwory jak dedykowane Iwaszkiewiczowi „Wariacje księżycowe", jak dużych rozmiarów „Czar (melodramatyczna opowieść wrześniowa)", jak „Pocieszenie" wreszcie, napisane w lutym 1944 r.:

Że jest w nas jeszcze siła i ten duch szlachetny,
jak żagiel nad tonącym wznoszący się statkiem,
zanim widnokrąg niski maszt ostatni przetnie,
a pierś zduszona kawy odmętem się zatchnie,

że z wiarą tak cudowną, jak dziecięcy uśmiech,
przez kraj przelata anioł na skrzydłach męczeńskich,
że lud warszawski milczy i żalem poruszon
serce tylko zaciska kamienne i pięści,

że z okien ostrobramskich, ku nam obrócona,
przez dymy pogorzelisk spogląda Madonna,
że krzyże na mogiłach żołnierskich graniczne
pług obcy porozrzucał i miecz obcy wyciął,

że z Pustyni Libijskiej przez italskie skały
ścieżka biegnie, na której ptaki nasze swojskie
przelatując siadały nieraz i poznały
z piosenki w zamyśleniu ciągnącej za wojskiem,

i że ja, gdy mi smutek z pióra łzę wytrąci
nad listem do mej córki, której los mi umknął,
piszę, że nie zapomnę, że kocham gorąco,
a ten ślad na papierze – to ślad pocałunku

– więc, że aż tyle tylko zostało nam własnych
nadziei i odwagi i ten strzęp niebiosów,
to niech nikt się nie cofa w głąb zwątpienia ciasną,
bo nie ma, kto by wiarą swą nie przeniósł losu.

Nie doczekam wieku

Nie należał do żadnych grup poetyckich, był znany w środowisku literackim, ale jako twórca osobny. Mówił w swoim, i tylko w swoim imieniu, pisał wiersze osobiste, przede wszystkim miłosne, ale choć kochliwy był może ponad miarę, w swoich utworach nie popadał w młodopolskie, ekstatyczne wzloty. Do erotycznego ekshibicjonizmu było mu bardzo daleko. Kochał kobiety i pisał do nich i o nich. Kochał Boga i dał poetyckie świadectwo temu uczuciu. I kochał Polskę, co udowodnił słowem i czynem.

Właściwie tylko raz odniósł się bezpośrednio do tragicznego losu swojej generacji. W wierszu „Moje pokolenie" z lipca 1942 r. przywołał idylliczny obraz Polski przedwrześniowej, niemal jak z Mickiewiczowskiego „kraju lat dziecinnych":

Na ryngrafie nad łóżkiem Czarna Matka Boska,
tak czarna, jak ta ziemia cudza, a nieobca,
gdzie miód z pasiek płynący w złotych wosku soplach
usta słodził i serca dziewczętom i chłopcom.

Z księżycami u czoła szły spokojne woły
śród ziela, co spóźnione zakwitało wieńcem,
kołysanki skrzypiały kolebki i stoły
uśmiechnięte jesieni dojrzałym rumieńcem.

Na tej ziemi bogatej, na której mnie matka
miłości nauczyła pierwszych słów i wiary,
dzieciństwo me zostało, lecz nie do ostatka,
jak człowiek, co uprzedził chorobę i starość.

Ta sielskość zostaje nagle zakłócona:
Obudził nas po nocy tętent końskich kopyt
tak szybki, że się w śladach podków śnieg roztapiał,
i ogień buchający ze strzech chałup chłopskich,
nad którymi piejący kur czerwony latał.

Co dalej? Poeta nie ma złudzeń:
Nigdy młody nie byłem, nie doczekam wieku,
niczego nie dokonam, co by mnie podniosło,
niby most dźwigam ciężar rzeki i dwóch epok,
a wioślarze wspierają o mnie swoje wiosła.

Ale przecież stać go było na koniec na nutę smutnego, gorzkiego, niemniej jednak optymizmu:

O pokolenie moje, mądre i bolesne,
cierpiące nie za siebie, walczące dla innych,
pamięć twoja przeminie, ale nasze dzieci
będą miały dzieciństwo prawdziwie dziecinne…

Piękna była ta nadzieja, a że się nie spełniła i powojenna Polska nie stała się tą z jego snów i marzeń, ani Warszawa nie miała już być tą, jaką poznał i pokochał, to zupełnie inna sprawa.

Juliusz Krzyżewski, po ekshumacji z ruin stołecznego ratusza, pochowany został na Starych Powązkach obok symbolicznej mogiły swego ojca Bohdana Krzyżewskiego. Spoczęły też tam prochy jego córki – Ewy Krzyżewskiej, która zginęła w wypadku samochodowym w Hiszpanii w 2003 r.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

Wysoki Rynek w Mińsku na grafice z XIX w.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Książka miesiąca / Poza granice II RP

Ból bezkresny

Obydwaj Autorzy doskonale są znani naszym Czytelnikom, którzy stale mają okazję czytać sensacyjne opowieści Sławomira Kopra o czasach II RP oraz sagi Tomasza Stańczyka z dziejów Kresów Wschodnich naszych dziadków i pradziadków. W omawianej książce autorzy poszli dalej niż do granic przedwojennej Rzeczypospolitej. Sięgnęli bowiem tak daleko, jak sięgała I Rzeczpospolita – z Mińskiem, ze Smoleńskiem, z Witebskiem, Kijowem, Żytomierzem, Bracławiem i Winnicą. To właśnie tytułowe „Najdalsze kresy". A parę razy trafili nawet jeszcze dalej – do Odessy, Moskwy czy Petersburga, w którym żyło kilkadziesiąt tysięcy Polaków, na ogół ludzi szanowanych, przedsiębiorców, artystów, studentów…

Książka składa się z 23 rozdziałów, wypełnionych pasjonującymi, nieraz dramatycznymi zdarzeniami oraz kolejami życia rodaczek i rodaków, których ze wszech miar należy ocalić od zapomnienia. Współtworzyli bowiem kresowy świat, a więc i kształt całej naszej ojczyzny, z jej kulturą, osiągnięciami uczonych, odkrywców i wynalazców, pisarzy i poetów, budowniczych i artystów. Ten świat zniszczono. Pozornie pogodziliśmy się z tym, ale czasem jakiś taki ból bezkresny ogarnia, kiedy się o tym pomyśli.

Odwiedzamy na przykład Kijów przełomu wieków XIX i XX, który „mówił po polsku", gdyż w naszym języku były liczne książki w cenionej bibliotece Idzikowskiego, i chętnie słuchał utworów Karola Szymanowskiego. Znakomity kompozytor przewija się też w „wielkim i trochę mrocznym" dworku w Tymoszówce i kijowskich oraz odeskich latach Jarosława Iwaszkiewicza. Kres polskiego ziemiaństwa na Ukrainie, spowodowany przez rewolucję bolszewicką, świetnie został opisany przez T. Stańczyka w rozdziale nawiązującym tytułem do dramatycznej „Pożogi" Zofii Kossak-Szczuckiej. To tragiczny rozdział, przypominający rzezie i spustoszenia czasów Chmielnickiego i koliszczyzny, a także odwet III Korpusu Polskiego i niezrównanego zagończyka Feliksa Jaworskiego.

Oczywiście mamy tu także wcześniejsze walki II Brygady Legionów gen. Józefa Hallera, Polską Organizację Wojskową i późniejszą wyprawę kijowską marszałka Józefa Piłsudskiego. Z Kijowem wiąże się też zagadka wieku Niny Andrycz, którą po mistrzowsku rozplątuje S. Koper.

Na północ od Prypeci spotykamy zaś prastare, od dawna spolonizowane rody Mińszczyzny, POW, a od 1917 r. – I Korpus Polski gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego między niemieckim młotem i bolszewickim kowadłem, walki Wojska Polskiego w latach 1919 i 1920, wreszcie przegrany po zwycięskiej wojnie pokój z Sowietami w Rydze. Do ciekawszych postaci należy wyjątkowy malarz i kompozytor Mikołaj Čiurlionis (z Polaka stał się Litwinem), a daleko na północ upływa petersburska młodość Tamary Łempickiej, której portrety osiągają dziś zawrotne ceny na świecie. Rozwiązana jest kolejna zagadka: przyczyna kalectwa oryginalnego artysty Władysława Strzemińskiego (odkrył w sobie polskość podobnie jak Grażyna Bacewiczówna, córka litewskiego nacjonalisty).

Zamyka książkę Marchlewszczyzna, będąca sowiecką ostoją dla Polaków, zanim ludobójcza „operacja polska" NKWD nie zamorduje lub nie ześle ich na obszary GUŁagu. I wreszcie mało znana historia femme fatale II Rzeczypospolitej, czyli Marty Thomas-Zaleskiej, córki aptekarza z Żytomierza, zresztą dzielnej peowiaczki kijowskiej. Po nieszczęśliwie zakończonym małżeństwie z oficerem carskim Zaleskim (Polakiem) została partnerką życiową Edwarda Śmigłego-Rydza, który niewątpliwie bardzo ją kochał. W 1951 r. zniknęła w tajemniczych okolicznościach na Lazurowym Wybrzeżu, a wraz z nią biżuteria i pamiętnik Rydza. Czy poniosła tragiczną śmierć? Poćwiartowanych zwłok znalezionej tam kobiety nie udało się zidentyfikować.

Naprawdę warto tę książkę przeczytać! Autorów „Najdalszych kresów" proszę, aby przez Irkuck i Krasnojarsk poszli w następnej książce jeszcze dalej – na Kamczatkę z Maurycym Beniowskim oraz do Mandżurii, gdzie Polacy budowali linię kolei wschodniochińskiej i która stała się w 1920 r. azylem dla rozbitków z 5. Dywizji Strzelców Polskich (zwanej Syberyjską). Tytuł tej książki mógłby brzmieć: „Z kresów na bezkresy"… ©℗

Maciej Rosalak

SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK „NAJDALSZE KRESY. OSTATNIE POLSKIE LATA"
FRONDA

eprasa.pl 4f09b4a2df

„Pułkownicy” Piłsudskiego

Najbliżsi współpracownicy Józefa Piłsudskiego wywodzili się w znakomitej większości z Legionów i POW. Przyjęło się ich określać jako „pułkowników” – określenie to ukuła zresztą opozycja – choć nie wszyscy nimi byli i gdy zajmowali stanowiska państwowe, nie znajdowali się w służbie czynnej. Narodziny tej grupy, ich rządy i upadek, opisuje autor. W latach 1926–1935 stawali na czele rządów i odgrywali ogromną rolę, gdyż – jak stwierdzał jeden z nich, Janusz Jędrzejewicz – „Wszystko, co leżało poza zainteresowaniami Piłsudskiego, a było tego bardzo wiele, działo się za zgodą, na odpowiedzialność i pod przewodnictwem premiera”. A premierami byli Aleksander Prystor, Walery Sławek, Kazimierz Świtalski i wspomniany Janusz Jędrzejewicz.

Mateusz Hübner stwierdza, że przywódca „pułkowników” Walery Sławek z powodu swojej bierności i niezdecydowania – choć miał ich pełne poparcie – nie został prezydentem w 1935 r., nie zastąpił Ignacego Mościckiego po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego. Bez wątpienia przyczyniło się to w dużej mierze do rozpadu dotychczasowej solidarności „pułkowników”. Mylnie założyli, że Edward Śmigły-Rydz wyznaczony przez nich na generalnego inspektora sił zbrojnych nie będzie przejawiał ambicji politycznych. A wojskowi chcieli dojść wreszcie do głosu. Ostatecznie część „pułkowników”, po utracie wpływów przez swego lidera Sławka, przyłączyła się do zwolenników Śmigłego, inni orientowali się na prezydenta Ignacego Mościckiego.

Autor zauważa, że deklaracja Obozu Zjednoczenia Narodowego, na czele którego stanął Adam Koc – a jej treść w dużej mierze kształtował Bogusław Miedziński – stawiała na równi państwo i naród. Widać było w niej bardzo wyraźnie wpływy ideologii narodowej. Do tego stopnia, że narodowcy uważali deklarację OZN wręcz za plagiat swego programu. Walery Sławek i wierni mu „pułkownicy” byli krytycznie nastawieni do idei OZN, skrętu w kierunku nacjonalistycznym i do kultu wodza, marszałka Śmigłego. Nie oni jednak rozdawali karty.

Książka otrzymała nagrodę w konkursie im. Władysława Pobóg-Malinowskiego na najlepszy debiut historyczny roku. ©℗ ***Tomasz Stańczyk***

MATEUSZ HÜBNER
„»PUŁKOWNICY«. RDZEŃ ŚRODOWISKA PIŁSUDCZYKÓW W SYSTEMIE POLITYCZNO-USTROJOWYM II RZECZPOSPOLITEJ”
IPN

Ambitna Jagiellonka

Skoro coraz więcej pisze się o roli kobiet w historii, dobrze się stało, że wznowiona została książka Pawła Jasienicy o Annie Jagiellonce. Jasienica stwierdza, że Anna była ambitna, bardzo uzdolniona i równie bezwzględna, a "jej ręka wprowadziła na tron Stefana Batorego". Jagiellonka miała także wielki udział w obiorze Zygmunta Wazy na króla. Ta "umysłowość na wskorś polityczna", nie mogła jednak rozwinąć swych talentów. Zarówno mąż (Batory), jak i siostrzeniec (Zygmunt III) nie zamierzali jej dopuścić do współrządów. Książka Jasienicy jest zarówno biografią, jak i historią burzliwych trzech elekcji ***(t.s)***

PAWEŁ JASIENICA
„OSTATNIA Z RODU”
PRÓSZYŃSKI

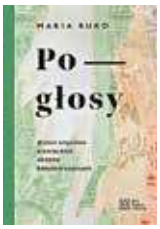

MARIA BUKO
„POGŁOSY. DZIECI NIEMIECKICH OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH”
DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ

PAMIĘĆ POTOMKÓW

To nie tylko zapis tego, co dzieci więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych zapamiętały ze wspomnień rodziców. Doświadczenia więźniów stawały się udziałem ich rodzin i całych społeczności. „Mama była katoliczką, tata Żydem – mówi Grzegorz. – Jedno i drugie stwierdziło, że coś nie tak jest z Bogiem, skoro poszedł na urlop wtedy, kiedy oni wszyscy ginęli...”. ©℗ ***(m.r.)***

MARIUSZ NIESTRAWSKI
„POLSKIE WOJSKA LOTNICZE 1918–1920”
IPN

NA SKRZYDŁACH ORŁÓW

Znakomita książka poświęcona początkom polskich sił lotniczych. Opisuje burzliwe losy pilotów i ich maszyn; zacięte walki, które polskie lotnictwo toczyło u zarania II RP. Przede wszystkim z bolszewikami. Olbrzymim atutem książki są kapitalne fotografie przedstawiające pierwsze polskie wojskowe samoloty. Nie sądziłem, że zachowało się ich aż tyle! ©℗ ***(p.z.)***

ADAM PLESKACZYŃSKI
„WARTHELAND. DZIEJE ZBRODNI”
IPN

OKUPACJA NAD WARTĄ

Wartheland utworzono na terytorium okupowanej Wielkopolski i ziemi łódzkiej. Adam Pleskaczyński przestawia niemiecką politykę brutalnych wypędzeń, represji i eksterminacji Polaków oraz Żydów. W Kraju Warty funkcjonował obóz zagłady, w Chełmnie nad Nerem. Książka zawiera około tysiąca zdjęć, zgromadzonych przez autora, w większości niepublikowanych. ©℗ ***(t.s.)***

eprasa.pl 4f09b4a2df

Sowieccy żołnierze w niewoli

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Armia od krwi czerwona

Autor jest profesorem historii i literaturoznawcą, mieszka w Moskwie, napisał 160 książek o rosyjskich oraz sowieckich dziejach. Nie jest więc dysydentem na uchodźstwie ani zbiegłym KGB-istą, którego można by podejrzewać o tendencyjne spojrzenie na tzw. wielką wojnę ojczyźnianą i w ogóle spuściznę stalinizmu. A przecież tytuł tej książki – „Straszliwe zwycięstwo" – w pełni odpowiada przerażającej treści dzieła Borysa Sokołowa.

Wbrew putinowskiej polityce historycznej Sokołow bezlitośnie odsłania prawdę o tej wojnie, która przyniosła Armii Czerwonej oraz mieszkańcom Związku Sowieckiego ogrom ofiar (27 mln strat bezpowrotnych!) i nieszczęść zawinionych przez bolszewickie władze. W tej książce, jak w rzeczywistości, europejski ład burzą Hitler do spółki ze Stalinem. Nieprawdopodobne 3 mln czerwonoarmistów wziętych do niewoli w ciągu pierwszego półrocza wojny obciążają sowieckich rozkazodawców. Głupie, a nawet zbrodnicze szafowanie krwią żołnierzy trwa aż do zdobycia Berlina, a stosunek strat – choć maleje z czasem – jest porażająco niekorzystny dla Rosjan. Pomiatanie ludzkim życiem i godnością trwa na froncie i na tyłach, gdzie ludzie – a zwłaszcza uciekinierzy bez przydziałów chleba – umierają z głodu.

Autor jest kompetentny – z dogłębną, źródłoznawczą erudycją odsłania oblicze hekatomby oraz prowadzi wykład o wielkich bitwach – Moskwie 1941/1942, Stalingradzie 1942/1943, Kursku 1943, ofensywie na Białorusi, Ukrainie i w Polsce 1944 r., o otwarciu zachodniego frontu przez aliantów. Pisze o pomocy w ramach Lend-Lease i o jej decydującym (wbrew rosyjskiej propagandzie) znaczeniu dla zwycięstwa. Opisuje sołdackie gwałty. Sowieckie mity heroiczne zestawia z prawdziwymi bohaterskimi czynami.

W osobnym rozdziale „Polacy nie dają się zsowietyzować. ZSRR a sprawa polska" widzi wyjątkowość tej sprawy w całej wojnie. Dokładniej zajmuje się mordem i kłamstwem katyńskim z udziałem Roosevelta, nieudzieleniem pomocy powstańczej Warszawie, mordowaniem AK-owców przez czerwoną partyzantkę na kresach oraz NKWD i Smiersz w Puszczy Augustowskiej. Dorobku profesora Sokołowa władze rosyjskie nie mogą podważyć. Zrobiły więc co mogły. Dorobek opluły, a uczciwego uczonego pozbawiły katedry uniwersyteckiej. ©℗

Maciej Rosalak

BORYS SOKOŁOW
„STRASZLIWE ZWYCIĘSTWO. PRAWDA I MITY O SOWIECKIEJ WYGRANEJ W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Zapomniani kaci III Rzeszy

Instytut Pamięci Narodowej robi na tym polu naprawdę świetną robotę. Mowa o badaniach nad działalnością Selbstschutzu – niemieckiej samoobrony na terenie Polski w 1939 r. W skład tej formacji weszli Niemcy, którzy przed wojną mieli polskie obywatelstwo.

Selbstschutz miał bronić Niemców przed atakami Polaków. Choćby takimi, do których doszło w trakcie „krwawej niedzieli" w Bydgoszczy. W praktyce działalność Selbstschutzu nie miała z tym nic wspólnego. Formacja ta zajmowała się bowiem głównie bestialskimi mordami i prześladowaniami niewinnej polskiej ludności cywilnej.

Do naliczniejszych takich zbrodni doszło na Pomorzu. Na terytoriach wcielonych do Rzeszy voksdeutsche stali się panami życia i śmierci Polaków. Wyrównywali przy tym stare porachunki, mścili się za prawdziwe i urojone krzywdy, dokonywali mordów, ciężkich pobić i grabieży. Pastwili się nad swoimi ofiarami w obozach koncentracyjnych. Były to klasyczne „zbrodnie sąsiedzkie".

Mordercza działalność Selbstschutzu – co zdumiewające – była w Polsce dość słabo rozpoznana i opisana. Jedyną jej monografię wydano w Niemczech i niestety nigdy nie przetłumaczono na polski. IPN stara się zapełnić tę lukę i wydaje kolejne ciekawe książki poświęcone Selbstschutzowi. Najnowsza z nich jest wstrząsająca, a zarazem pasjonująca. ©℗

(p.z.)

„W CIENIU EINSATZGRUPPEN. VOLKSDEUTSCHER SELBSTSCHUTZ W OKUPOWANEJ POLSCE 1939–1940"
RED. IZABELA MAZANOWSKA, TOMASZ CERAN, MARCIN PRZEGIĘTKA
IPN

eprasa.pl 4f09b4a2df

Bandyci Dirlewangera

O tym, że masakra ludności cywilnej, dokonana podczas powstania warszawskiego na Woli w dniach 5–7 sierpnia 1944 r., ciągle nie jest tematem zbyt dokładnie przebadanym, możemy się przekonać z zamieszczonego w „Dziejach Najnowszych" artykułu Huberta Kuberskiego pt. „Walki SS-Sonderregiment Dirlewanger o Wolę a egzekucje ludności cywilnej". Autor podważa panujące w polskiej historiografii przekonanie, że złożony z żołnierzy karanych dyscyplinarnie oraz więźniów obozów koncentracyjnych specjalny pułk SS Dirlewanger był główną jednostką dokonującą rzezi mieszkańców Woli. I choć nie ulega wątpliwości, że I batalion pułku ponosił część odpowiedzialności za dokonane w dzielnicy zbrodnie, to przeprowadzały je głównie ściągnięte z Poznania bataliony policyjne Schupo, noszące nazwy od nazwisk dowódców „Burkhard" i „Peterburs" (potem „Sarnow") oraz jednostki żandarmerii i Einsatzkommando der Sipo der Kampfgruppe Reinefarth.

Zdaniem Kuberskiego, mniejszy, niż się powszechnie sądzi, stopień zaangażowania w dokonywanie zbrodni na obszarach zajętych przez I Batalion SS-Sonderregiment Dirlewanger wynikał z faktu uwikłania w ciężkie całodniowe walki z powstańcami. Natomiast znajdujący się w jego składzie żołnierze z pewnością mordowali i uczestniczyli w egzekucjach w trakcie obijania z rąk powstańczych kolejnych zajmowanych przez nich kwartałów ulic. To wtedy dochodziło do zabijania cywilów znajdujących w atakowanych budynkach. Dodatkowo Kuberski wskazuje, że niektórym esesmanom można ewentualnie przypisać udział w wieczornych mordach już po zakończeniu działań bojowych.

Należy dodać, że brutalność stanowiła cechę charakterystyczną jednostki niemal od początku jej istnienia. Oddział już w latach 1942–1944 niechlubnie „wsławił" się licznymi zbrodniami na ludności cywilnej podczas operacji antypartyzanckich na Białorusi. Kontynuował je w Warszawie. Pierwszym pododdziałem SS-Sonderregiment Dirlewanger, który pojawił się w stolicy, był przybyły wieczorem 4 sierpnia 1944 r. wspomniany I batalion dowodzony przez SS-Hauptsturmführera Herberta Meyera. Następnego dnia rano jednostkę przewieziono na ulicę Wolską i batalionowe kompanie ruszyły do walki. Taktycznie dirlewangerowców podporządkowano Kampfgruppe Reinefarth, kierowanej przez SS-Gruppenführera Heinza Reinefartha, dotychczasowego dowódcę SS i Policji w Warthegau.

Żołnierzom początkowo wydano rozkazy zakazujące brania do niewoli jakichkolwiek jeńców, (po dwóch dniach wytyczne te zmodyfikowano, nakazując oszczędzanie kobiet i dzieci). O tym, że wypełniali je z całą bezwzględnością, świadczy fakt rozstrzelania 20–25 osób w miejskim szpitalu zakaźnym św. Stanisława znajdującym się przy ulicy Wolskiej 37. Podobnej zbrodni dirlewangerowcy dopuścili się na ul. Dworskiej 2, gdzie zamordowali 23 nieuzbrojonych cywilów, w tym kobiety i dzieci. Z kolei za egzekucje, do których doszło w szpitalu św. Łazarza, odpowiadali prawdopodobnie, później podporządkowani Angriffsgruppe Dirlewanger (Grupa Uderzeniowa), azerscy ochotnicy z II batalionu Bergman.

W nocy z 5 na 6 sierpnia dotarł do Warszawy II batalion pułku SS-Sturmbannführera Josefa Steinhauera, który na skutek pewnych perturbacji dyslokacyjnych do walk włączył się dopiero 7 sierpnia 1944 r. Tego samego dnia podkomendni Dirlewangera, pod wodzą SS-Sturmbannführera Kurta Weissego, dotarli do Pałacu Saskiego i pałacu Brühla, gdzie przebywali – okrążeni przez powstańców – komendant warszawskiego garnizonu gen. R. Stahel oraz gubernator dystryktu L. Fischer. Natomiast dopiero 8 sierpnia 1944 r. do Warszawy przybył SS-Standartenführer Oskar Dirlewanger. ©℗ ***Arkadiusz Karbowiak***

HUBERT KUBERSKI
„WALKI SS-SONDERREGIMENT DIRLEWANGER O WOLĘ A EGZEKUCJE LUDNOŚCI CYWILNEJ"
„DZIEJE NAJNOWSZE", ROCZNIK LIII – 2021, 1

HISTORYCZNE BITWY

Marna

O zwycięstwie aliantów w bitwie nad Marną, które udaremniło Niemcom pokonanie Francji, pisano u nas wielokrotnie. Autor dostrzegł jednak brak większej monografii na ten temat i lukę tę wypełnił godną polecenia książką. Oparł się na licznych opracowaniach, monografiach, wspomnieniach oraz dokumentach francuskich, niemieckich i brytyjskich, pozwalających na stworzenie relacji pełnej i rzetelnej oraz na sformułowanie ocen: komu alianci zawdzięczają sukces, a Niemcy – klęskę. Z przejrzystego opisu wydarzeń między 4 a 12 września 1914 r. wynika, że o krachu planu wojny błyskawicznej autorstwa feldm. von Schlieffena zadecydował brak współdziałania dwóch prawoskrzydłowych armii niemieckich. Skutkiem nadmiernego wysunięcia się na zachód 1. armii gen von Klucka oraz zagięcia skrzydła sąsiedniej 2. armii gen. von Bülowa powstał bowiem szeroki korytarz, którym uderzyły znaczne siły brytyjskie i francuskie.

W efekcie głównodowodzący gen. von Moltke, który nie zapanował nad sytuacją, musiał zwinąć całe prawe skrzydło i cofnąć front o 65 km nad rzekę Aisne, gdzie rozpoczęła się trwająca cztery lata wojna pozycyjna. „Niemcy bez wątpienia potrzebowali zwycięstwa pod Paryżem, jeżeli zamierzali później zniszczyć oddziały nieprzyjaciela – pisze Autor. – Z ich perspektywy była to zatem bitwa rozstrzygająca". Za „architekta zwycięstwa" uznaje oczywiście wodza naczelnego gen. Josepha Joffre, który kontrolował przebieg bitwy oraz skoncentrował w kluczowym miejscu 41 dywizji wobec 21 nieprzyjacielskich. ©℗ ***Maciej Rosalak***

JAROSŁAW CENTEK
„HISTORYCZNE BITWY. MARNA 1914"
BELLONA

eprasa.pl 4f09b4a2df

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Geopolityka / Wielka rywalizacja USA z Chinami

Strategia w erze astropolityki

Jacek Bartosiak

Trzecia wojna światowa może zacząć się w przestrzeni kosmicznej. Bez zestrzelenia satelitów wroga nie da się zdobyć dominacji na ziemi

Wraz z pojawieniem się nowego rodzaju precyzyjnej amunicji i zależności kluczowych systemów od przestrzeni kosmicznej (chociażby do namierzania celów) nie ma wątpliwości, że którekolwiek mocarstwo mogłoby rozpocząć wojnę bez zaatakowania i neutralizacji systemów kosmicznych przeciwnika. Przeciwnik musi bowiem zostać oślepiony, ogłuszony i zagubiony, bez orientacji i pozbawiony dostępu do własnych systemów w przestrzeni kosmicznej. Ich zniszczenie może oznaczać zwycięstwo. Jako że obie strony będą próbowały zniszczyć systemy w kosmosie należące do przeciwnika, żadna z nich nie może być pewna pełnego sukcesu. Z tego płynie następujący wniosek: przywracanie zdolności systemu świadomości sytuacyjnej w kosmosie i niszczenie tego systemu jest fundamentem wojny w nadchodzącej szybkim krokiem przyszłości.

Groźba wojny nuklearnej wymagała stałego rozpoznania. Jedynym miejscem, gdzie takie stałe rozpoznanie było możliwe, była przestrzeń kosmiczna. Dzisiaj,

eprasa.pl 4f09b4a2df

JACEK BARTOSIAK, GEORGE FRIEDMAN
„WOJNA W KOSMOSIE. PRZEWRÓT W GEOPOLITYCE"
ZONA ZERO

jeśli ktokolwiek chce prowadzić wojnę przeciw państwu dysponującemu zdolnościami w kosmosie, to powinien najpierw zniszczyć sensory w kosmosie. Każdego dnia wynoszone są nowe systemy i nowe satelity. Przestrzeń okołoziemska blisko planety stała się wręcz zatłoczona, tyle już orbituje tam systemów. A strach przed oślepieniem w pierwszych minutach wojny spędza sen z powiek wszystkich mocarstw, bez wyjątku. Zwłaszcza w rozpoczynającej się obecnie erze rywalizacji wielkich mocarstw.

Od dnia, w którym rakieta V-2 została po raz pierwszy użyta do ataku na Londyn, obawa i groźba wojny napędzały eksplorowanie przestrzeni kosmicznej. Zapał eksploracji zapewne miał także znaczenie, a załogowe loty kosmiczne czy stacje naukowe na orbitach Ziemi były niebagatelnym majstersztykiem propagandowym. Jednak od dnia pierwszego uderzenia V-2 w Londyn logika wojny dominowała w przestrzeni kosmicznej i obecnie proces ten gwałtownie przyspiesza, zmieniając ponadto dynamikę rozumienia i eksploracji kosmosu jako takiego. Niezmiennie dostrzeżenie wroga, zanim on dostrzeże ciebie, i wykonanie uderzenia jest istotą rozważań o przestrzeni kosmicznej. Wojna bowiem sięga wszędzie i dosięga wszystkiego. Od razu pojawia się w każdej nowej domenie wraz z pojawieniem się człowieka i jego zamierzeń.

Niskie orbity Ziemi, a także orbitę geostacjonarną uważamy za kluczowy punkt strategiczny blisko Ziemi. Właściwie punkt ciężkości, który zresztą dopiero oswajamy. Jeśli orbita geostacjonarna jest w centrum, to można ją flankować. Obecnie realnie wykorzystywana przez ludzkość przestrzeń kosmiczna rozciąga się od 100 km nad powierzchnią Ziemi do 36 tys. km, i może nieco powyżej, obejmując sąsiedztwo Księżyca. Systemy znajdujące się w tej strefie będą w przyszłości chronione wojskowo. Zatem atak na nie musi być przeprowadzony z zaskoczenia i z niespodziewanego kierunku.

Pomiędzy Księżycem a orbitą okołoziemską jest ponad 300 tys. km przestrzeni kosmicznej, a sam Księżyc ma wyjątkowo strategiczne położenie – jest dobrze zamaskowany dla wojskowych zamierzeń, można z niego dokonywać projekcji siły w kierunku Ziemi. Chodzi o to, że gdy wybucha wojna, to jej logika rozciąga się na nowe obszary i nowe domeny, a przestrzeń kosmiczna staje się po prostu kolejnym (choć szczególnym) medium umożliwiającym prowadzenie działań wojennych. Wojna taka nie będzie ograniczona terytorialnie czy obszarowo, tak jak w czasie zimnej wojny na Ziemi, ale rozciągnie się na cały dualny system planetarny Ziemia-Księżyc. Zrozumienie tego jest kluczem do zrozumienia strategii kosmicznych. Układ planetarny Ziemia-Księżyc to system z własną topografią i strukturą poruszania się wynikającą z zasad mechaniki orbitalnej. Można powiedzieć – z własną geografią, a zatem z adekwatną dla siebie geopolityką. Przy czym w przypadku kosmosu należy to raczej nazywać astropolityką.

Wojna jako ostateczne przedsięwzięcie człowieka wpisane w ludzką naturę jest ściśle związana z innymi ludzkimi działaniami. Chodzi o takie, które już teraz zmieniają orbity Ziemi w rynek, gdzie zarabia się coraz większe pieniądze dzięki szybko postępującej rewolucji informacyjnej. Informacja bowiem staje się arcyważnym towarem ludzkości w XXI w. Są tacy, którzy twierdzą, że informacja jest ropą naftową nowych czasów. Informacje są pobierane, procedowane, wykorzystywane i wyceniane. Dokonuje się obrót informacją i danymi i to coraz bardziej dzięki infrastrukturze umieszczonej w przestrzeni kosmicznej, która staje się podporą nowoczesnej ziemskiej gospodarki.

Wraz z pojawieniem się bardziej efektywnego systemu transportowego na orbity okołoziemskie, najlepiej dużo tańszymi w użytkowaniu rakietami wielokrotnego użytku, orbitalnymi stacjami uzupełniania paliwa rakietowego czy też nowym wyścigiem supermocarstw na Księżyc po jego surowce, względnie proliferacji satelitów i nanosatelitów, rewolucja symbolizowana przez nieustanne eksperymentalne starty rakiet z Boca Chica w Teksasie będzie się dokonywać na naszych oczach. Tak jak się dokonywała rewolucja oceanu światowego 500 lat temu, dzięki chociażby działalności szkoły nawigatorów w Sagres na wybrzeżu portugalskim. Zjawiska widoczne w ostatnich latach i przedsięwzięcia komercyjne w ramach New Space przesuwają granice dostępności kosmosu i jej ekonomiczności w stopniu wcześniej nieosiągalnym.

Nowa era kosmiczna właśnie się rozpoczyna. Nowy rynek i nowa ekonomia funkcjonować będą dzięki tym, którzy mają odwagę i nie boją się ryzyka. Będzie potrzebowała również kawalerii, czyli wojskowych sił kosmicznych. By te chroniły nowy rynek, oraz zasad, na jakich ten rynek działa. W tym celu siły kosmiczne będą patrolowały niebiańskie linie komunikacyjne w górę studni grawitacyjnej, począwszy od Ziemi aż do Księżyca, a nawet dalej, poza jego powierzchnię, aż do granic oddziaływania grawitacyjnego Ziemi.

Wraz ze wzrostem potęgi Chin, zdeterminowanych, by dogonić i przegonić w kosmosie Amerykanów oraz nadrobić wszelkie zaległości technologiczne, a także wraz z rywalizacją wielkich mocarstw, która po 30 latach złotego spokoju objawiła się nam na dobre, możemy się spodziewać dosłownie wszystkiego, jeśli chodzi i rywalizację zarówno na Ziemi, jak i w przestrzeni kosmicznej. To ona będzie kluczowa dla rozstrzygnięć geopolitycznych na Ziemi. Nadchodzi przyszłość.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Syndrom Salieriego

Moda „me too" mniej ostatnio przyciąga uwagę mediów, zajętych kolejnymi kryzysami politycznymi, ale nie znaczy to wcale, że się skończyła. Ostatnio jej ofiarą padł znakomity pieśniarz i poeta, laureat literackiego Nobla, Robert Zimmerman, znany całemu światu jako Bob Dylan. Otóż pewna pani, której nazwiska nie warto uwieczniać, „przypomniała sobie", że ponad pół wieku temu, gdy miała 12 lat, Dylan uwięził był ją przemocą w nowojorskim hotelu i trzymał tam przez dwa tygodnie, bijąc i gwałcąc.

/ **Opowieść 62-latki okazała się produktem zaburzeń psychicznych, wycofano się więc z niej, jak to jest charakterystyczne dla „me too", cichcem, bez jednego „przepraszam", udając, że nic nigdy**

Natychmiast znaleźli się w Nowym Jorku adwokaci, którzy wnieśli przeciwko gwiazdorowi sprawę do sądu, natychmiast przez media przetoczyła się fala nienawiści i żądań, by potwora noblistę wygumkować z historii muzyki, zakazać, zgnoić i tak dalej. Sam Dylan, wierny swojej „splendid isolation", oskarżenia zignorował, znaleźli się jednak ludzie, którzy zaczęli je weryfikować. I okazało się, że w czasie, kiedy – jak podała staruszka swym adwokatom – Dylan miał więzić ją w nowojorskim hotelu, był on akurat w trakcie wielkiej, kilkudniowej trasy koncertowej po USA i praktycznie codziennie grał w innym mieście. W dodatku towarzyszyła mu ekipa BBC, która kręciła o tej trasie i o artyście film dokumentalny, emitowany potem wielokrotnie. Nie dość więc, że Dylan jednego dnia był w Nowym Jorku, a następnego już w Los Angeles, to za sceną, w hotelu i wszędzie krok w krok chodziły za nim kamery i to, co nagrały, do dziś można obejrzeć.

Słowem, cała opowieść okazała się produktem ewidentnych zaburzeń psychicznych starszej osoby, wycofano się więc z niej, jak to jest charakterystyczne dla „me too", cichcem, bez jednego „przepraszam", udając, że nic nigdy.

Ciekawe, czy kiedyś urojenia te okażą się dla jakiegoś artysty równie inspirujące, jak podobne zaburzenia umierającego w demencji Antonia Salieriego. Ów wybitny i swego czasu bardzo ceniony kompozytor (pomijając już wiele lat pełnioną funkcję cesarskiego kapelmistrza, powierzono mu całą oprawę muzyczną kongresu wiedeńskiego!) gdyby właśnie nie owe starcze wyznania, co jest ironią szczególną, byłby zresztą dziś zupełnie zapomniany. Miał bowiem w ostatnich miesiącach żywota opowiadać – mamy na ten temat tylko relacje z drugiej ręki – że otruł był Wolfganga Amadeusza Mozarta za pomocą tzw. aqua tofana, czyli arszeniku.

Rzecz, co wielokrotnie udowodniono, jest kompletną bzdurą. Wprawdzie Mozarta pochowano w zbiorowym grobie dla biedoty, więc przyczyny jego śmierci jednoznacznie stwierdzić się nie da, ale akurat zatrucie arszenikiem daje objawy bardzo charakterystyczne, których żadna z licznych relacji o śmiertelnej chorobie Mozarta nie odnotowuje. Owszem, miał się on na łożu śmierci żalić, że go otruto (nie oskarżając jednak nikogo konkretnie), ale trudno takie słowa rozgoryczonego, niedocenionego geniusza uznać za dowód czegokolwiek.

Trudno w ogóle wymyślić, dlaczego stojący u szczytu sławy Salieri miałby truć Mozarta, postrzeganego wtedy w ogóle w innej kategorii – raczej jako celebrytę, byłego muzycznego wunderkinda, produkującego zręczne drobiazgi instrumentalne i wpadające w ucho melodyjki niż jako „poważnego" kompozytora, takiego od oper. No, ale od czego są artyści: Rimski-Korsakow, a za jego przykładem Shaffer połączyli kropki i wyszedł z tego moralitet o sztuce, sławie, talencie oraz jego braku. Znakomity, acz nie mający nic wspólnego z historyczną prawdą.

Czy starcze urojenia oskarżycielki Dylana mają w sobie podobny potencjał? Nigdy nie wiadomo. ©℗

eprasa.pl 4f09b4a2df

Piotr Semka

/ Felieton

Dysydenci wyglansowanych butów

Pisząc moją książkę „My, reakcja", wiele miejsca poświeciłem cichemu i lekceważonemu zazwyczaj frontowi oporu „ludzi przedwojennych", żyjących w latach stalinowskich. Ludzi, którzy pogardę dla wszechobecnej komunistycznej bylejakości demonstrowali upartym trzymaniem się starych przedwojennych nawyków i standardów.

W jednym z felietonów, które Tyrmand pisał w 1950 r. dla tygodnika „Stolica", ten piewca epoki podziemnego jazzu i kolorowych skarpetek w żartobliwym tonie przedstawił dbałość o obuwie, która wpędziła jego kolegę w starokawalerstwo w stalinowskiej Warszawie. Autorka eseju o Tyrmandzie modnisiu, Justyna Jaworska, pisze: „W obrazku ze »Stolicy« z cyklu »Warszawa 50.« [Tyrmand] sięga po anegdotę o nieśmiałym człowieku, który »pewnego dnia założył wyglansowane, lśniące buty Bata« i poszedł się oświadczyć, niestety »kurz na Hożej leżał warstwą paleozoicznej grubości i znajomy mój po przejściu kilkunastu kroków zabrudził buty i nogawki do tego stopnia, że zrezygnował z zamiaru i wrócił do domu«. Jego wrodzona schludność nie pozwoliła mu na odbycie tak ważnej rozmowy w takim stanie. [...] Elegant po kilku nieudanych próbach dał za wygraną i zaprzepaścił swoje szczęście, po czym rozpił się i zwariował".

Tyrmand musiał pewnie użyć kpiarskiego tonu, by tekst ukazał się w druku. Gdyby pisał o problemach ludzi przywykłych do lśniącego obuwia bardziej serio, niechybnie przywołano by go do porządku. W tamtej epoce kwestia czystych butów uważana była przez komunistów za marginalny, inteligencki nawyk. Śmieszny i reakcyjny rytuał – wręcz żałosny wobec ogromu zadań i wysiłku budowniczych nowej, socjalistycznej Warszawy.

Jednak Tyrmand miał jeszcze w pamięci przedwojenne salony obuwnicze Warszawy. Ba, jego ojciec sam miał skład obuwia i skóry przy ulicy Franciszkańskiej, a sam Tyrmand w Wiedniu pracował na początku 1944 r. jako hotelowy pucybut.

Warszawa tuż po wojnie była polem konfrontacji dwóch grup. Wielkiej fali ludzi z całej Polski, którzy lgnęli do stolicy, a z drugiej strony – rdzennych warszawiaków z niedobitej elity, tzw. ludzi przedwojennych. Ci pierwsi przybywali w ciężkich, wojskowych buciorach, ci drudzy starali się choć wyglądem demonstrować swoją tożsamość z lepszych, „sanacyjnych" czasów. Nie było to łatwe. W całym mieście wirowały tony kurzu. Wciąż coś wyburzano, przebudowywano albo rozkopywano. A starzy, inteligenccy warszawiacy? Z czasem coraz egzotyczniej wyglądali – w pracowicie nicowanych marynarkach z przedwojennego tweedu, z laseczkami, melonikami i wypastowanym obuwiem. Powoli znikali z krajobrazu Warszawy w latach 60. i 70. Ich duchowym sojusznikiem był po wojnie w stolicy sąsiedniej Słowacji człowiek instytucja „Schöner Náci", czyli „Piękny Ignaś". O istnieniu tej dziwnej postaci dowiedziałem się przypadkiem, oglądając pomnik, który postawili mu mieszkańcy stolicy Słowacji. Naprawdę nazywał się Ignaz Lamar i żył w Bratysławie w latach 1897–1967. „Piękny Ignaś" kontynuował przedwojenne tradycje bratysławskich spacerów po miejscowym corso i rozdawania pięknym kobietom kwiatów. Był nieszkodliwym wariatem i być może dlatego nawet komunistyczna bezpieka dała mu spokój. W stylowym fraku, z muszką, cylindrem i laseczką oraz w wypastowanych butach przechadzał się codziennie po ulicach Michalskiej i Sedlarskiej. Po upadku reżimu sprawdzono nawet, czy nie było to przykrycie dla agenta bezpieki, ale nie – był czysty jak łza. Jako symbol starych dobrych czasów doczekał się po 1989 r. specjalnego pomnika.

Aż wstyd, że Bratysława wystawiła „Ignasiowi" monument, a Warszawy nie stać na pomnik Leopolda Tyrmanda. Zwłaszcza w jego błyszczących, perfekcyjnie wypastowanych butach. Kogoś, kto uważał, że „lśniące buty to podstawa dla osoby dbającej o wygląd". ©℗

> / Aż wstyd, że Warszawy nie stać na pomnik Leopolda Tyrmanda. **Ze szczególnym podkreśleniem jego błyszczących, perfekcyjnie wypastowanych butów...**

eprasa.pl 4f09b4a2df

Pałac Antoniego Tyzenhauza w Grodnie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

XVIII w. / Manufaktury grodzieńskie

Wzlot i upadek

Tomasz Stańczyk

Antoni Tyzenhauz inwestował z rozmachem, ale nierozważnie. A swoimi ambicjami naraził się wielkim rodom

Pochodził z rodziny o niemieckich korzeniach mieszkającej w Inflantach Polskich. Był synem starosty szmeltyńskiego, w jego rodzie był i wojewoda i biskup. Urodził się jednak nie w Inflantach, lecz w Nowojelni na Grodzieńszczyźnie, z którą związał swój los. Jako młody człowiek wysłany został przez rodzica na dwór kanclerza wielkiego litewskiego Fryderyka Michała Czartoryskiego do Wołczyna, by nabrać ogłady i światowości. Poznał tam spokrewnionego z Czartoryskimi, o rok starszego Stanisława Antoniego Poniatowskiego i zaprzyjaźnił się z nim.

Gdy Stanisław Antoni został królem Stanisławem Augustem, w 1765 r. – a więc wkrótce po wstąpieniu na tron – powierzył Tyzenhauzowi urząd podskarbiego nadwornego litewskiego i zarządcy dóbr królewskich w Wielkim Księstwie Litewskim. Tyzenhauz miał ogromne ambicje. Marian Brandys pisał o Tyzenhauzie: „Jego plan był oszałamiająco wielki, świetny, patriotyczny! »Inflancki diabeł« postanowił za jednym zamachem uniezależnić Polskę od zagranicy. Zbudować w rekordowo krótkim czasie w kraju rolniczym i zacofanym wszystkie gałęzie przemysłu istniejące w innych krajach Europy”.

eprasa.pl 4f09b4a2df

wizjonera

W dziejach polskiej gospodarki bywały radykalne przekształcenia ekonomiczne i gospodarcze, ale wielki plan Tyzenhauza – choć rozpoczął się z ogromnym rozmachem – do nich nie należy. Nie został uwieńczony sukcesem, o którym marzył jego pomysłodawca. Nie tylko budował i inwestował za szybko, bez rozwagi, lecz także nie miał odpowiedniej wiedzy, ani też – przystępując do swojego dzieła – rzetelnych danych z Europy Zachodniej. Sądził, że jego energia, pomysłowość, intuicja wystarczą. Niestety, nie zaglądał do książek.

„Nie czytał zaś nic i czytać nie mógł – pisał Julian Bartoszewicz w szkicu z 1851 r. w »Gazecie Warszawskiej« – dla prostej przyczyny, że nie umiał żadnego obcego języka. Mówił zawsze po polsku. Książki francuskiej, niemieckiej ani angielskiej nie miał nigdy w ręku. A polska literatura biedną wtedy była w dzieła ścisło-naukowe. Gdzież się więc miał uczyć obcej mądrości Tyzenhauz? Ale zdolności wrodzone zastępowały mu prawie wszystko. Zgadł młody człowiek wiele rzeczy i jego rozum rozwikłał wiele tajemnic. Tyzenhauz domyślił się tego, czego się nie uczył, czego nie wiedział. Za granicą nie był w dzieciństwie, więc nie widział ani filozofów, ani rządów, ani miast. Tyzenhauz nie czytałby może nawet książek, choćby je rozumiał, tak dalece był człowiekiem czynu”.

Bartoszewicz twierdził, że gdyby podskarbi był człowiekiem wykształconym, zostałby wręcz geniuszem ekonomicznym. A jak można sądzić, jego przedsięwzięcia gospodarcze – łączące wiedzę z przymiotami charakteru – byłyby wówczas udane.

Dochody i inwestycje

Tyzenhauz zaczął od tego, co żywo interesowało Stanisława Augusta: od radykalnego zwiększenia dochodów z powierzonych mu dóbr. „Umiejętnie i sprężyście Tyzenhauz w ciągu lat kilku podnosi dochód królewski z 300 000 złp., jak było za czasów saskich, do ogromnej sumy półtora miliona rocznie” – pisał Zygmunt Gloger z uznaniem dla podskarbiego. Stanisław August był zadowolony z płynącej do niego szerokiej strugi pieniędzy, a Tyzenhauz miał fundusze, by inwestować, inwestować, inwestować... Może to wielkie sumy, jakie miał do dyspozycji, oszołomiły go i dlatego snuł tak ogromne plany?

Był starostą grodzieńskim i nie bez powodu właśnie w Grodnie chciał się pokazać. A było komu, gdyż w Grodnie odbywały się sejmy. Na rzeczką Łosośną i w Horodnicy pod Grodnem Tyzenhauz wybudował osady fabryczne, ale inwestował też w innych miejscach. Według różnych danych, w manufakturach grodzieńskich zatrudniano od 1,3 tys. do 3 tys. pracowników, liczby na owe czasy znaczne.

Marian Brandys zarzucał Tyzenhauzowi, że inwestował „bez ładu i składu”, realizując każdą nowinkę, o której się dowiedział. „Produkował w tych fabrykach rzeczy najróżniejsze: artykuły pierwszej potrzeby i przedmioty najbardziej wyszukanego luksusu. Sukna, płótna i perskie dywany; kapelusze, pończochy i złote galony dla oficerów; szpilki, igły i holenderskie koronki dla dam. Uruchamiał młyny, piwowarnie, olejarnie, huty, warsztaty mechaniczne, farbiarnie tkanin i skór. Otwierał własne sklepy tekstylne i magazyny galanteryjne. Była to rewolucja, jakiej puszcze litewskie otaczające Grodno nie przeżyły od czasu, kiedy na rozkaz Jagiełły zwalano w nich ołtarze pogańskich bogów”. Tyzenhauz założył nawet manufakturę produkującą tkaniny z włosia kóz!

eprasa.pl 4f09b4a2df

Antoni Tyzenhauz FOT. WIKIPEDIA

Stwierdzano, że podgrodzieńskie osady stworzone przez podskarbiego, ze względu na przędzalnie, wytwarzanie płótna, tkanin, sukna, ale i pończoch oraz koronek, były „polskim Manchesterem".

Przyznać trzeba Tyzenhauzowi, że wybrał się na Zachód po doświadczenia, ściągał fachowców zza granicy, m.in. piwowarów z Czech. „Przydał im do nauki nie tylko własnych włościan, lecz także pozwolił obywatelom, kto chciał, przysyłać do nich swoich uczniów, którzy roznieśli po całym kraju sposób robienia smacznego, klarownego i posilnego piwa" – pisano w „Tygodniku Wileńskim" z 1820 r. Rzemieślników znających się na konstruowaniu powozów sprowadzał z Francji.

Dbał również o kształcenie pracowników manufaktur, założył liczne szkoły: lekarską (uważaną za podstawę do utworzenia później wydziału lekarskiego na uniwersytecie wileńskim), akuszerek, kształcące mierniczych, buchalterów, budowniczych. „Tym sposobem – oceniał Gloger – Tyzenhauz usiłuje wykształcić całe pokolenie ludzi pożytecznych dla kraju". A brał też pod uwagę dzieci chłopów. Z drugiej jednak strony, wbrew istniejącym już wtedy tendencjom, przywrócił pańszczyznę, rezygnując z oczynszowania włościan, co w dobrach szawelskich na Żmudzi wywołało nawet bunt.

Dziwić może, że Tyzenhauz w tak dużej mierze nastawił się na produkcję towarów luksusowych, na które przecież była ograniczona podaż. Tłumaczyć sobie to można tym, że nie chciał, by pieniądze płynęły za granicę, do obcych kupców i producentów, lecz żeby zasilały kasę królewską. Ale towary te nie były – niestety – konkurencyjne. Stanisław Zawadzki, autor artykułu o ekonomiach królewskich za czasów Stanisława Augusta stwierdzał, że przynajmniej pierwsze wyroby – a na rynku liczy się właśnie pierwsze wrażenie – były drogie i raczej nie najlepszej jakości. Był też ważniejszy zarzut: „Z dokumentów z epoki wynika, że jedne fabryki przeszkadzały w funkcjonowaniu innych. Nie czekano na wyniki założonej fabryki, ale od razu przystępowano do uruchomienia następnej [...]. Zbyt wyprodukowanych towarów był niedostateczny, kulała dystrybucja i reklama, wobec czego większość zalegała w magazynach". Tyzenhauz najwyraźniej skupiał się więc na produkcji, zaniedbywał zaś marketing, jakbyśmy to dziś powiedzieli.

Polityczne ambicje

To, że „budował bez składu i ładu", nie było jedyną przyczyną upadku Tyzenhauza i zaprzepaszczenia jego 15-letniej pracy. Rosnący w siłę oraz znaczenie rzutki przedsiębiorca i wizjoner – bo tak należy go nazwać – niepokoił Radziwiłłów i Czartoryskich, wielkie litewskie rody. Gdyż Tyzenhauz nie ograniczył się do roli inwestora oraz przedsiębiorcy. Nie podobały się magnatom jego wpływy na politykę i rozpychanie się na ziemiach litewskich. Zygmunt Gloger pisał: „Tłumy garnęły się do Tyzenhauza, który tymczasem rozwijał prawdziwą dyktaturę; układał sejmiki, wyznaczał posłów i deputatów, godził spory, nawet kojarzył stadła małżeńskie". Niestety, poczynał także sobie bezwzględnie, czym szybko narobił sobie zaciekłych wrogów.

„Łamał prawa własności prywatnej i naruszał swobody obywatelskie" – stwierdzał nawet Marian Brandys. Do tej opinii trzeba jednak podejść ostrożnie. Podskarbi naraził się bardzo mocno wielu osobom, gdyż postanowił zrobić spis wszystkich dóbr królewskich, a niektóre były bezprawnie w posiadaniu szlachty, i określić ich granice. Gloger pisał: „Nikt nie chciał dobrowolnie oddać tego, co otrzymał w spadku po ojcu lub dziadzie, co pracą swoją użyźnił i w dobrej wierze posiadał lub chociaż by sam przed laty sobie przywłaszczył [...]. Tyzenhauz zapomniał, że było to w kraju, w którym od wieków królowie tylko rozdawali, a nic nigdy nie odbierali mieszkańcom. Toteż wszyscy podnieśli krzyk straszny na przemoc i despotyzm ministra".

To – przynajmniej w części – wyjaśnia niechęć do podskarbiego, który wytaczał procesy o zwrot nieprawnie posiadanej ziemi.

Pewną osobliwością rządów Tyzenhauza w ekonomiach litewskich była milicja złożona z Bośniaków, która nie tylko pilnowała porządku, lecz także egzekwowała świadczenia od opornych.

Pałac, który wybudował sobie w Horodnicy pod Grodnem (istniał do lat pierwszej wojny światowej), stał się nowym ośrodkiem życia publicznego i towarzyskiego. Tyzenhauz miał swoją orkiestrę, teatr, balet, wydawał „Gazetę Grodzieńską" – sprowadził w tym celu drukarnię do miasta, założył ogród botaniczny, do którego okazy roślin sprowadzał też z zagranicy, w tym ze słynnych ogrodów w Kew pod Londynem. Naprawdę, miał czym olśniewać. Ale – jak to przy okazji bywa – budził, rzecz jasna, zawiść.

Pusta kasa

Chociaż miał poparcie samego Stanisława Augusta, to Tyzenhauz naraził się jego rodzinie, zachłannej, oczekującej profitów z prowadzonej przez niego działalności, słowami: „Król nie ma krewnych". Jednym z nich był bratanek

eprasa.pl 4f09b4a2df

Stanisława Augusta – książę Stanisław Poniatowski, który – w nadanych przez króla dobrach także zajmował się podniesieniem ich stanu gospodarczego. Król – do którego napływały skargi i donosy na Tyzenhauza – wysłał bratanka na inspekcję do Grodna. Wypadła ona niepomyślnie dla podskarbiego, potwierdziła się bowiem jego nieracjonalna gospodarka. „Zwolennik ścisłych cyfr i dokładnych planów – pisał Brandys o księciu – nie mógł pogodzić się z magnackim rozmachem podskarbiego i z jego nieustanną, niczym niekrępowaną improwizacją".

Ostatecznie pogrążyło Tyzenhauza to, że zadłużony król liczył bardzo na pieniądze z zarządzanych przez podskarbiego dóbr. Okazało się jednak, że Tyzenhauz nie może ich dostarczyć, gdyż zbyt dużą cześć dochodów zainwestował, a manufaktury nie przynosiły założonych zysków. Przy okazji wyciągnięto mu różne zarzuty – słuszne i nieprawdziwe – dotyczące gospodarowania, w tym, co pewnie było prawdą, „kreatywną księgowość", jakbyśmy to dziś nazwali. Z pewnością część winy za niegospodarność ponoszą ludzie Tyzenhauza, nad którymi nie panował. Broniący go Gloger pisał bowiem: „Istotnie podskarbi był tyle winien, że (zajęty wielkimi sprawami dobra publicznego) zbyt zawierzał ludziom, których podnosząc z nicości, nie przypuszczał, aby go zdradzali".

Stanisław August zwolnił Tyzenhauza ze stanowiska zarządcy dóbr królewskich w 1780 r. „Przymuszony tedy został Tyzenhauz wyjść z kijem w ręku z Horodnicy, którą tyloma rękodzielnikami zaludnił, tyloma budowlami upięknił" – pisano we wspomnianym artykule w „Tygodniku Wileńskim". Czekał go jeszcze proces o defraudację pieniędzy, jednak sejmowa komisja uwolniła go od tego zarzutu. Rozgoryczony przedsiębiorca zmarł w 1785 r. w Warszawie. Został pochowany w swoim majątku w Żołudku.

Nowy zaś zarządca, magnat Franciszek Rzewuski, zamiast spróbować ocalić, zracjonalizować dzieło Tyzenhauza, dokonać niezbędnych reform, prowadził – jak pisał Brandys – gospodarkę rabunkową, by się jak najbardziej obłowić. Zastąpił go dość szybko książę Stanisław Poniatowski, który także wzbogacił się na administrowaniu powierzonymi mu dobrami. Okazało się jednak, że król, wbrew powiedzeniu Tyzenhauza, ma swoich krewnych...

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jedność i zbrodnie

Tomasz Stańczyk

Zgodnie z dekretem Aleksandra Łukaszenki 17 września to święto – Dzień Jedności Narodowej. Tamtego dnia w 1939 r. sowiecka Rosja wbiła nóż w plecy Polsce walczącej z Niemcami. Enkawudziści czuwali nad „wyborami" do zgromadzenia ludowego Zachodniej Białorusi, ta zaś marionetka Kremla wystosowała „prośbę" o przyłączenie do Kraju Rad. Tak powiększyła się sowiecka Białoruś, tak wyglądała jedność narodowa Białorusinów. A jak wygląda dziś, można było nie tak dawno widzieć na ulicach Mińska, gdzie odbywały się masowe protesty przeciw Aleksandrowi Łukaszence po wynikach wyborów, które świat uznał za spreparowane.

Białorusinom nakazano świętować rocznicę wydarzenia, będącego dla nich początkiem komunistycznego zniewolenia. A Polakom dzień 17 września kojarzy z komunistyczną dywersją oraz mordami dokonywanymi przez milicjantów ze skomunizowanej ludności białoruskiej i żydowskiej oraz czerwonoarmistów. W Grodnie na wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej miejscowi komuniści przedzierzgnęli się w dywersantów strzelających do polskich żołnierzy. Rebelia ta została przez nich stłumiona, ale komuniści dali o sobie znać ponownie kilka dni później podczas walk o Grodno, gdy okazało się, że znaleźli się w zniszczonych i unieruchomionych sowieckich czołgach jako przewodnicy.

W Skidlu miejscowi komuniści na wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej zaczęli swoje rządy. Zatrzymywali wycofujących się żołnierzy polskich, a pięciu oficerów zostało zamordowanych. 19 września wyruszyła z Grodna na ciężarówkach grupa żołnierzy, by stłumić komunistyczną rebelię. Nie rozprawili się do końca z dywersantami, gdyż dzień później ostrzelali oni żołnierzy 101. Pułku Ułanów, którzy w miasteczku poili konie. Złapani komuniści zostali rozstrzelani.

Skomunizowani białoruscy chłopi, wstępujący też do czerwonej milicji, zamordowali 17 września w lesie koło Porzecza ziemian, braci Bolesława i Romana Skirmuntów oraz ich siostrę Helenę. „Po okolicy krążą wieści, że ta sama ekipa jeszcze przed Skirmuntami zamordowała »pańskie sobaki« – rodzinę leśników. Żonie każą patrzeć, jak zakopanemu w ziemię po ramiona mężowi odcinają głowę" – pisała Agnieszka Rybak w książce „Ars moriendi".

Inni Skirmuntowie, Henryk i Maria, którzy przekazali swój majątek w Mołodowie siostrom urszulankom na cele charytatywnie, także zostali zamordowani. Krzysztof Jasiewicz w „Liście strat ziemiaństwa polskiego 1939–1956" podaje, że Maria Skirmunt została zakopana żywcem.

Prologiem zbrodni katyńskiej były mordy dokonywane przez bojców Armii Czerwonej na polskich oficerach. Pod Sopoćkiniami zastrzelili 22 września zatrzymanego gen. Józefa Olszynę-Wilczyńskiego. Ironią losu jest to, że generał uważał opór przeciw najeźdźcom ze wschodu za bezcelowy i chciał się przedostać na Litwę. Niespełna tydzień później, 28 września doszło do zbrodni w Mokranach, dziś także na Białorusi. Czerwonoarmiści wzięli do niewoli grupę marynarzy Flotylli Pińskiej, kilkunastu oficerów oddano w ręce rzekomych czerwonych milicjantów ukraińskich, w rzeczywistości zaś, jak stwierdził historyk marynarki wojennej Mariusz Borowiak, autor książki „Zapomniana flota. Mokrany", nacjonalistów pod wodzą niejakiego Artiemija Sadza. ©℗

eprasa.pl 4f09b4a2df

Mao Zedong podczas Długiego Marszu
FOT. ARCHIWUM

Chiny XX w. / Kuomintang w zwarciu z komuną

Długi Marsz Mao

Maciej Rosalak

Dwanaście tysięcy kilometrów szli komuniści przez Chiny, aby wyrwać się ze śmiertelnej pułapki zastawionej przez Kuomintang. Doszedł co dziesiąty, w tym Mao Zedong

Ostatniego cesarza Chin – kilkuletniego Pu Yi z kompletnie skompromitowanej dynastii mandżurskiej, która doprowadziła wielki kraj do poniżającego upadku, biedy i rozbicia – obalił na przełomie lat 1911 i 1912 rewolucyjny ruch republikański. Jego przywódca Sun Yat-sen (1866–1925) założył partię Kuomintang (KMT), która wygrała pierwsze wybory w Republice Chińskiej.

Partię niemal natychmiast rozwiązał potężny, wspierający ją dotąd generał byłej armii cesarskiej – jeden z tzw. militarystów, którzy samozwańczo obejmowali władzę w różnych prowincjach rozległego kraju. Kuomintang odrodził się w 1920 r. Odtąd walki z militarystami trwały do wojny z Japonią (1937). Sytuację kraju komplikowały postępujące próby zdominowania Chin przez Japonię. Zachód był wtedy jeszcze na to obojętny. W tej sytuacji rząd kuomintangowski zwrócił się o pomoc do Związku Sowieckiego, który mu jej udzielił – zmusił Komunistyczną Partię Chin do podporządkowania się Kuomintangowi. A „przy okazji" wprowadził komunistów zarówno w skład kierownictwa Kuomintangu, jak i współorganizował siły zbrojne republiki – Armię Narodowo-Rewolucyjną.

Czang i Mao

Następca Sun Yat-sena na pozycji przywódcy Kuomintangu – Czang Kaj-szek (1887–1975), szybko zorientował się, czym grozi komunistyczna infiltracja jego partii. Ten syn kupca solnego odbył studia wojskowe w Japonii, która go zafascynowała. Tam też poznał Sun Yat-sena, od rewolucji 1911 r. energicznie działał przy nim w Chinach, a w 1924 r. ożenił się z jego szwagierką. W 1923 r. szefował misji wojskowej w ZSRS i do cna stracił wtedy sympatię dla komunizmu. Gdy w marcu 1925 r. jego protektor umarł, Czang potrafił przejąć dowództwo nad Armią Narodowo-Rewolucyjną i stanąć na czele prawego skrzydła KMT. Pod jego dowództwem armia w tzw. ekspedycji północnej zwyciężyła militarystów w centrum Chin i zajęła na początku 1927 r. Szanghaj.

eprasa.pl 4f09b4a2df

RYS. JACEK GRAMBURG

Tu niejako z marszu Czang urządził w kwietniu masakrę przywódców KPCh, co rozpoczęło wojnę domową z komunistami. Nie poszło mu łatwo – spod Wuhanu odparto go natychmiast po masakrze szanghajskiej. Od października 1928 r. był już jednak niekwestionowanym liderem Kuomintangu, szefem państwa chińskiego ze stolicą w Nankinie, dowódcą sił zbrojnych z tytułem generalissimusa. Dekadę – do wybuchu wojny z Japonią w 1937 r. – trwał w Chinach tzw. okres nankiński: względnego spokoju i pomyślności gospodarczej. Cieniem na tych latach kładły się jednak konflikty z Japonią, „militarystami" i komunistami.

Sporą rolę w komunistycznych siłach zbrojnych odgrywał utalentowany polityk KPCh Zhou Enlai (Czou En-laj, 1898–1976). Doświadczenie operacyjne zdobył w dowództwie dwóch kampanii Armii Narodowo-Rewolucyjnej. Został nawet komisarzem politycznym Pierwszego Korpusu w liczącej pięć korpusów armii, i zdołał obsadzić komunistami stanowiska komisarzy politycznych w czterech z pięciu dywizji tego korpusu.

Zhou przeżył masakrę w Szanghaju (kwiecień 1927 r.), a także dalsze bezwzględne czystki prowadzone przez zwolenników Czanga w całych Chinach wśród tysięcy działaczy KPCh i ich chłopskich milicjantów (jakby NSDAP wojowała z WKP(b)). Z końcem 1931 r. udało mu się dotrzeć na kontrolowane przez komunistów tereny Jiangxi. Został tam komisarzem politycznym nowo utworzonej chińskiej Armii Czerwonej. Coraz większe wpływy w kierownictwie KPCh zdobywał wtedy Mao Zedong (Mao Tse-tung, 1893–1976), zwolennik oparcia ruchu na masach chłopskich, a nie wyłącznie na nielicznym i niełatwym do pozyskania proletariacie miejskim, jak chcieli ortodoksyjni marksiści.

Mao był synem bogatego chłopa, który pomnożył majątek dzięki prowadzeniu w swym sklepie lichwiarskiego obrotu zbożem, ale też dzięki intratnemu małżeństwu. Mao zmieniał szkoły, studiował w studium nauczycielskim, a jako bibliotekarz uniwersytetu pekińskiego uczestniczył w wykładach, dyskusjach i zgromadzeniach studenckich. Dużo czytał, stopniowo przejmując lewicowe, a w końcu komunistyczne poglądy.

Gdy nasilający się konflikt wewnętrzny doprowadził do wybuchu wojny domowej, Mao wykazał sporą inicjatywę militarną, organizując komunistyczne oddziały liczące do 2 tys. ludzi i wygrywając kilka starć z siłami KMT. Został mianowany dowódcą Armii Czerwonej. Do jego szeregów garnęło się coraz więcej chłopów, znęconych wizją zabierania ziemi bogatszym sąsiadom. Gdzie trafił Mao, tam zaprowadzał rewolucję agrarną w stylu bolszewickim. Wypierany przez siły rządowe wycofywał się na południowy wschód – za Jangcy, w kierunku górzystego obszaru Jiangxi. Tam w lutym 1930 r. utworzył komunistyczny rząd i spotkał się z oskarżeniami o trockizm ze strony agentów Moskwy. Z rebelią Mao rozprawił się krwawo, a kiedy do bezpiecznego Jiangxi w następnym roku przeniósł się Komitet Centralny KPCh, ogłoszono powstanie Chińskiej Republiki Rad. Funkcję premiera powierzono Mao Zedongowi, ale kontrolę nad Armią Czerwoną objął Zhou Enlai. Przed obydwoma stanęło bardzo trudne zadanie ocalenia komunistycznego państewka i rozszerzenia rewolucji.

Wiec uczestników Długiego Marszu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Dwie armie

Państewko to promieniowało na sąsiednie regiony, wzniecając chłopskie rebelie i stało się solą w oku generalissimusa Czang Kaj-szeka, który pod koniec lat 20. definitywnie wygrał batalię o przywództwo w KMT, likwidując konkurencyjny rząd lewicowy w Wuhanie.

W 1927 r. oskarżany o socjalfaszyzm Kuomintang stracił sowieckich doradców i pomoc wojskową. Po dojściu w Niemczech do władzy narodowych socjalistów Sowietów zastąpili Niemcy. W latach 1934–1935 niemiecką misją wojskową w Chinach dowodził Hans von Seeckt, a później Alexander von Falkenhausen.

eprasa.pl 4f09b4a2df

Most Luding nad rzeką Dadu, przez który przechodziła komunistyczna armia FOT. WIKIPEDIA

Seeckt zaproponował likwidację tradycyjnych chińskich dywizji, których było w 1933 r. – według Niemców – 134. Do tego dochodziło 36 brygad piechoty, 9 dywizji i 17 brygad kawalerii, 5 brygad i 20 pułków artylerii oraz ok. 600 samolotów. Von Seect uznał to wojsko za fatalnie uzbrojone, źle wyszkolone, słabo dowodzone i niepewne politycznie. Zaproponował powstanie zaledwie 60 dywizji, ale zorganizowanych tak jak dywizje niemieckie, a podporządkowane rządowi centralnemu – nie zaś prowincjonalnym kacykom.

Nowe chińskie dywizje składały się z 12 batalionów piechoty każda, zorganizowanych w dwie brygady po dwa pułki. Sposób użycia przypominał taktykę pierwszej wojny światowej. Bataliony były nasycone bronią maszynową i moździerzami piechoty. Artyleria składała się z dział górskich 75 mm. W połowie 1937 r. udało się sformować osiem takich dywizji (dwiema pierwszymi były dawne dywizje gwardii generalissimusa), 12 kolejnych było w toku szkolenia.

Żołnierze otrzymywali niemieckie karabiny i karabinki typu Mauser. Od lat 30. najpowszechniej używano tzw. modelu Czang Kaj-szek, produkowanego w wielkich ilościach na miejscu, wedle wzoru 98K. Eksport uzbrojenia do Chin stanowił w połowie lat 30. jedną trzecią eksportu uzbrojenia III Rzeszy.

Dużą liczbę karabinów systemu Mausera dostarczyły też Fabrique Nationale de Herstal z Belgii i czechosłowackie zakłady z Brna. Eksport broni z tych krajów nasilił się po ataku japońskim w 1937 r.

Komunistyczne siły zbrojne składały się po 1927 r. głównie ze zrewolucjonizowanej młodzieży i zinfiltrowanych przez komunę oddziałów oraz dezerterów z Armii Narodowo-Rewolucyjnej. Pierwsze powstanie komuniści urządzili w sierpniu 1927 r. w Nanchangu, położonym między Wuhanem, gdzie znajdował się wtedy rząd Wang Jingweia z lewicy KMT, oraz Nankinem – siedzibą prawicy KMT Czang Kaj-szeka. Komuniści mieli od kilkunastu do 20 tys. żołnierzy, natomiast ich wezwania do walki z Kuomintangiem nie znalazły odzewu ani wśród mieszkańców Nanchangu, ani nawet wśród okolicznych chłopów.

Zwerbowanie niektórych wyższych oficerów i komisarzy oraz dość licznych młodych dowódców z Armii Narodowo-Rewolucyjnej było w dużym stopniu dziełem Zhou Enlaia, który też objął komendę nad powstaniem – po jego szybki kres. Bo choć miasto zajęto łatwo, zdobywając wiele broni, pieniędzy i zapasów, to jednak brak poparcia ludności i okrążenie przez siły KMT kazały im opuścić Nanchang już po trzech dniach. W marszu na południe tracili licznych żołnierzy przez walki, choroby i dezercję. Nie mogąc liczyć na słaby tu ruch chłopski, nigdzie nie założyli bazy i jesienią ich oddziały uległy rozproszeniu.

Aż do wojny z Japończykami, podczas której zawarto sojusz z Kuomintangiem, komunistyczne armie nie przekraczały liczby kilku-, kilkunastu tysięcy zbrojnych. Setki tysięcy chłopów napłynęły do nich przede wszystkim na skutek okrutnego, japońskiego terroru…

Z Jiangxi do Shanxi

Zajmowane przez Mao Zedonga tereny w prowincji Jiangxi stały się głównym celem czterech operacji wojskowych Czang Kaj-szeka, gdy powstał tu ów pierwszy w Chinach komunistyczny twór państwowy. Dwie pierwsze ofensywy zostały jednak odparte, a gdy rozwścieczony generalissimus sam stanął na czele trzeciej – znów nic to nie dało. Komuniści zajęli kolejne obszary, panując już nad trzema milionami mieszkańców Jiangxi i poszerzając reformę rolną. Czwartą kampanię parę lat później Czang zorganizował więc inaczej. Korzystając z przewagi w liczbie żołnierzy i uzbrojeniu, okrążał i bombardował siedziby oraz oddziały wroga, uniemożliwiając mu aprowizację.

W rezultacie komuna zdecydowała się opuścić Jiangxi. W ponad tysiąckilometrowy (jak się na koniec okazało) marsz wyruszyło 14 października 1934 r. 100 tys. ludzi (15 tys. działaczy partyjnych oraz 85 tys. czerwonoarmistów; liczy się też odpowiednio: 30 tys. i 70 tys.). Los pozostawionych – z rannymi, kobietami, dziećmi i niedołężnymi, a także partyzantów z osłony – okazał się tragiczny. Wielu zamordowali zwycięzcy.

Tych, co wyruszyli w drogę – najpierw na południe do prowincji Hunan – czekały ciężkie przeprawy. Wierne rządowi KMT oddziały wyparły ich w zaciętych walkach z Hunan dalej na południowy zachód do prowincji Guizhou (Kuejczou). Tam, w mieście Zunyi, zebrało się w styczniu 1935 r. Biuro Polityczne KPCh i powierzyło Mao Zedongowi funkcję przewodniczącego, któremu faktycznie podlegały zarówno partia, jak i Armia Czerwona.

To on wytyczył tu nowy cel – osiągnięcie prowincji Shanxi na północnym zachodzie, i odtworzenie komunistycznego państwa. Prowincję uznaje się za kolebkę chińskiej cywilizacji. Z zachodu na wschód przecinają ją góry i żyzne doliny, na północy graniczy z płaskowyżem lessowym i Chińskim Murem, tu zaczynał się Jedwabny Szlak, a mieszkali tu etniczni Chińczycy. Stolica Xi'an – ponad trzy tysiące lat historii – była też stolicą cesarzy trzynastu dynastii. Ją też Mao wybrał jako swoją stolicę.

Droga z południa liczyła tysiące kilometrów, wiodła przez ponad dziesięć prowincji, a komunistyczna armia musiała stoczyć zacięte walki z siłami Kuomintangu, które obsadzały tak newralgiczne punkty jak mosty nad rzekami (np. most Luding) i górskie przełęcze. Atakowali ją też inni przeciwnicy, m.in. plemiona Mandżurów, którzy do niedawna stanowili etniczną grupę rządzącą całymi Chinami, islamska policja konna u podnóża gór Min Shan na terenach Syczuanu czy najemni bandyci z regionu Kham we wschodnim Tybecie, wynajmowani przez Kuomintang. Ludzi Mao dziesiątkowały też choroby i głód. Gdy zapasy żywności się kończyły, pozostawała aprowizacja u ludności, z czym różnie bywało.

eprasa.pl 4f09b4a2df

Po drodze spotkali komunistyczną, 50-tysięczną armię Zhanga Guotao, rywala Mao w KPCh. Nie dołączył on do Długiego Marszu, lecz ruszył do Tybetu, a w końcu przystał do Kuomintangu. Część jego żołnierzy dołączyła z czasem do Mao, podobnie jak inni znaczący dowódcy – Zhu De czy He Long.

Marsz zakończył się w Shanxi w październiku 1935 r. – równo po roku od wyruszenia z Jiangxi. Wynikałoby z tego, że przechodzili dziennie ponad 30 km. Do celu doszło jednak tylko poniżej 8 tys. żołnierzy – mniej więcej co dziesiąty. Odsetka działaczy partyjnych nie podaje się. Zapewne był znacznie większy niż czerwonoarmistów, w każdym razie żaden ze znanych przywódców nie umarł. Na nowo zajętych terenach komuniści z zapałem organizowali swoją republikę, jednając chłopów nie tylko reformą rolną, lecz także organizacją nauki oraz pomocy medycznej. W tym okresie Mao zwady z Czang Kaj-szekiem nie szukał, podczas gdy Czangowi, jak powiadał, do unicestwienia komunizmu w Chinach pozostało „historycznych pięć minut".

Prawdopodobnie dokonałby tego, gdyby nie… Japończycy. Po zajęciu Mandżurii (1931) – i ustanowieniu w niej marionetkowego „cesarstwa Mandżukuo" z Pu Yi na tronie (1934) – oraz licznych prowokacjach, po „incydencie na moście Marco Polo" (7 lipca 1937 r.) napadli oni na Chiny, rozpoczynając wojnę niezwykle brutalną i krwawą (1937–1945), będącą niczym uwertura drugiej wojny światowej. Życie straciło w niej 20 mln ludzi. KMT i KPCh zawarły wymuszony sojusz, który komuniści złamali jeszcze podczas walk z Japonią, i – z pomocą Stalina – w wyniku kilkuletniej wojny domowej doprowadzili (w 1949 r.) do ucieczki Czanga na Tajwan.

Mitologizowany przez propagandę maoistowską Długi Marsz niewątpliwie przyczynił się do przetrwania partii komunistycznej w Chinach. Gdyby nie agresja Japonii, potęgę powojennych Chin budowałby zapewne Czang Kaj-szek i Kuomintang, a nie KPCh przewodniczącego Mao, z jego pomysłami „wielkiego skoku" i „rewolucji kulturalnej", które tylko o kilkadziesiąt milionów istnień powiększyły ogromne straty narodu chińskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Przeklęta historia

Maciej Rosalak

Nagle zapala się przed oczami ostrzegawcze światełko, a w uszach słychać dzwonek alarmowy. To taki odruch samozachowawczy. U Polaka występuje na ogół wtedy, gdy Niemiec zawiera za naszymi plecami jakieś porozumienie z Rosjaninem. Historia w pełni tłumaczy taki odruch – od porozumienia trzech czarnych orłów w 1732 r. poczynając, poprzez układy rozbiorowe (1772–1795), kongres wiedeński (1815), pruską armię obserwacyjną (1830–1831), konwencję Alvenslebena (1863), układy w Rapallo (1922) i Locarno (1925), pakt Hitler-Stalin (1939), aż do tych dwóch nieszczęsnych rur gazowych za naszych dni. Ale oto pod koniec lipca Niemcy – którzy rzekomo stali się naszym szczerym sojusznikiem po raz pierwszy od czasów panowania świętej pamięci Ottona III, a więc od tysiąca lat z okładem – dogadali się z naszym jeszcze mocniejszym supersojusznikiem, czyli Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej.

Jeśli mocniejsi od nas sojusznicy, w tym darzone przez nas miłością USA, dogadują się między sobą, to czego się tu bać? Czyż Kościuszko nie przyczynił się do zwycięstwa pod Saratogą, a potem nie wzniósł West Point? Czy Pułaski nie poległ pod Savannah „za wolność naszą i waszą", a lotnicy amerykańscy pod tym hasłem nie walczyli dzielnie u naszego boku z bolszewikami? Przecież jeszcze tak niedawno, bo w lipcu 2017 r. na placu Krasińskich w Warszawie amerykański prezydent dawał porywające dowody wzajemnych uczuć, zaczynając swe przemówienie słowami: „Ameryka uwielbia Polskę, Ameryka kocha Polaków". Nie tylko wyznanie miłosne, lecz także zwiększenie obecności US Army w Polsce, polityczne i ekonomiczne wsparcie projektu Trójmorza, sankcje dla firm montujących Nord Stream 2 oraz kontrakty na najnowocześniejszą broń szły ich śladem. Dokładnie cztery lata potem następca Donalda Trumpa – Joe Biden – spotyka się z kanclerz RFN Angelą Merkel, faktycznie godzi się na Nord Stream 2 oraz niejako prosi o zastąpienie USA we wspieraniu inicjatywy Trójmorza. Utrzymanie wzmocnionej wschodniej flanki NATO nie brzmi już tak przekonywująco jak słowa – i czyny! – poprzednika.

A Niemcy jako protektor Trójmorza mogą się w tej roli jawić tak, jak w projekcie Mitteleuropy z okresu pierwszej wojny światowej. Przewidywał on utworzenie w środkowo-wschodniej Europie pasma wasalnych państewek narodowych z Królestwem Polskim włącznie. Twór ów miał być zdominowany przez II Rzeszę Niemiecką politycznie i militarnie, a gospodarczo drenowany korzystnymi dla niej umowami gospodarczymi. Przewidywano też aneksje terytorialne, osadnictwo niemieckie oraz stopniowe germanizowanie ludności. Polska oddałaby na przykład Niemcom „pas przygraniczny" z Częstochową, Kaliszem, Płockiem i Mławą, a faworyzowanym Ukraińcom – Chełmszczyznę. Po traktacie brzeskim (3 marca 1918 r.) i bukareszteńskim (7 maja 1918 r.) plany polityczne II Rzeszy sięgały od Zatoki Fińskiej na północy do Morza Czarnego na południu. Takie „trójmorze" sprzed wieku. Nie zakładajmy oczywiście, Boże broń!, że taki projekt byłby dziś w pełni realny. To tylko ta przeklęta historia przypomina finał kolejnej wojny światowej, gdy mocarni sojusznicy oddali nas Sowietom. Ta przeklęta historia, która włącza ostrzegawcze dzwonki, zapala alarmowe światełka. ©℗

eprasa.pl 4f09b4a2df

Arsenał wojny sześciodniowej

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

W wojnie izraelsko-arabskiej 1967 r., nazywanej błyskawiczną, główną rolę odegrały czołgi i samoloty

W arsenale państw arabskich znajdowały się radzieckie czołgi T-54 i T-55, a także zupełnie już przestarzałe T-34. Pojazd nowej generacji, tzw. czołg pola walki T-54, powstał w połowie lat 40., a do jego najważniejszych atutów należała armata kal. 100 mm stabilizowana w płaszczyźnie pionowej. Kadłub czołgu podzielony był na trzy przedziały – kierowania (z przodu po lewej stronie), bojowy w części środkowej i napędowy z tyłu, koła nośne zawieszone zostały na wałkach skrętnych, a załogę stanowiło czterech ludzi. Dwunastocylindrowy wysokoprężny, chłodzony cieczą silnik o mocy 520 KM umieszczony został poprzecznie względem osi kadłuba. Dużą zaletą czołgu było ukształtowanie płyt pancernych, dzięki czemu tzw. grubość sprawdzona (w przeliczeniu na płyty ustawione pionowo) wynosiła z przodu wieży 203 mm, a z przodu kadłuba 99 mm.

Następca tego czołgu – T-55 (na zdjęciu) – różnił się przede wszystkim nową, mocniejszą jednostką napędową. Ten ważący 36 ton czołg osiągał na szosie prędkość 50 km/h, a jego zasięg wraz z dodatkowymi zbiornikami paliwa wynosił 600 km. W czasie wojny sześciodniowej dużą wadą sowieckich czołgów był brak kompleksowego systemu kierowania ogniem.

Przeciwnikiem arabskich wozów były amerykańskie M51HV Super Sherman i M48 Patton, brytyjski Centurion oraz lekk francuski AMX-13 (armata kal. 75 mm). Pojazdy te ustępowały sowieckiemu T-54/55 pod względem właściwości manewrowych, miały także znacznie gorzej ukształtowany pancerz (zwłaszcza wieża Centuriona), przewyższały je natomiast wyposażeniem: systemami kierowania ogniem, wentylacją. Ogólnie zapewniały też większy komfort załodze. Uzbrojeniem centurionów i super shermanów były armaty kal. 105 mm, Patton miał armatę kal. 90 mm. Izraelska amunicja, m.in. pociski kumulacyjne i podkalibrowe, miała znacznie lepsze parametry niż jej sowieckie odpowiedniki. Sprawne działanie pancernych jednostek izraelskich możliwe było dzięki doskonale funkcjonującej logistyce.

Ataki lotnicze zapewniły Izraelczykom przewagę już na początku konfliktu. Podstawowym myśliwcem był francuski Mirage IIIC; powstał w drugiej połowie lat 50. i okazał się jednym z bardziej udanych samolotów; oprócz wersji myśliwskiej powstały także m.in. myśliwsko-bombowa i szturmowa. Uzbrojenie stanowiły dwa działka kal. 30 mm oraz do 900 kg podwieszanych bomb i pocisków rakietowych (kierowanych i niekierowanych).

Arabowie dysponowali całą gamą sowieckich migów, z których najliczniejszym i najnowocześniejszym był Mig-21, oblatany w 1956 r. Maszyna charakteryzowała się trójkątnymi skrzydłami (układ „delta"), na różnych wersjach ustanowiono wiele światowych rekordów, m.in. prędkości i wysokości lotu. Uzbrojenie stanowiły dwa działka kal. 30 mm i do 2000 kg podwieszanych rakiet i bomb w pięciu węzłach pod kadłubem i skrzydłami. Doskonałe właściwości aerodynamiczne nigdy nie szły w parze z równie udaną awioniką, czyli systemami naprowadzania na cel oraz radarami.

Spektakularny i szybki sukces Izraelczyków był wypadkową nie tyle jakości sprzętu, ile sposobów jego użycia. Indywidualny poziom wyszkolenia pilotów i czołgistów był zdecydowanie słabszy u Egipcjan czy Syryjczyków, a umiejętności taktyczne i koordynacja działań pozostawiały u Arabów wiele do życzenia. Ani sowiecki T-54/55, ani Mig-21 nie miały tak naprawdę okazji do zaprezentowania swoich zalet. Te ostatnie w walce manewrowej przewyższały teoretycznie swoich przeciwników – tyle że większość nie wzbiła się nawet w powietrze. Czołgi zaś pozbawione zostały całkowicie osłony z powietrza, co przy doskonale funkcjonującej koordynacji ataków lotniczych Izraela stawiało je od razu na przegranej pozycji. ©℗

Czołg sowieckiej produkcji T-54
FOT. WIKI COMMONS

eprasa.pl 4f09b4a2df

Zdobyczny hełm

W Muzeum Wojska Polskiego, wśród pamiątek związanych z żołnierzami NSZ, znajduje się zdobyczny niemiecki hełm wz. 35/40 z namalowanymi z obu stron biało-czerwonymi proporczykami. Należał do Bohdana Szuckiego ps. Artur (1926–2017), który pełnił funkcję kuriera oraz członka ochrony szefa sztabu Okręgu III (lubelskiego) NSZ i walczył w kilku oddziałach NSZ od sierpnia 1943 r. do kwietnia 1944 r. Hełm przekazany został przez „Artura" do zbiorów w 1993 r. wraz z informacją dotyczącą okoliczności zdobycia 11 grudnia 1943 r. na stacji kolejowej w Wilkołazie (trasa Lublin–Kraśnik). Akcja partyzantów miała na celu rozbrojenie żołnierzy z konwoju osłaniającego skład stojący na kolejowej bocznicy. Miała improwizowany charakter i nie poszła zgodnie z planem. W wyniku strzelaniny śmiertelnie ranny został jeden z Polaków.

W czasie tej akcji zostało rozbrojonych 15 żołnierzy niemieckich, dwóch z nich zostało rannych – wspominał Bohdan Szucki. – Zdobyto dwa karabiny maszynowe, kilka pistoletów maszynowych oraz karabiny i większą ilość amunicji. Karabin, który odebrałem Niemcowi, służył mi do końca wojny. Był to krótki kawaleryjski mauzer, wykonany w zakładach Česká zbrojovka w Brnie. Myślałem, że po wojnie przerobię go na sztucer myśliwski. […] Miał charakterystyczny znak. Na kolbie było wyraźne wgłębienie, powstałe od uderzenia pocisku pod ostrym kątem. Może to był ślad mego pocisku? Zachował się jedynie zdobyty hełm, który, po namalowaniu polskich chorągiewek, służył mi do końca wojny, przetrwał gdzieś wśród rupieci na strychu w domu Mamy do upadku komunizmu. Dziś zdobi muzealną gablotę na stałej wystawie MWP. ©℗

MP5

Chociaż epoka peemów skończyła się po drugiej wojnie światowej (za sprawą wprowadzenia do uzbrojenia karabinów automatycznych), to okazały się one doskonałym narzędziem walki dla specjalistycznych formacji wojskowych i policyjnych. Broń dostosowaną do nabojów 9 x 19 mm opracowano w niemieckiej firmie Heckler und Koch w latach 60. Jako pierwsza zaadoptowała ją niemiecka policja, szybko zdobyła sobie uznanie i dzisiaj trudno znaleźć kraj, w którym się jej nie używa. Poza Niemcami produkowana jest licencyjnie w kilku państwach.

W przeciwieństwie do większości peemów starszej generacji H&K wykorzystuje zasadę działania zamka półswobodnego (a nie swobodnego) i strzela przy zamku zamkniętym. Idea tej konstrukcji zaczerpnięta została z rozwiązania technicznego zastosowanego niegdyś w konstrukcyjnie nowatorskim karabinie maszynowym MG42. MP5 zasilany jest z dwurzędowego magazynka pudełkowego (wersje o różnych pojemnościach); ma przełącznik rodzaju ognia. Występuje w wielu wariantach, w tym z kolbą stałą i składaną. Stosowany jest także w Polsce. ©℗

Erkaem Châtellerault

Broń opracowano we Francji w latach 20., aby zastąpić wysłużonego weterana z pierwszej wojny światowej, czyli naprędce skonstruowany model Chauchat wz. 1915. Zamiast archaicznego naboju Lebela kal. 8, którego kształt wymuszał zastosowanie we wzorze 1915 kłopotliwego, półokrągłego magazynka, opracowano nowy nabój 7,5 x 58 mm bez kryzy, wzorowany na mauserowskim. Także zasada długiego odrzutu lufy oceniona została krytycznie, wobec czego zdecydowano się na odprowadzanie gazów prochowych przez boczny otwór w lufie. Tak powstał wzór 1924, konstrukcyjnie bardzo udany, jednak zawodny z powodu niedopracowanej amunicji. Stworzono więc nowy, doskonalszy nabój 7,5 x 54 mm, a broń dostosowaną do niego oznaczono wzorem 24/29.

Erkaem chłodzony był powietrzem i zasilany z 25-nabojowego magazynka. Przyrządy celownicze przesunięto względem osi lufy nieco w lewo ze względu na dołączany od góry magazynek. Broń wyposażono w dwa języki spustowe, przedni do ognia pojedynczego i tylny do ognia ciągłego. W kolbie umieszczono opóźniacz, umożliwiający regulację szybkostrzelności broni (600 lub 500 strz./min). Broń ważyła niecałe 9 kg. W okresie międzywojennym produkcja erkaemów przebiegała bardzo wolno, wobec czego w chwili wybuchu drugiej wojny jej stan w oddziałach liniowych był niewystarczający. Erkaemy wz. 24/29 produkowano w państwowych wytwórniach uzbrojenia w Châtellerault i Saint-Étienne. ©℗

eprasa.pl 4f09b4a2df

XX w. / Zaproszenie dla Wernera von Brauna

Wyścig na orbitę

Tymoteusz Pawłowski

Mało kto wie, że zarówno amerykańska rakieta Saturn V, wykorzystana w lotach na Księżyc, jak i rosyjskie rakiety Sojuz, obsługujące Międzynarodową Stację Kosmiczną, są bliskimi krewnymi niemieckiej V-2

Sputnik 1 FOT. WIKPEDIA

Zasada działania broni palnej jest prosta: w lufie spala się proch, a jego gazy wypychają pocisk. Przemyślność tego wynalazku polega na tym, że proch jest połączeniem spalającego się paliwa oraz utleniacza, dostarczającego tlen do spalania. Proch będzie palił się w zamkniętej komorze nabojowej, ale będzie palił się również w przestrzeni kosmicznej.

Rakiety działają nieco inaczej: to właściwie lufa wypełniona prochem, odlatująca w siną dal. Dzieje rakiet są nawet dłuższe niż dzieje broni palnej, a i ich przyszłość wydaje się być bardziej świetlana: to właśnie rakiety umożliwiają podbój kosmosu. Oczywiście nie będą to rakiety napędzane prochem, tylko bardziej skomplikowanym paliwem.

Archaiczne słowo „proch" można zastąpić brzmiącym dużo bardziej nowocześnie określeniem „stały materiał pędny". Rakiety napędzane stałym materiałem pędnym mają swoje wady, najważniejsza z nich związana jest ze sterowaniem. Prochu nie można dawkować, więc gdy silnik napędzany stałym materiałem pędnym zacznie pracować – pracuje dopóty, dopóki nie spali się całe paliwo.

Można oczywiście zastosować ciekłe paliwo rakietowe i dawkować je – na przykład odkręcając lub zakręcając kranik. Jednak ten „kranik" – a raczej pompa paliwowa – to rzecz niesamowicie trudna do wykonania. W komorze spalania panuje bowiem olbrzymie ciśnienie – mogące podnieść rakietę setki czy tysiące kilometrów nad ziemię – i zadaniem pompy paliwowej jest wstrzyknięcie paliwa z ciśnieniem jeszcze większym i w sposób kontrolowany. Co oczywiste, pompa paliwowa silnika rakietowego musi być odporna na ekstremalnie wysokie temperatury. Nie ma trudniejszej rzeczy do wykonania rękami człowieka niż taka pompa paliwowa.

Rakiety napędzane ciekłym paliwem rakietowym zaczęto badać na dużą skalę w czasie pierwszej wojny światowej, ale przed zakończeniem wojny nie osiągnięto żadnych sukcesów, a potem rządy przestały opłacać badania. Kontynuowali je amatorzy, tacy jak Amerykanin Robert H. Goddard, który zdiagnozował większość problemów technicznych, ale – z braku pieniędzy – nie zdołał ich rozwiązać.

Od V-2 do R-7

Pieniądze na badania rakiet mieli Niemcy. Nie było w tym nic dziwnego, ponieważ kończący pierwszą wojnę światową traktat wersalski zabraniał Niemcom badań nad artylerią, ale nie wspominał nic o rakietach. Niemcy badali więc rakiety, a największe osiągnięcia miał inżynier Werner von Braun – udało mu się wyprodukować rakiety znane jako

eprasa.pl 4f09b4a2df

Start rakiety Mercury
FOT. WIKIPEDIA

V-2. Osiągnął to olbrzymim kosztem: opracowanie „cudownej broni" V-2 było 10 razy bardziej kosztowne niż amerykański projekt „Manhattan" – wyprodukowanie bomby atomowej.

Porażka III Rzeszy w drugiej wojnie światowej – o czym dziś się zapomina – miała fatalny wpływ na rozwój intelektualny naszych sąsiadów: większość nauczycieli zginęła na froncie jako oficerowie rezerwy, a większość naukowców została wywieziona z kraju przez zwycięzców. Spotkało to również Wernera von Brauna, który dostał „zaproszenie" do Stanów Zjednoczonych. Inni trafili do Wielkiej Brytanii i Francji oraz – rzecz jasna – do Związku Sowieckiego.

Zarówno Niemcy amerykańscy, jak i Niemcy sowieccy pracowali skutecznie i bardzo szybko wystartowały zarówno amerykańskie, jak i sowieckie wersje rakiet V-2. Sowiecką V-2 nazwano R-1. Amerykańską V-2 nazwano Redstone. Później rakiecie Redstone dodano kolejny silnik, zwiększający zasięg, następnie trzeci, a później i czwarty. Dodatkowe silniki ustawiano jeden na drugim: gdy pierwszy skończył pracę, odrzucano go i procedurę powtarzano kilkukrotnie. Takie rakiety nazywa się rakietami wielostopniowymi.

Podobnie wyglądał rozwój rakiet w Związku Sowieckim: sukcesem okazały się rakiety R-2 oraz R-5. Pojawił się jednak lokalny konkurent dla inżynierów niemieckich – Siergiej Korolow. Uznał on, że zamiast ustawiać jeden silnik nad drugim, można ustawić je obok siebie, tak aby cztery silniki otaczały silnik centralny. Co więcej, każdy z tych pięciu dużych silników składał się z czterech mniejszych. W ten sposób powstała rakieta R-7 – skomplikowana, ale potężna, mogąca przenosić głowicę wodorową o mocy 3 megaton z centralnej Rosji prosto do Ameryki.

Od R–7 do Falcon X

Prezentacja nowej rakiety zakończyła się katastrofą, ale nie techniczną, tylko wizerunkową. Sowieccy marszałkowie zadali Korolewowi jedno proste pytanie: Ile będzie trwało przygotowanie tak skomplikowanej rakiety do startu? W rakietach wielostopniowych napełnianie zbiorników paliwa było proste – wszystkie znajdowały się w osi rakiety – i trwało ono kilkadziesiąt minut. Napełnienie zbiorników paliwa we wszystkich silnikach rakiety R-7 było niezmiernie skomplikowane – trzeba było dbać o idealne wyważenie rakiety – i zajmowało to kilkadziesiąt godzin. W czasach rakietowej wojny nuklearnej R-7 była więc całkowicie bezużyteczna.

Siergiej Korolow obawiał się, że trafi – ponownie – do łagru. Uratował się, proponując wystrzelenie za pomocą R-7 radiostacji w kosmos. Okrążałaby ona Ziemię i głosiła sławę narodu sowieckiego. Paradoksalnie pomysł podsunął mu Werner von Braun, który opowiedział o tym w jednym z wywiadów udzielanych w amerykańskiej telewizji.

W ten sposób 4 października 1957 r. na orbicie ziemskiej pojawił się Sputnik-1, pierwszy sztuczny satelita Ziemi („спутник" oznacza po rosyjsku mniej więcej to samo, co „satelles" po łacinie: towarzysza podróży, sługę). Zszokowało to cały świat, z wyjątkiem amerykańskich inżynierów rakietowych. Ich rakiety już od kilku lat miały techniczną możliwość podobnego lotu, oszczędny rząd amerykański nie chciał jednak wydawać pieniędzy na takie fajerwerki. To właśnie dlatego Werner von Braun udzielił wywiadu telewizyjnego, w którym opowiadał o możliwościach eksploracji kosmosu – spodziewał się, że sprowokuje władze do działania. Nie przewidział, że sprowokuje władze sowieckie. Ostatecznie jednak postawił na swoim.

Amerykanie postanowili wystrzelić swojego satelitę 6 grudnia 1957 r., ale rakieta Vanguard eksplodowała kilka sekund po starcie, przez co dostała przezwisko „Oopsnik". To również nie zmartwiło Wernera von Brauna, Vanguard był bowiem konkurencyjną, cywilną rakietą. Natychmiast zaproponował własną „wojskową" rakietę i już 31 stycznia 1958 r. rakieta Juno, czyli Redstone, z dodatkowymi stopniami, wyniosła satelitę Explorer w kosmos. Amerykanie przestali rozróżniać rakiety cywilne od wojskowych, Werner von Braun dołożył do Juno kolejny, czwarty stopień i tak skonstruowana rakieta – nazwana Saturn V – przeniosła ludzi na Księżyc.

R-7 Siergieja Korolowa nie zrobiła kariery wojskowej, zrobiła za to karierę cywilną. Pod nazwą Sojuz do dziś lata z Ziemi na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Amerykanie już w latach 70. zrezygnowali z rakiet kosmicznych opartych na technologii V-2 i – po krótkiej przygodzie z wahadłowcami kosmicznymi – opracowują nowe pojazdy kosmiczne, także z pomocą firm prywatnych, takich jak SpaceX, która opracowała rodzinę rakiet Falcon. Postęp nie polega tylko na tym, aby rakiety latały szybciej, wyżej i dalej, lecz także na tym, żeby latały taniej. Wyniesienie w 2021 r. na orbitę kilograma ładunku jest tysiąc razy tańsze niż pół wieku wcześniej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4f09b4a2df

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

eprasa.pl 4f09b4a2df

Sławomir Cenckiewicz

/ Felieton

Prawda prymasa Wyszyńskiego

Był zbyt ważny, pewnie nazbyt wielki w porównaniu z resztą, choć przecież nie nieomylny, by tym bardziej zmieścić jego sylwetkę w ramach krótkiego felietonu. Kardynał Stefan Wyszyński, prymas Polski, Prymas Tysiąclecia, od 12 września 2021 r. błogosławiony Kościoła katolickiego!

Tak, od kilku tygodni kult publiczny kard. Wyszyńskiego jest zatwierdzony przez papieża Franciszka. To była zawsze chwila wielka dla narodu, którego przedstawiciel dostępował chwały ołtarzy, przez co ród, z którego wywodził się błogosławiony czy święty, ocierał się niejako o Niebo. Jakże miło się patrzy na stare filmy i zdjęcia ukazujące chociażby radość z kanonizacji, a potem powrotu do ojczyzny relikwii św. Andrzeja Boboli. Naród na ulicach, pełne kościoły i nawet piłsudczykowska władza – przecież raczej daleka od katolickiej religii – oddająca państwowe honory polskiemu świętemu. To dziś niemożliwe! Pewnie przez postępujący laicyzm, ale i „inflację" beatyfikacji i kanonizacji w ostatnich dziesięcioleciach, przez co święci spowszednieli i stali się bardziej obojętni.

Ale prymas Wyszyński przecież nie jest kimś odległym. Wielu z nas go widziało, wielu zapamiętało, a na pewno wie, że w Polsce Ludowej był absolutnym autorytetem, broniącym wolności Kościoła i kultu religijnego, kimś alternatywnym wobec reżimu i jego genseków. A mimo wszystko jego beatyfikacja nie okazała się wydarzeniem dużej skali. Pomijam odwlekanie samej uroczystości, sposób jej przygotowania, wybór miejsca beatyfikacji, ograniczenia, elitarność samej celebry przeczącej całej „ludowej" misji kardynała… Myślę o chaosie w przybliżeniu prymasowskiego orędzia, które zawisło gdzieś między antykomunizmem a „kremówką" z elementami charytatywności. Płytkość tej opowieści nie może wytrzymać próby, bo chwała ołtarzy nie opiera się przecież na zmierzeniu stopnia patriotyzmu błogosławionego, ale na pielęgnowaniu cnót chrześcijańskich i jego bliskości z Panem Bogiem. Aspekt religijny i świątobliwość życia prymasa Polski, które są istotą wyniesienia do chwały ołtarzy, zostały prawie w całości zepchnięte do kąta i wyparte przez przekaz patriotyczno-polityczny, który również podlegał często zniekształceniu. Jak to u nas…

> / Krytyczna lekcja z przeszłości **jest jednym z najistotniejszych elementów nauczania społecznego błogosławionego kardynała**

Przedstawiano zatem kard. Wyszyńskiego jako giganta walczącego w pojedynkę z komuną. Bez kontekstów, zakrętów, kontrowersji, sporów w episkopacie, różnorodności postaw, postaw Sapiehy, Baraniaka, Kaczmarka… Nasi znani apologeci Powstania Warszawskiego zaczęli z kolei obsadzać błogosławionego prymasa w roli polemisty z „realistami" (sic!), tłumacząc – w telewizji publicznej – znaczenie roli ks. Wyszyńskiego w powstaniu i jego rzekomą bezkrytyczną afirmację Godziny „W" po jego upadku. Fałszywość niektórych sądów budziła mój niesmak, ale powaga chwili kazała mi sprawę przemilczeć.

Dziś można niektóre kwestie sprostować, a w zasadzie jedynie zacytować wielkiego prymasa Polski. Weźmy chociażby zapiski bł. Wyszyńskiego z 1 sierpnia 1978 r.: „Ja, osobiście byłem przeciwny Powstaniu: gdy jednak otrzymałem nominację na Kapelana AK, okręgu Laski-Izabelin, Warzyszew, Bernerowo, Kampinos – poddałem się bez zastrzeżeń decyzjom Dowództwa. Dążyłem tylko do tego, by z Zakładu [ociemniałych w Laskach] nie czynić ośrodka koncentracji, intendentury, zaopatrzenia, piekarni i kuchni polowych, a nadto radio i formacji wileńskich. Uważałem, że to daje sposobność do ataków WM, GSP i formacji własowców. Jakoś później tak się stało. Czyniło mnie to podejrzanym w oczach dowództwa AK".

Do rangi symbolu w tej kwestii urasta postawa kard. Stefana Wyszyńskiego, nie tylko zresztą tuż po wyjściu z niewoli w 1956 r. Jakże często prymas Polski – podkreślmy to znów, uczestnik wojennej konspiracji i duszpasterz warszawskich powstańców – studził nastroje rodaków, mówiąc: „Musimy pokonać wybujały indywidualizm tkwiący w naszym narodowym charakterze, także indywidualizm grupowy, musimy go pokonać w duchu tej miłości, która budzi wieczną gotowość do poświęceń. Łatwiej umrzeć w chwale, aniżeli żyć, walcząc przez całe lata z trudnościami, z brakami i znosić cierpienia. To wymaga większego bohaterstwa w tych chwilach brzemiennych w wydarzenia i budzących tyle naszych obaw".

Krytyczna lekcja z przeszłości jest jednym z najistotniejszych elementów nauczania społecznego bł. kard. Wyszyńskiego, dla którego „ideałem na czasy dzisiejsze musi być raczej „umiejętność życia dla Kościoła i Polski" niż „umiejętność umierania"!

Błogosławiony prymasie Polski, naucz nas wyciągania wniosków z przeszłości i módl się za nami! ©℗

eprasa.pl 4f09b4a2df
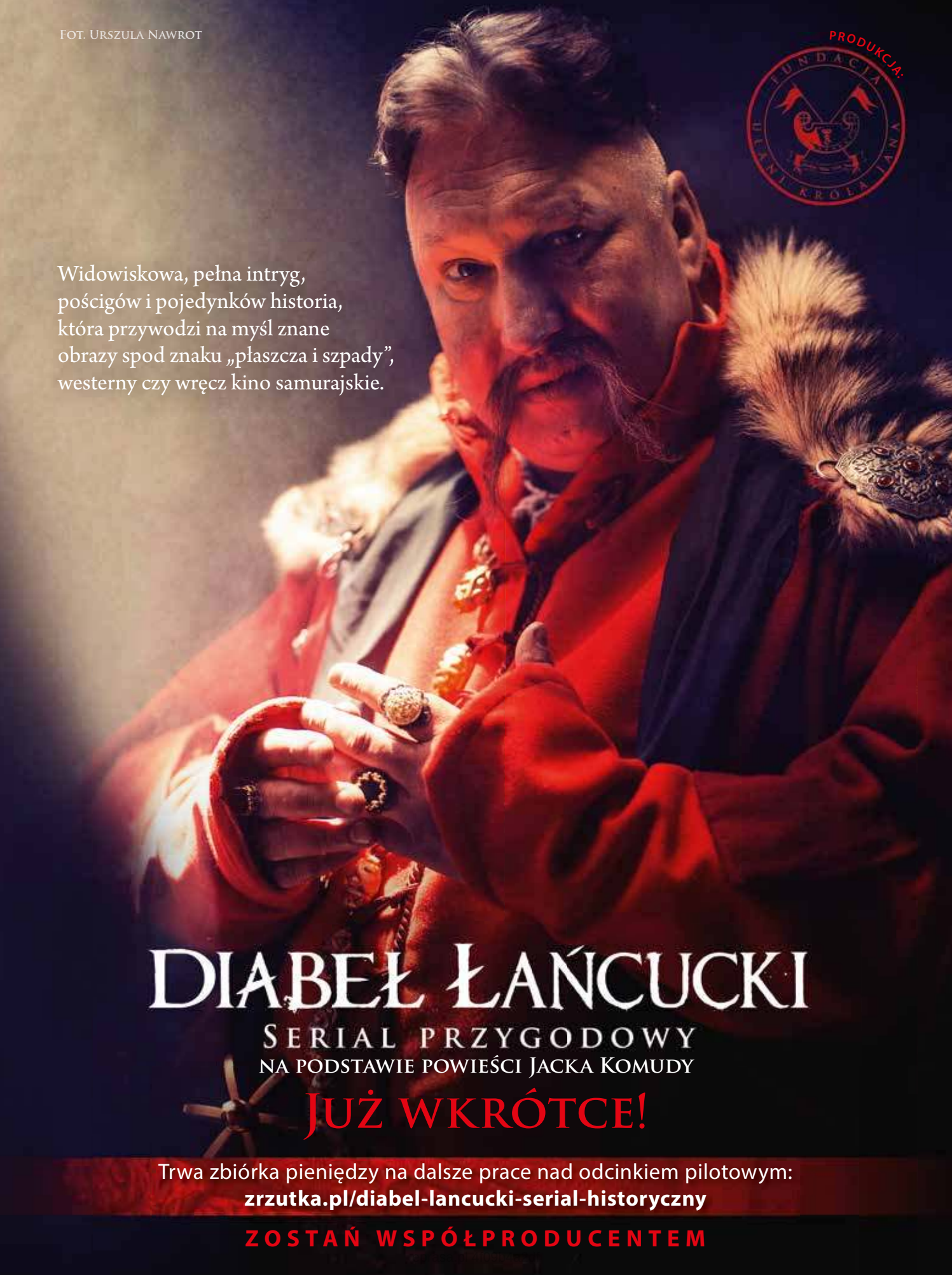
Fot. Urszula Nawrot